

Mary Brendan

Gra w sekrety

Prolog

Jesień 1820 roku

- Jeśli uważasz, że wymachiwanie mi przed nosem bażantami w czymś ci pomoże, to się grubo mylisz!

Silver Meredith skwitowała figlarnym uśmiechem karzącą uwagę matki. Triumfalnie wyciągnęła zza pleców drugą rękę i zademonstrowała kolejny owoc porannego polowania.

- A zając spotka się z większym uznaniem kucharki niż moim. Odnieś go do kuchni - dodała Gloria Meredith.

- Dobrze - odparła pokornie Silver, skwapliwie korzystając z otwierającej się nagle przed nią drogi ucieczki.

Niestety, już po dwóch krokach głos matki osadził ją w miejscu.

- Kiedy tylko zaniesiesz te zwłoki do spiżarni, wróć tu taj. Mamy do omówienia kwestię dzisiejszej wizyty.

Gloria Meredith obrzuciła najmłodszą córkę stanów-

czym spojrzeniem. Widząc jej żalowaną minę, dodała z naciskiem:

- Możesz sobie grymasić, moja panno, ale to ci nie może. Wybieramy się na kolację do Robinsonów, i ty także się tam udasz.

Znużonym gestem uniesionej dłoni stłumiła w zarodku wszelkie przejawy niesubordynacji.

Silver z wściekłością przemierzała korytarze Windrush, wiejskiej siedziby Meredithów, by jak najszybciej znów odetchnąć świeżym powietrzem poranka.. Niecierpliwym gestem odsunęła z twarzy jasne pukle, odsłaniając zaróżowione policzki i mruczając pod nosem ze złości. Wkrótce opuściła dom od strony stajni.

Ktoś obcy zgorszyłby się, widząc zgrabną młodą kobietę, kroczącą w skórzanych bryczesach podkreślających urodę smukłych ud. Zapewne wzdrygnąłby się także, dostrzegając na szczupłym ramieniu myśliwską strzelbę. Dla dwóch mężczyzn, ku którym zmierzała, widok ten nie stanowił jednak niczego niezwykłego.

Edgar Meredith, wyczuwając wojowniczy nastrój córki, pozostawił swojemu młodszemu towarzyszowi troskę o upolowaną zwierzynę, wybąkał słowa pożegnania i szybko ruszył, żeby się zaszyć u siebie i delektować w spokoju porannym kieliszkiem sherry.

Dżentelmen, który pozostał, rozsiodłał właśnie dereszową klacz. Złożył siodło na ziemi i ruszył na spotkanie posępnej piękności.

- Mówiłem, że się nie wymigasz - powiedział.

Silver pokręciła głową i zdecydowanym ruchem wzięła się pod boki.

- Musisz im powiedzieć, dlaczego nie chcesz tam pójść!

- dodał podniesionym głosem młody człowiek.

W ustach krzepkiego młodzieńca ten okrzyk zabrzmiał dziwnie słabo.

- Och, nieważne. - Silver machnęła ręką. - Poradzę sobie z tym wstrętnym zabijaką! Jeśli spróbuje jeszcze raz mnie dotknąć, tym razem nie skończy się napadu sińcach. I będzie musiał wytłumaczyć się rodzicom!

- Powinnaś donieść o jego zachowaniu swojemu ojcu.

- Nie - ucięła Silver. - Tata nie czuje się najlepiej i nie powinnam go obarczać taką sprawą. A tobie zabraniam nawet o tym wspominać. Ani słowa nikomu! - Chwyciła muskularne ramię przyjaciela i mocno nim potrząsnęła.

- Przrzeknij, Johnie Vansie, że nie szepniesz nawet słowa zażądała.

John skinął głową i odwrócił się do klaczy, żeby wyszczotkować jej boki.

- Powinnaś pozwolić mi się tym zająć. Dałbym mu prawdziwą szkołę.

- Właśnie o to mu chodzi - zaprotestowała żarliwie Silver. - Chce cię sprowokować i znów okropnie pobić.

Na to wspomnienie twarz Johna przybrała ciemniejszą barwę. Hugo Robinson zwałił go wtedy z nóg jednym ciosem, a potem bezlitośnie kopał przeciwnika, mimo że ten leżał na ziemi.

Silver objęła czule młodzieńca. Jednak nie było w tym nic nagannego. Traktowała go jak przyjaciela.

- Czy rozważyłeś mój pomysł? Nie sądzisz, że rozwiąza łyby to raz na zawsze wszystkie nasze problemy?

John wzruszeniem ramion oswobodził się z uścisku. Wpatrywał się w ziemię. Gwałtownym ruchem nogi odepchnął ciężkie skórzane siodło.

- Nie masz racji. Twoi rodzice się wściekną. Nawet ojciec będzie na ciebie zły... i ja... jeśli to zrobimy. Wiesz, że wszyscy orzekną, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry.

- To ja decyduję, kto jest dla mnie wystarczająco dobry! To ja wiem, za kogo chcę wyjść! - Silver potwierdziła te słowa tupnięciem. - Przyjaźnimy się od dziecka i moi rodzice nigdy się temu nie sprzeciwiali. Po fakcie ludzie zaakceptują nasz związek. Mama wie, że i tak nigdy nie poślubię jakiegoś fircykowatego nudziarza. Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, powiem jej, że prędzej zostałabym starą panną, niż oddała się jakiemuś nadętemu głupkowi! Jeśli jednak nie chcesz się ze mną ożenić, to trudno. Cóż, nie mamy dłużej o czym rozmawiać.

-To nie tak.

John chwycił ją za ramię i odwrócił, by spojrzała mu w oczy.

Silver okręciła się; włosy wysypały się spod wstążki, okrywając ramiona perłową kaskadą. Posłała młodzieńcowi triumfalny uśmiech.

- Wiesz, ile dla mnie znaczysz, więcej niż ktokolwiek,

nawet więcej niż rodzina - oświadczył z naciskiem John.
- Jesteś najpiękniejszą z dziewcząt, jakie kiedykolwiek widziałem.

Silver zaczerwieniła się i machnęła dłonią.

- Nie musisz mi prawić komplementów. Jesteśmy przyjaciółmi. - Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek. Potem dodała z błyskiem w oku: - Masz rację: będą kazania i obiekcje. Tyle tylko, że fakt dokonany udaremni protesty. A zatem... musimy uciec, by się potajemnie pobrać. Najwyższa pora, żeby wszystko staranie zaplanować.

Rozdział pierwszy

Wiosna 1821 roku

- Ubierz się i przyszykuj do opuszczenia tej nory.

Wysoki ciemnowłosy dżentelmen przemówił beznamiętnie, obrzucając wzrokiem zmiętą pościel i skomplikowaną plataninę ciał. Nieznaczny uśmiech ledwie uniósł kącik jego ust, gdy wykonał pół obrotu na pięcie. Zamierzał opuścić pokój w gospodzie położonej w irytującej odległości od Londynu, przy prowadzącym na północ gościńcu Great North. Kobieta o ciemnych włosach wydostała się spod kołdry i spod swojego blond kochanka, po czym usiadła na łóżku.

- Jesteś tak szlachetny, że aż mnie mdli. Miałeś więcej kobiet, niż potrafię zliczyć, a mnie odmawiasz prawa do odrobiny zabawy. Jak śmiesz mnie traktować jak nędzne go robaka?!

Intruz przystanął i oparł się o drzwi, przez które przed chwilą niepostrzeżenie wślizgnął się do pokoju. Oderwał

wzrok od własnych paznokci i obrzucił leniwym spojrzeniem białe piersi kobiety falujące z każdym urywanym ze złości oddechem. Wyprostowała się, wyraźnie wściekła.

- Ta ostatnia eskapada sprawiła mi ogromny kłopot, Tereso. Radzę, żebyś powściągnęła język. Mam na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż zagłębienie do wszystkich choiernych dziur, w których możesz cudzołożyć.

Zdenerwowany kochanek ciemnowłosej kobiety zerwał się z łóżka, chwycił ciśnięte bezładnie na podłogę bryczesy i szybko je wciągnął.

- Ona ma rację, Townsend - zauważył, zakładając koszulę. - Gdybyś nie był takim cholernym hipokrytą, czułbym się znacznie bardziej podle w tej niedwuznacznej sytuacji.

- Nie wtrącaj się, jego i tak mało to wszystko obchodzi. Obchodzą go tylko uczucia drogiej mamusi i chronienie dobrego imienia rodziny. Ha! Zabawne! Rockinghamowie zawsze słynęli z wybujałego temperamentu, to jest jasne dla wszystkich!

- Rzeczywiście, mojej matki nie cieszy, że jej synowa się łajdaczy. Któż by ją o to winił? Wracaj do swojej żony, Sheldon, zanim zapomnę o naszej dawnej przyjaźni i posiekam cię na kawałki.

Tobias Sheldon ściągnął z krzesła płaszcz, odsłaniając ukryty pod nim krótki pistolet. Chwycił broń.

- Jeśli chcesz go użyć, to proszę, nie wahaj się - zachęcił łagodnie Adam Townsend. - Gdybyś jednak wolał uchronić obie nasze rodziny przed skandalem, sugerowałbym

bardziej dyskretne spotkanie. Znajdę ustronną polanę, a ty możesz wybrać broń.

Tobias zerknął z ukosa na kochankę, która odpowiedziała mu wymownym spojrzeniem błyszczących oczu. Zażenowany, wepchnął pistolet do kieszeni.

-Bardzo rozsądnie - wycodził Adam z półuśmiechem.
- Ona nie jest-warta kłopotów, prawda?

Już po chwili na drewnianych schodach zadudniły oddalające się kroki Tobiasa.

Rejterada kochanka sprawiła, że kobieta zacisnęła mocno usta. Obrażona, uniosła z podłogi modny pantofel i cisnęła nim w Adama. Uchylił się zręcznie i but uderzył w drzwi. Na wybuch agresji zareagował tylko uniesieniem czarnych brwi. W odpowiedzi Theresa zerwała się z krzykiem z łóżka i rzuciła na niego z pięściami. Błyskawicznie chwycił ją za ręce, by nie rozorała mu twarzy paznokciami. Szarpała się i wiała; gdy poczuł, że te ruchy nabierają zmysłowej wymowy, odwrócił ją i lekko pchnął w kierunku łóżka.

- Ubieraj się, Thereso. Zaczekam na dole najwyżej dziesięć minut.

- Dziesięć minut! - wykrzyknęła z niedowierzaniem, opierając dłonie na prowokacyjnie wysuniętych do przodu biodrach. Teatralnym gestem wskazała kosztowny strój piętrzący się w nieładzie na grubo ciosanym wiejskim stołku. - Spodziewasz się, że w tym czasie doprowadzę się do porządku na tyle, żeby móc pokazać się ludziom na oczy?

- Nie, wcale nie, moja droga - odparł lekko. - Sądzę, że

tego stanu nie osiągniesz nawet w ciągu dekady. Po prostu włóż suknię i zarezerwuj te dąsy na podróż na południe. Sheldon ulotnił się razem ze swoimi pieniędzmi, masz zatem do wyboru: jechać ze mną albo ogarnąć się w swoim tempie i samodzielnie dotrzeć do domu.

Zamknął za sobą drzwi i zaśmiał się gorzko, gdy głuchy odgłos poinformował go, że również drugi pantofel chybił celu, wprawiając tylko w wibrację drewno. Usłyszał przenikliwy wrzask i przekleństwa. Ponieważ Adam niedawno odziedziczył po ojcu szlachecki tytuł, niektóre epitety uznał za oszczerstwo. Większość jednak, przyznał w duchu uczciwie, odpowiadała prawdzie.

W barze na dole Adam Townsend, markiz Rockingham, zamówił brandy i zajął miejsce przy oknie. Na zewnątrz, w mroku rozjaśnionym tylko mizerną poświatą oliwnej lampy, Tobias Sheldon konferował ze stajennym, który przyprowadził jego powóz. Po chwili pojazd ruszył, a Adam, walcząc z ogarniającym go smutkiem, obserwował, jak się oddała. Niegdyś lubił Tobiasa, a teraz ich przyjaźń zepsuła Theresa z domu Montague. Miała ogromną władzę nad mężczyznami. Jedli jej z ręki. Przekonał się o tym na własnej skórze. Jak bardzo żałował, że uległ jej zdradzieckim wdziękom! W końcu to z jego winy weszła do rodziny Rockingharnów i delectowała się rozbijaniem jej na kawałki.

Odchylił się na krześle, żeby. drążki oparcia przestały uciskać kręgosłup. Zastanawiał się, czy warto poszukać wygodniejszego miejsca do siedzenia. Wiedział, że szyko-

wanie się do wyjścia zajmie Theresie co najmniej godzinę. Prawdopodobnie zresztą będzie celowo zwlekała, żeby go - zniecierpliwionego oczekiwaniem - skłonić do powrotu na górę.

Wydobył z kieszonki zegarek, a potem utkwiał ponure spojrzenie w oknie, za którym majaczyło podwórze. Mżyło, zmrok zapadł przedwcześnie. Odłożenie podróży do rana wydawało się sensowne. Wkrótce zapanują nieprzeniknione ciemności, a nie uśmiechała mu się jazda nocą, niebezpieczna z powodu czyhających przy drodze spragnionych łupów rozbójników. Ponadto musiałby wysłuchiwać wy mówek Theresy.

Zacisnął usta. Miał już dość przykrych przeżyć jak na jeden dzień i kusiło go, żeby - gdyby jednak wyruszyli - ponieść koszt wynajęcia oddzielnego powozu dla Theresy, by przynajmniej podróżować w rozkosznej samotności.

Na taką propozycję ona niezawodnie wybuchnie płaczem i zacznie się spierać, on jednak, nękanym poczuciem winy, rozpaczliwie pragnął izolacji. Westchnął i ponownie zapatrzył się w okno. Kieliszek brandy powędrował do ust, zawisł jednak w powietrzu. Wyraz głębokiego zdumienia na twarzy momentalnie zastąpił znudzoną i lekko cyniczną minę. Adam szybko otworzył przymknięte dotąd oczy. Odwrócił głowę i patrzył, jednocześnie energicznie przecierając brudną szybę okna.

Z wyrazem oszołomienia na twarzy opadł na oparcie. Po chwili znów wyrżał, marszcząc brwi, pragnąc przekonać sam siebie, że młoda kobieta, której się niegdyś oświadczył, rze-

czywiście tkwi nieruchomo w sączącej się z nieba mżawce, i mokrymi, błyszczącymi włosami przyklejonymi do głowy. Odsuwając krzesło, jednym haustem opróżnił kieliszek.

Silver przeciągnęła palcem po błyszczących drzwiczkach. Pojazd w rodzaju tych, które jej dawniej imponowały. Nie miała tylko pewności, czy powóz jest czarny; równie dobrze mógł być ciemnozielony albo granatowy. W słabym świetle trudno było to rozeznąć, jednak nieskazitelna para koni w uprzęży wydała się jej znajoma. Wytworny środek lokomocji preferowany przez dżentelmenów, którzy nawet pędząc na złamanie karku, pragną wyglądać elegancko.

Kiedyś błagała, żeby ją zabrać na przejażdżkę takim powozem. Dżentelmen, do którego należał, zignorował jej prośby. To wspomnienie niekiedy jej dokuczało... Rzadko oczywiście, i nigdy tego zdarzenia nie rozpamiętywała...

- Nadal chcesz się przejechać?

Silver okręciła się na pięcie. Przedtem podskoczyła, jakby zagadujący ją nagle ryknął, a nie zwrócił się miłym, uwodzicielskim barytonem.

Odchyliła głowę, ponieważ szukała ręką kapelusza zwisającego na wstążce na plecach. Za późno nacisnęła go na głowę, ukrywając lśniące jasne włosy, jakby mogła jeszcze zataić swoją tożsamość. Para ciemnych oczu, w których igrało czułe rozbawienie, przyjęła miękko jej zaskoczone spojrzenie.

-Lordzie Malvern, ja... eee... co pan tu robi? - zapytała niespokojnie.

Uwagi Adama nie umknęła irytacja, jaka zabrzmiała w głosie Silver, Udając, że spotkał go afront, odparł:

- Właśnie miałem zapytać panią o to samo, panno Meredith. - Naśladując ją, rozejrzał się wokół, jakby pragnąc ustalić, z kim dziewczyna podróżuje. Nie mogła przecież przebywać sama w tego rodzaju przybytku. - Sądzę, że po winno mi pochlebiać, że w ogóle mnie pani poznała. Mi nęło sporo czasu, już ponad dwa lata, od kiedy... - Nie dokończył, obrzucając ją taksującym spojrzeniem. - Pamiętam, że nasza ostatnia konwersacja zakończyła się wyrażeniem przez panią pewnego pragnienia; oznajmiła pani, że już nigdy nie chce mnie widzieć. Czy muszę zatem prosić za to, że stanąłem pani na drodze?

Na tę łagodną ironię policzki Silver zabarwił silny rumieniec. Cieszyła się, że chłodna mgiełka deszczu na twarzy i słabe oświetlenie pozwalają to ukryć.

- Byłam wtedy znacznie młodsza i... niekiedy nierozsądnie szczerą.

— A teraz już nie? - spytał Adam z przekąsem.

Drwina brzmiąca w jego głosie sprawiła, że podbródek Silver gwałtownie powędrował w górę. Bez wątpienia była nadmiernie porywcza i naiwna, mając szesnaście lat. Pamiętała też, że niegrzecznie odrzuciła oświadczyzny tego mężczyzny.

Spojrzenie Adama błędziło po zwróconej ku niemu pięknej twarzy o regularnych delikatnych rysach. Ładnie wykrojone usta wykrzywił grymas zniecierpliwienia. Mimo że brak dobrych manier sprzed dwóch lat usprawiedli-

wiła młodym wiekiem, spodziewał się, że teraz również nie redzie nazbyt uprzejma i układna.

- Podróżuje pani z matką czy jedną z sióstr?

Po krótkim wahaniu Silver postanowiła zaatakować, zamiast się tłumaczyć.

- Podczas naszej ostatniej rozmowy nie tylko ja byłam niegrzeczna. O ile pamiętam, pan także nie pozostaje bez winy. Nazwał mnie pan niezdolnym bachorem.

-No cóż... wtedy ja również byłem młodszy i... nierozsądnie szczery. W przeciwnym wypadku nigdy bym się pani nie oświadczył.

Silver wpatrywała się w Adama, z niewiadomej sobie przyczyny urażona.

- Nie wierzę panu. Pan naprawdę chciał się ze mną oze nic - powiedziała i urwała, gdyż Adam przypatrywał się jej z widocznym podziwem, od którego ogarnęła ją fala gorąca.

- Obawiam się, że pan się ze mnie naśmiewa. Obawiam się też, że trudno mi w takiej sytuacji zachować spokój. Najlepiej rozstańmy się, tym razem bez urazy. Życzę miłego wieczoru.

Szybko prześlizgnęła się obok Adama i ruszyła w kierunku drzwi gospody.

- Z kim pani podróżuje? I dokąd?

Dłoń, która ją zatrzymała, spoczęła lekko na jej ramieniu. Teraz jednak rozbawienie ulotniło się z głosu Adama. Zadał pytanie stanowczym tonem. Domagał się odpowiedzi.

Nagle na podwórzu wylała się plama złocistego światła, sprawiając, że Silver zerknęła nerwowo na drzwi. Zakłęła cicho na widok osoby, która wyłoniła się z wnętrza gospody.

- Obawiam się, panno Meredith, że w ogóle się pani nie zmieniła. - Adam usłyszał i skomentował w ten sposób niecenzuralny wyraz.

Do Silver ta uwaga ledwie dotarła. Wpatrywała się w Johna Vance'a, który przecinał wybrukowany dziedziniec, zmierzając w ich kierunku. Usiłowała zatrzymać go spojrzeniem szeroko otwartych oczu, mrok i odległość udaremniły jednak ten zamiar. Ponaglany poczuciem obowiązku, jeszcze przyspieszył kroku.

- Mają wolny pokój i przygotowują nam posiłek. Kto to jest? - zapytał John, swoim zwyczajem bez owijania w bawełnę.

Przeniósł wzrok z Silver na stojącego obok niej mężczyznę.

Adam oszacował spojrzeniem atletycznego młodzieńca, który stanął zdecydowanie zbyt blisko panny Meredith. Może jest zaufanym sługą rodziny... Nie, raczej nie, uznał, gdy młody człowiek ujął dłoń Silver i ułożył ją na swoim przedramieniu.

. - Czy zostaniemy sobie przedstawieni? - zapytał łagodnie.

Zmrużył oczy i przypatrywał się przystojnemu młodemu mężczyźnie, podtrzymującemu przedramieniem dłoń Silver, jakby dziewczyna do niego należała.

Panna Meredith wbiła wzrok w ziemię, marząc, by rozstała się i ją pochłonęła. Dlaczego nie pojechali kawałek dalej i nie zatrzymali się w mniej uczęszczanym miejscu? I dlaczego właśnie ten człowiek, spośród całego mnóstwa gospód i oberż przy gościńcu Great North, musiał wybrać właśnie tę?

No cóż, stało się i teraz nie pozostawało nic innego, jak wziąć byka za rogi i ujawnić powód, dla którego ona i John podróżują razem. Ostrożnie zerknęła na oczekującego wyjaśnień wytwornego dżentelmena; na chwilę ich spojrzenia, spotkały się, co przywołało najbardziej bolesne wspomnienia.

Kiedy ostatnim razem Adam Towasend tak na nią patrzył, straciła głowę i to ją zirykowało. Wygarnęła mu więc, że wyprasza sobie takie spojrzenia. Hugona Robinson, odrzuciła w podobnych okolicznościach. Roześmiał się wtedy i powiedział, że jej pokaże, dlaczego tak patrzy. I, ku jej krańcowemu obrzydzeniu, rzeczywiście pokazał.

Właśnie miała przerwać nabrzmiałą oczekiwaniami ciszę sprytnym wyjaśnieniem, gdy jej towarzysz podróży nerwowo wypalił:

- Nazywam się John Vance, a ta pani jest moją żoną.

Rozdział drugi

- Pańską żoną?

Rozbawienie i niedowierzanie w głosie Adama skłoniły Silver do dumnego uniesienia głowy.

- Tak, jestem panią Vance. A teraz, jeśli pan wybaczy, pragniemy oboje coś zjeść. Mąż zamówił dla nas gorący posiłek i pokój.

- Pokój jest już przygotowany i wkrótce podadzą nam kolację na piętrze - poinformował John.

Pochopna nadzieja Silver, że teraz po prostu odejdą, roz-
wiała się już po chwili. Adam milczał, a widoczny szok, ja-
kiego doznał, sprawił, że para młodych ludzi zastygła w na-
pięciu. Przerwały je słowa:

- Proszę mi wybaczyć zwłokę w przedstawieniu się. Oczywiście nie wie pan, kim jestem. Adam Townsend, do usług. - Po krótkiej przerwie usłyszeli: - Gratulacje, panie Vance. Jest pan szczęśliwym człowiekiem, skoro zaskarbił pan sobie względy panny Meredith.

John się uśmiechnął i wymamrotał słowa podziękowania. Potem wyciągnął rękę.

Nie bacząc na obcesowość gestu, Adam bez chwili wahania uściśnął zadbaną dłoń.

- Miłego wieczoru - szepnęła Silver, kierując się w stronę gospody.

Tak gorąco pragnęła jak najszybciej uwolnić się od kręcącej obecności Adama, że dopiero na poskrzypujących schodach skonstatowała ze zdziwieniem, że nie przedstawił się jako lord Malvern.

- Jasna cholera! - wykrzyknęła, gdy tylko zatrzasnęły się drzwi za posługaczem, który przyniósł im posiłek

John obserwował ją niespokojnie. Wyraźnie wściekła, przemierzała w tę i z powrotem wytarty dywan. Nie mógł nie zauważyć, że zacisnęła małe dłonie w pięści i uderzała nimi w spódnicę zgodnie z rytmem kroków.

-Chodź tutaj, usiądź i zjedz - poprosił, gdy kontynuowała marsz.

-Nie mogę jeść! Dlaczego, na Boga, natknęliśmy się akurat na niego?

- A jakie to ma znaczenie?

- Ma i już!-odparła opryskliwie.

Zdawała sobie jednak sprawę, że John słusznie ocenił sytuację. Równie brzemiennie w skutki byłoby spotkanie z jakimkolwiek znajomym. Wydawało się, że tutaj, w odległości wielu mil od ich domów w Hertfordshire, postój na nocleg niczym nie grozi.

Gościniec Great North kuśił znużonych podróżnych

wieloma oberzami. Meredithowie obracali się w wytwornym towarzystwie, a rodzice Johna, starsi i obarczeni obowiązkami, bardzo rzadko opuszczali dom. Silver zakładała więc, że prawdopodobieństwo spotkania tu kogoś, kto mógłby ich rozpoznać, jest nikłe. Spojrzała na Johna, który zaatakował widelcem pieróg nadziewany wołowiną i ostrygami, a potem uniósł kufel i odchylił cynową pokrywkę.

Jak bardzo się myliła! I co, u diabła, par Anglii porabiał w takim miejscu? Być może Adam, przedstawiając się, nie użył swojego tytułu zakłopotany faktem, że go tu zastali? Silver odrzuciła jednak tę myśl. Na pewno by się nie przejął ich opinią, a zresztą... Prędzej mogła sobie wyobrazić, że piekło zamarzło, niż że Adam Townsend jest zawstydzony.

- Och, nie rozumiem, jak możesz się objadać w takiej sytuacji - rzuciła z rozdrażnieniem.

John ze skruszoną miną odłożył widelec.

- A ją nie pojmuję, co tobą tak wstrząsnęło. Przecież prędzej czy później i tak musi się wydać, że jesteśmy małżeństwem.

- Nie teraz! Nie przed ceremonią! Nie pokonaliśmy nawet połowy drogi do Gretna Green!

- Prosiłaś przecież, bym powiedział w gospodzie, że jesteśmy mężem i żoną.

John sprawiał wrażenie zmieszanego i skrepowanego.

- Tak, wiem. - Silver westchnęła. - Skoro jesteśmy razem, musimy się trzymać tej wersji ze względu na konwenanse. Podejrzliwa gospodyni mogłaby uznać, że powinna zawiadomić władze o parze podróżującej bez ślubu.

- Cóż zatem zmienia, że ten Townsend sądzi, iż jesteśmy już po ślubie? Za dzień czy dwa to i tak się stanie.

Silver niespodziewanie opadła na krzesło naprzeciw Johna.

- Nie wiem. - Wzięła widelec i zaczęła jeść. - Ja tylko myślę... czuję... Uważasz, że nam uwierzył? Odniosłam wrażenie, że ma wątpliwości.

John ujął jej dłoń.

- Wydał mi się równym gościem. I zamożnym. Skąd masz takie osoby z wyższych sfer? Jest przyjacielem twojego ojca?

Silver pokręciła głową.

- Przyjacielem Williama Pembertona, mojego szwagra. Adam Townsend jest lordem Malvern. Pamiętasz, jak wróciłam z Londynu po tym porwaniu? Lord Malvern pomógł Williamowi ocalić moją siostrę i mnie przed tamtym szubrawcem.

- Tak, rzeczywiście, opowiadałaś mi o nim - potwierdził z respektem John.

Ujął widelec i poruszył nim niepewnie.

- Przepraszam, jedz - zachęciła go łagodnie Silver. - Pieróg wystygnie.

Nękało ją poczucie winy; właściwie bez powodu potraktowała Johna szorstko. To nie jego wina, że los się na nich uwziął. Gdyby nie zamarudziła przy powozie Townsenda, na pewno by jej nie dostrzegł. Najwidoczniej z obawy przed kradzieżą nie spuszczał z oka tak kosztownego ekwipażu.

Po kilku kęsach pysznego mięsa w cieście gład zwyciężył i pochłonęła resztę posiłku ze smakiem. Szklanka słodkiego czerwonego wina rozgrzała ją i rozluźniła napięte nerwy.

- Wyruszymy wczesnym rankiem - zdecydowała. —Jeśli jego lordowska mość nie wyjedzie dzisiaj, w co wątpię, biorąc pod uwagę ciemności i wstrętą pogodę, znikniemy stąd, zanim wstanie z łóżka.

- Nie mogę uwierzyć, że ona nam to zrobiła! I to potajemnie, w taki podstępny sposób!

Edgar Meredith zmęczonym ruchem uniół skąpo owłosioną głowę.

- Nasza Silver nie jest przecież jakąś sprytną kokietką - zauważył, używając przezwiska córki, którym w rodzinie często się posługiwali. - Uważasz, że tego starannie nie zaplanowała?

- No cóż, może rzeczywiście nie ma potrzeby aż tak się przejmować - naburmuszonym tonem odparła Gloria.

Zachodziła w głowę, jak też najmłodsza córka zdołała oszukać ich wszystkich, tak że nie zdawali sobie sprawy z jej nieobecności przez całą dobę. Poprzedniego dnia pod pretekstem bólu głowy Sylvie wycofała się do swojego pokoju po popołudniowej herbacie, prosząc, żeby nie budzić jej na kolację. Zanim podniesiono alarm, minęło południe. Jej krótki list, wyjaśniający przyczyny nieobecności, został przeczytany, zmięty i rzucony na podłogę, a potem podniesiony i znów przeczytany. Zbiegowie zyskali kolejne kwadransy.

- Jak zamierzasz w tej sytuacji postąpić?

Edgar zapadł głęboko w fotel przy kominku.

- A czego się po mnie spodziewasz, moja droga? Ona wprawdzie nie jest pełnoletnia, ale nie jest też dzieckiem. Skoro postanowiła poślubić Johna Vance'a, to poślubi Johna Vance'a, i nic, co ty czy ja powiemy lub zrobimy, tego nie zmieni.

- Jak możesz tak mówić? To nieodpowiednia partia! - pisnęła Gloria. - Sylvie jest szlachetnie urodzona i wyjątkowo piękna!

- A John pochodzi z dobrej wiejskiej rodziny i jest bardzo przystojny.

- Tak, ale on jest.... No cóż, odrobinę.

Gloria wykonała znaczący gest ręką i pokręciła głową.

- Jest świetnym młodym człowiekiem - orzekł Edgar.

- Jest miły i wielkoduszny, uwielbia naszą córkę. Poza tym - dodał jowialnie - nigdy nie zaznają głodu, bo on wędkuje i poluje. A strzela świetnie. - Dostrzegł, że żony nie rozbawiła ta uwaga, kontynuował więc już poważnie: - Może jej zapewnić wygodne życie w majątku swojego dziadka.

- Wygodne? Sylvie nie może skończyć jako żona rolnika! - krzyknęła Gloria. - Jej przeznaczeniem jest wyjść do brzo za męża. Czyż jeszcze zanim skończyła siedemnaście lat, nie oświadczył się jej lord Malvern? Teraz ma jeszcze więcej wdzięku niż wtedy i nie buja już tak w obłokach. Musi się obracać we właściwych kręgach. Będzie zasypywana propozycjami, otoczona konkurentami... Ja to wiem!

- A nie przyszło ci do głowy, Glorio, że może właśnie to

skłoniło ją do ucieczki? Wybacz, moja droga, ale uważam, że właśnie ciągle wiercenie jej dziury w brzuchu powrotem do miasta i nakłanianie do wystawienia się na sprzedaż na małżeńskim targowisku popchnęły ją w ramiona mężczyzny, którego przynajmniej lubi.

- Zatem to moja wina, że zbiegła z tym półgłówkiem?

W tym momencie Edgar się rozgniewał.

- Są gorsze rzeczy niż powolność w czytaniu i pisaniu. Gloria zaczerwieniła się na tę naganę. Już mniej pewnie dodała:

-Ona przecież nie musi wyjeżdżać do miasta, żeby znaleźć męża. Tuż obok mieszka kandydat absolutnie odpowiedni. Jestem pewna, że Hugon bardzo ją lubi, a ona nawet nie zamierzała się pofatygować do Robinsonów na kolację. Gdybym nie przyjaźniła się tak blisko z jego matką, usprawiedliwienie nieobecności Silver sprawiłoby mi kłopot. A on jest przystojnym młodym człowiekiem, także mądrym.

- Jak już wspominałem, są gorsze rzeczy niż pewna ociężałość umysłu - powtórzył z naciskiem Edgar.

- Co to ma oznaczać?

- To, że usłyszałem o Hugonie Robinsonie coś, co mi się nie spodobało. Być może do Sylvie także dotarły te pogłoski i dlatego woli go unikać.

Gloria spojrzała zdziwiona, czekając na wyjaśnienia.

Przez chwilę Edgar milczał, zagłębiony w myślach. Nie miał pewności, czy wszystko co słyszał, odpowiada prawdzie, niektóre zaś informacje uznał za zbyt drażliwe, by po-

tarzać je damie, nawet własnej żonie. Ostrożnie wspominał o tym, co wiedział na pewno, gdyż sam był tego świadkiem:

- To łobuz. Wiem, że pobił paru chłopców z wioski, przypadkiem znalazłem się wtedy w pobliżu. Nie dostrzegłem z ich strony żadnej prowokacji. Robinson chciał się po prostu popisać przed swoimi kompanami.

Gloria zbagatelizowała tę wiadomość.

- Młodzi ludzie często muszą się wyszumieć. Na pewno żałował później, że się wygłupił. Nie przywiązywałabym uwagi do takiego wybryku. - Przechyliła głowę i dodali z namysłem: - Mnie zawsze wydawał się czarujący.

- Jestem przekonany, że jest czarujący. Dla ciebie - zakończył znacząco Edgar,

- Och, chcesz mi dokuczyć. Nie ma w tej chwili sensu zastanawianie się nad Hugonem. Mamy ważniejsze sprawy. Musimy sprowadzić Sylvie do domu, zanim popełni nieodwracalne głupstwo, które będzie rzutować na całe jej życie. Czy znów mamy stać się przedmiotem plotek z powodu zachowania córki?

- Czego ode mnie oczekujesz? Czy, twoim zdaniem, powinienem zwrócić się o pomoc do rodziny?

Również Edgar obawiał się skandalu, zwłaszcza że w porównaniu ze starszymi siostrami Sylvie była szczególnie krnąbrna i nadmiernie samodzielna. Zresztą z Rachel, Isabel oraz June też były problemy. Wszystkie jego córki były piękne, lecz także zbyt dumne i niezależne jak na czasy, w jakich przyszło im żyć. Ostatecznie jednak ustabilizowa-

ły się i były szczęśliwe. Sądził więc optymistycznie, że młodziutki Sylvie nie przerwie tej dobrej passy. Rzut oka na zaniepokojoną twarz żony podważył to przekonanie.

- Gdybym był o kilka lat młodszy i nieco sprawniejszy sam bym jej poszukał. Obawiam się jednak, że teraz to niemożliwe.

- Connor jest w Irlandii, Etienne w Suffolk. Tylko William mieszka blisko, w mieście. - Gloria ze zniechęceniem w głosie wymieniła miejsca pobytu swoich zięciów.

- No cóż, w takim razie muszę się do niego wybrać - rzekł Edgar głosem męczennika.

- Nie, wcale nie musisz - zaprotestowała Gloria. - Lekarz zalecił ci spokój, możesz mieć kolejny atak. - Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w męża, który dramatycznym gestem chwycił poręcz fotela. - Och, skoro ona chce sobie zrujnować życie, dlaczego ja miałabym się tym przejmować? - Gloria gniewnie gestykulowała. - Zawsze była porywcza i nieposłuszna. No cóż, jeżeli uważa, że może sobie wrócić za parę miesięcy do domu jak gdyby nigdy nic, to niech lepiej to przemyśli. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz, moja panno!

- Jestem pewien, że nie chciała w taki sposób opuszczać domu. Nie sprawiała wrażenia dziewczyny polującej na męża.

- Wszystkie dziewczęta pragną wyjść za mąż -- dowodziła Gloria. - Naturalnym powołaniem kobiety jest znaleźć wartościowego dżentelmena, który będzie miły i... zapewni miłe rzeczy, oczywiście.

- Aha, wyszło szydło z worka. Taki dżentelmen dysponuje przede wszystkim zasobnym portfelem. Czy ty wypełniłaś swoje powołanie, Glorio? - zapytał Edgar.

Gloria przyjrzała się mężowi. Trudno było w nim rozpoznać eleganckiego młodego człowieka z czasów młodości.

- Ja zdobyłam więcej, niż oczekiwałam - odparła z uśmiechem. - Uważam się za szczęśliwą kobietę.

- To tylko uprzejmość, kochanie.

Edgar udawał, że bagatelizuje oświadczenie żony. W rzeczywistości był usatysfakcjonowany.

- Tak czy inaczej uważam, że ściganie ich nie ma sensu - podsumowała Gloria z nutą rezygnacji w głosie. - Na pewno są już daleko, a ona i tak jest skompromitowana. Jeśli w końcu uda się sprowadzić ją do domu, a ta nieszczęsna eskapada wyjdzie na jaw, będziemy zmuszeni doprowadzić do tego, by John Vance ją poślubił, czy tego chce, czy nie.

- Sytuacja rodziców Johna nie jest weselsza od naszej, Glorio. - Edgar wstał i zaczął powoli przemierzać pokój.

- Frank Vance powiedział, że będzie mi towarzyszył, gdybym wyruszył w pościg. Niepokoi się jeszcze bardziej ode mnie. Prawdę mówiąc, sądzę, że oni obwiniają o tę ucieczkę naszą córkę, chociaż to ona jest młodsza.

- John ma już dwadzieścia dwa lata! Jak mogą myśleć, że zawiniła nasza Sylvie? Dopiero skończyła osiemnaście lat!

Edgar obdarzył żonę zmęczonym uśmiechem. - Chyba wszyscy zdajemy sobie sprawę, kto mógł

wpaść na taki pomysł, Glorio. John czci ziemię, po której stąpa nasza Sylvie. To ona wszystko wymyśliła, możesz być pewna.

Sylvie obudziła się natychmiast, gdy pierwsze słoneczne promienie padły na jej powieki. Rozkoszowała się tyrr uczuciem przez parę minut, gdyż noc zatarła pamięć zdarzeń, o których zdecydowanie wołała zapomnieć.

Usiadła na łóżku, w porannym chłódzie starannie owinięta pledem, i zerknęła na Johna, który spędził noc na fotelu. Nadal spał. Proste kasztanowe włosy, teraz zmierzwiłone, opadły na zamknięte powieki. Z podbródkiem na piersi i odętymi wargami wyglądał bardziej chłopięco niż zwykle. Choć Sylvie miała przed oczami śpiącego przyjaciela, zapragnęła przekonać się, czy również Adam Townsend zmienia swój niefrasobliwie ironiczny wyraz twarzy kiedy sądzi, że nikt go nie obserwuje. Być może tak, miała jednak pewność, że nawet wtedy nie sprawia wrażenia bezbronnego.

Zganiła się w duchu za te myśli, opuściła zgrabne nogi na podłogę i podeszła do okna, żeby wyjrzeć. A oto dowód, że ten choiernik nadal znajduje się w pobliżu. Elegancki powóz ozdobił podwórze, tyle tylko, że na noc wyprzęgnięto parę pięknych rasowych koni.

Wyższe sfery rzadko zrywają się o świcie. Sylvie pragnęła, by lord Malvern przestrzegał tej reguły nawet w tak podłym miejscu. Miała nadzieję, że zanim arystokrata powita dzień, oni oddalą się już o wiele mil. Nie zamierzała kon-

tynuować dyskusji o swoim małżeństwie i towarzyszących nim okolicznościach.

Odwróciła się szybko od okna i potrząsnęła Johna za ramię. Obudził się i zaczął trzeć oczy.

- Czas wyruszać - rzuciła nagle. - Lord Malvern na pewno tu jest i lepiej uniknąć kolejnego spotkania.

John mruknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego; sen-nym ruchem wymacał na podłodze buty i zaczął je zakładać.

- Przygotuję się do drogi, a ty w tym czasie zapłać za nocleg.

Wyjęła pieniądze z małej sakiewki.

John je przyjął i szybko wygładził ręką zmięte ubranie.

Kiedy Sylvie została sama, umyła się, drząc pod strumieniem lodowatej wody. Potem włożyła ciepły podróżny strój. Podczas snu włosy do końca jej wyschły i skrzyły się

w lśniące jasne loki. Nie udało się ich przygładzić, otaczały więc niesfornie idealny owal twarzy.

Sylvie przejrzała się w splekanym lustrze stojącym na komodzie, ustawiając je pod różnymi kątami. Duże oczy barwy burzowych chmur patrzyły z troską. Poszczypała policzki koloru kości słoniowej, żeby ożywić je odrobiną czerwieni.

Nie wyglądała najlepiej i musiała uczciwie przyznać, że również dlatego pragnęła uniknąć spotkania z jego lordowską mością. Westchnęła z rezygnacją i niecierpliwie odechnęła lustro. Po cóż się martwić, że ujrzy ją w tym stanie w świetle dnia? A jednak... Tak, to jej zraniona duma. Jego

uwaga, że żałuje, iż poprosił o jej rękę, zabrzmiała szczerze pomimo uśmiechu, jakim ją złagodził. Dlaczego jedni miałyby ją drażnić? Ona przecież także żałowała!

Jej rozmyślania przerwał nagle John, który otworzył drzwi i obwieścił;

- Rachunek uregulowany, a pani Bragg przygotowała nam jeszcze prowiant na drogę. - Pokazał niewielki zawiniątko i zmarszczył brwi. - Obawiam się, że mogła odgadnąć, dokąd zmierzamy. Wręczając mi to, mrugnęła znacząco.

- No cóż, zapewne nie jesteśmy pierwszymi ucieki nierami, którzy tutaj nocowali i przedstawili się jak małżeństwo.

Uśmiechnęła się do Johna. Na pewno nie wpadło mu do głowy, że gospodyni obdarowała ich po prostu z dobrego serca, a puściła do niego oko, bo uznała, że to kawał chłopca. Szerokie ramiona i niebieskie oczy Johna przyciągały uwagę kobiet.

Sylvie wielokrotnie zauważyła, że wiejskie dziewczyna z okolic Windrush przyglądają mu się z zainteresowaniem. Kiedyś nawet sobie z tego zażartowała, a on się zmieszał i zapewnił ją poważnie, że jest jedyną dziewczyną, którą lubi, a na inne nie zwraca uwagi. Gdy dla odmiany on zażartował, pytając, czy jest zazdrosna, ona się spieszyła.

Schowała do sakiewki drobne monety, które zostały po zapłaceniu rachunku.

- Umyj się i przygotuj, a ja zaczekam na dole - poleciła. Przy drzwiach zawahała się. - Pośpiesz się - dodała. - Nie

chce, żeby lord Malvern widział, jak odjeżdżamy. Jeśli się zorientuje, że zmierzamy na północ, na pewno doda dwa do dwóch.

Podwórze było puste. Sylvie wyszła na pokryty szronem bruk i wciągnęła w płuca mroźne powietrze. Zbadała wzrokiem okna pod omszałą strzechą. Wszystkie firanki były zasłonięte. Poza Johnem jedyną napotkaną tego ranka ludzką istotą była pani Bragg, która ospale pomachała jej dłonią, by chwilę później zasłonić potężne ziewnięcie.

Sylvie chłonęła zapach wczesnej wiosny, beztrąsko wyciągając ręce nad głowę. Upewniwszy się, że nic nie stoi na przeszkodzie, by z Johnem ruszyli w drogę, poweselała. Wieczorne rozterki się ulotniły. Promienie słońca wstającego nad horyzontem i czyste błękitne niebo zapowiadały piękny dzień.

Przepełniona spokojem, wciąż z uniesionymi rękoma, nagle zamarła. Dwaj mężczyźni podejrzenie ostrożnie wyjrżeli zza wrót pierwszej stajni. Wyłonili się, najpierw jeden, potem drugi, prowadząc wspaniałe konie. Sylvie natychmiast poznała zwierzęta. Skoro wyprowadzają czarne ogiery, może to oznaczać tylko jedno: lord Malvern szykuje się do odjazdu już teraz, znacznie wcześniej, niż przypuszczała. Ich wynajęta drynda i stare chabety muszą, rzecz jasna, poczekać, aż stajenni przygotowują do drogi wytworny ekwipaż.

Przyglądała się mężczyznom. Rozejrzeli się szybko i zaczęli wymieniać szeptem jakieś uwagi. Sylvie zdała sobie

nagle sprawę, że wyglądają inaczej niż stajenni, którzy poprzedniego dnia wyprzęgli ich konie.

Brudne ciemne włosy jednego z nich ściągała kolorów; chusta, drugi miał w uchu złoty kolczyk. Nie dostrzegli jej. Kiedy się zbliżali, jakby ukradkiem, zauważyła, że pierwszy koń jest niespokojny. Mężczyzna trzymał go krótko, żeby stłumić parskanie.

Sylvie ogarnęło oburzenie przemieszane ze strachem. Oni kradli konie Adama Townsenda! To podejrzenie na tychmiast się potwierdziło. Mężczyźni wyprowadzali zwierzęta z podwórza, w kierunku zagajnika za studnią. Im bardziej się oddalali, tym ich chód stawał się szybszy. Wkrótce znikną z pola widzenia.

Podniesienie alarmu zwróciłoby niepożądaną uwagę na nią i Johna, sumienie nie pozwalało jednak Sylvie na bier ność. Westchnęła rozpaczliwie, a potem wciągnęła głęboki powietrze i krzyknęła:

- Łapać złodziei!

Rozdział trzeci

Rabuś w barwnej chustce natychmiast obejrzał się przez ramię. Drobna dziewczyna pędziła w ich kierunku, furkocząc peleryną. Odruchowo puścił wodze i zwierzę odskoczyło. Z bliska Sylvie dostrzegła, że złodziej to chłopiec, o dobre kilka lat młodszy od swojego towarzysza. Rzucił się niezdarnie na konia, usiłując znów go schwytać, jednak

kopyta młóćące powietrze, zmusiły go do odstąpienia od tego zamiaru.

Sylvie osadziły w miejscu złowieszcze spojrzenia. Gdyby nie bliskość gospody i obawa przed schwytaniem, złodzieje na pewno by ją zaatakowali, wściekli z powodu pokrzyżowania im planów. Słyszała, jak spierają się w niezrozumiałym dla niej języku, widziała, jak się szarpią i popychają. Odgadła, że obarczają się wzajemnie winą za niepowodzenie.

Złodziej panujący jeszcze nad ogierem dosiadł go na oklep i pomógł współnikowi wspiąć się na koński grzbiet.

Uderzeniami kolan zmusili zwierzę do galopu w kierunku drzew.

Sylvie puściła się biegiem w stronę gospody. Wymachując rękami, dopadła do gospodyni, która z otwartymi z zdziwienia ustami stanęła w kuchennych drzwiach.

- Pani Bragg, proszę wezwać pomoc! Złodzieje! - krzyknęła, gdy odzyskała oddech.

Kobieta wreszcie otrząsnęła się ze zdumienia i wbiegła do gospody. Po kilku sekundach z wnętrza zaczęły dobiegać głosy, otwierano mansardowe okna, jacyś ludzie wrzeszcząc, domagali się ciszy, a inni pytali, co się, u diabła, dzieje. Sylvie uśmiechnęła się przeproszająco. Przycisnęła dłonie do uszu, żeby je uchronić przed potokiem przekleństw.

John pierwszy wypadł na podwórze. Upuścił podróżny kufer i pospieszył w jej kierunku. Urywaniem podniecia głosem zdawała mu sprawę ze zdarzenia, w którym mi mo woli uczestniczyła. Zanim skończyła, pojawił się Adam Townsend.

Ścisnął w garści lnianą koszulę, której w pośpiechu nie zdążył włożyć. Sylvie widywała go dotąd tylko w nienaganym stroju; gdy teraz stanął przed nią na wpół nagi, urwała nagle relację. Poczowała się dziwnie.

Podczas letnich upałów wielokrotnie widziała obnażonego do pasa Johna, ponieważ zawsze razem spędzali lato. Był atletycznej budowy i często przy takich okazjach nie mogła oderwać od niego wzroku. Podziwiała jednak sylwetkę Johna inaczej, bez takich niepokojących odczuć,

szybko się odwróciła, rozdrażniona i zła na siebie, czując, że oblewa się rumieńcem. Trudno, żaden człowiek, który nagle stwierdzi, że ograbiono go podczas snu, nie zawiera-

ca sobie głowy wrażliwością osób postronnych, nawet lord Malvern. Kroczył w ich kierunku z zaciśniętymi ustami. Skra-

dziony koń zniknął w zagajniku. Drugiego, parskającego, stajenny podprowadził do właściciela, który natychmiast zaczął uspokajać zwierzę. Głaskał konia, a ten trzącał py-

skiem jego dłoń. Po chwili Adam spojrział gniewnie na stajennego.

- Czy zażądałem zbyt wiele, prosząc, żebyś dbał o nie jak trzeba za tę gwineę, którą ci dałem? - spytał wyraźnie wściekły.

Chłopak spuścił głowę i nerwowo chrząknął.

- Ja... mnie jest naprawdę przykro, wasza lordowska mość - powiedział cicho. - Ja... ja usnąłem.

Wydobył z kieszeni błyszczącą monetę, którą wcześniej otrzymał, i ostrożnie spróbował ją oddać.

Gdy tylko Adam wsunął opaloną na brąz rękę w rękaw koszuli, chłopak błyskawicznie ukucnął na widok zmierza-

jącej ku niemu pięści. Po tak rażącym zaniedbaniu obo wiążków musiał oczekiwać ciosu. Adam przyglądał mu się przez chwilę. Potem, wznosząc oczy ku niebu, ruszył narzód, naciągając po drodze koszulę. Obejrzał się na stajennego.

- Jeśli chcesz zatrzymać pieniądze, okaż się użyteczny i pomóż mi sprowadzić drugiego konia.

W tym czasie wzrok Sylvie powędrował już do górnego guzika, podążając za smukłymi palcami mężczyzny, które go zapinały. Zdała sobie sprawę, że lord Malvern zauważył zarówno jej spojrzenia, jak i zmieszanie.

Poprzedniego dnia, napotkawszy Adama w wieczornym mroku, poznała go po głosie i aurze władczości, którą wokół siebie roztaczał. Dwa lata wcześniej nie zwracała specjalnie uwagi na jego twarz. Och, wiedziała wówczas ogólnie, jak wygląda - przystojny, olśniewający džentelmen. Tym jednak, na czym się naprawdę skupiała, była chęć przejażdżki w szykownym pojeździe. Chciała wyglądać tak dorośle i modnie jak starsze siostry.

Teraz dostrzegła szczegóły: szlachetny profil, niezwykle kolor oczu. Ten odcień przypominał jej wodorosty, których mokry połysk przykuł kiedyś jej uwagę na plaży w Lyme Regis. Mieniły się i brązem, i zielenią. Miał szczupłą, wyrazistą twarz, ze zdrowym, złocistym połyskiem opalenizny, Ona sama miała podobną cerę. Matka ciągle ją upominała, żeby ocieniała twarz kapeluszem, kiedy wyprawia się na dwór z ojcem i Johnem.

Kiedy miała szesnaście lat, zwróciła uwagę na czarne włosy Adama. Pewnego razu, gdy siedział, a ona stała z boku, dostrzegła nieznaczne pasma siwizny na skroniach. Przypomniała sobie, jak doszła wtedy do wniosku, że musi być stary. Minęły dwa lata, a on, o dziwo, wcale nie wyglądał na starego. Zatrzymała wzrok na zmysłowych ustach, a on nagle powiedział:

- Proszę przyjąć przeprosiny za mój dzisiejszy szokująco niestosowny stan. Pragnę także pani podziękować.

Usły-

szalem od pani Bragg, że gdyby nie pani szybka interwencja utraciłbym oba konie.

Sylvie skromnie skinęła głową i odparła: -Przykro mi, że nie okazałam się dość odważna, by spróbować zatrzymać złodziei.

- Sądzę, że jest pani niesłychanie dzielna, choćby dlatego, że pani to rozważała,- pani Vance - zauważył uprzej-

Adam.

Zafascynowanie jego urodą ustąpiło nagle, gdy po raz drugi potraktował ją jak mężatkę. Wskazała palcem zagajnik jakby w oczekiwaniu, że milord natychmiast do niego

popędzi.

- Jeśli wyruszy pan od razu, może pan ich jeszcze schwytać.

Dramatyzm spotkania ze złoczyńcami odsunęła na dalszy plan kłopoty osobistej natury. Teraz jednak Sylvie przypomniała sobie, że wraz z Johnem powinni niezwłocznie wyruszyć do Szkocji.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pomogę panu odzyskać konia - zaproponował nagle John.

Sylvie zeszywniała. Przeklęła w duchu bezmyślność swojego towarzysza i posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Niefrasobliwie się uśmiechał, wpatrywała się więc w niego, aż zrozumiał jej milczący rozkaz i zmieszany, odwrócił wzrok.

- Niestety, musimy już ruszać w drogę - poinformo-

wała Sylvie głosem na tyle słodkim, na ile pozwolił jej niepokój.

- Och.... tak... rzeczywiście - wymruczał John, pocierając nieogolony podbródek i uważnie patrząc na Adama.

Ten dżentelmen nie wygląda na kogoś, kto potrzebowałby pomocy, żeby odzyskać swoją własność, uznał.

Adam wyczuł panujące pomiędzy parą młodych napięcie.

- jest za wcześnie na tropienie złodziei - wyjaśnił. - Kiedy zjem śniadanie, przywołam całą swoją energię... i policję. Dziękuję jednak państwu za troskę. Jestem szczególnie wdzięczny pani, pani Vance, za wszczęcie alarmu.

Sylvie zeszywniała na to kolejne nawiązanie do jej stanu cywilnego.

- Powinniście mi państwo umożliwić choćby drobny rewanż. Czy zjecie ze mną śniadanie w saloniku pani Bragg?

- Dziękujemy za uprzejmość, ale musimy niezwłocznie wyruszyć.

Sylvie ujęła Johna pod rękę i nieznacznie pociągnęła za rękaw. Do dochodzącego z kuchni brzęku naczyń dołączył zapach parzonej kawy i podsmażanego bekonu. Aromaty nasączyły świeże dotąd poranne powietrze. Wiedziała, że jeśli zaproszenie zostanie ponowione odmowa przyjdzie Johnowi z trudem. Niemal słyszała, jak kiszki grają mu marsza i domagają się gorącego posiłku przed długą podróżą.

- Dokąd państwo zdążają? Do domu? - zapytał Adam

nawiązując grzecznościową rozmowę. - Gdzie państwo mieszkają?

Sylvie mruknęła:

- W Hertfordshire.

Odwróciła się, żeby uciąć dalsze pytania. Zauważyła, że na dziedzińcu zgromadzili się zwabieni sensacją ludzie. Niektórzy jeszcze w nocnych strojach, pokazywali ich sobie i najwidoczniej przedstawiali własne wersje wydarzenia. Sylvie wyczuła jednak, że są także obserwowani z in-nego kierunku, i uniosła głowę.

Z okna sypialni nad nimi wyglądała kobieta. Było oczywiste, że przysłuchuje się ich rozmowie. Była ładna, choć nadaśana. Niedbale naciągnęła na ramiona suknię; jej ledwie okryte obfite piersi były dobrze widoczne. Pewna siebie mimo niekompletnego stroju, wyniośle odwzajemniła spojrzenie Sylvie.

Panna Meredith wiedziała, że Adam również zdał sobie sprawę z tej obserwacji. Popatrzył w górę i zacisnął usta.

Ta nieznaczna oznaka niezadowolenia wystarczyła, by brunetka nagle zniknęła im z oczu. Okno zatrzęsnęło się z siłą zagrażającą pęknięciem szyby i obsypaniem całej grupki odłamkami szkła.

Jeszcze przed chwilą Sylvie pragnęła tylko wyjazdu, teraz jednak zdjęła ją przemożna ciekawość. Kim jest ta dziwna kobieta i jak zdołała tak łatwo rozzłościć lorda Maiverna? Czy podróżują razem?

Przed dwoma laty dałaby upust zaciekawieniu i po prostu zapytała Adama. Nie mogła przecież zaprzeczyć,

że wtedy traktowała go niezwykle impertynencko. On zaś ze spokojem tolerował jej niestosowne zachowanie i odpowiadał na śmiałe pytania. Tak więc, w wieku szesnastu lat dowiedziała się od niego, że kokoty to panie wątpliwej konduity, z którymi niekiedy przestaje. Na tym zamknęła się wówczas jej edukacja, jeśli chodzi o sprawy światowe. Zakłopotany ojciec zdołał skutecznie wybić jej z głowy prowadzenie tego rodzaju rozmów z dżentelmenami. Od tego czasu dowiedziała się więcej o zwyczajach mężczyzn, co skłaniało ją do zachowania ostrożności w damsko-męskich relacjach.

Adam śledził wzrokiem emocje malujące się na jej niekazitelnie pięknej twarzy. Od czasu ich ostatniego spotkania utraciła niewinność, to oczywiste, uznał. Dwa lat temu zażądałaby po prostu wyjaśnienia, kim jest ta kobieta. Teraz uznała, że wie, jaką rolę pełni tu Theresa. Uważała, że przyłapała go w tej dziurze z kochanką. Nie wiadomo dlaczego podejrzenie, że jest na tyle niewybredny, by udać się na schadzki w tak marnym otoczeniu, sprawiło mu przykrość.

Gorączkowo zastanawiał się, dlaczego to wspaniałe dziecko wyszło za mężczyznę tak rażąco do niej niepasującego. John Vance nie był wprawdzie szpetny czy nieprzyjemny. W gruncie rzeczy, jak Adam uznał na podstawie ich bardzo krótkiej znajomości, był raczej zbyt potulny. Adam zaryzykowałby przypuszczenie, że pan Vance nie jest stanowczym i zdecydowanym mężczyzną, a takiego Sylvie potrzebowała. Niemniej, nie

miał żadnego powodu, żeby go nie lubić..., chociaż obawiał się, że... jednak go nie lubi. Zrezygnował natomiast z rozważania przyczyn tej niechęci.

- Proszę mi wybaczyć, wasza lordowska mość, - Pani Brigg zbliżyła się do nich ostrożnie i głęboko skłoniła. - Lady Townsend prosiła, by przekazać, że chce z panem po rozmawiać na...

Oczy gospodyni strzeliły w bok, wskazując gospodę. Przez chwilę Sylvie sądziła, że usłyszy opryskliwą odpowiedź.. Zamiast tego wyraz głębokiej irytacji zniekształcił głos Adama.

- Proszę na moment wybaczyć - wycedził.

Skłonił głowę i ruszył w kierunku drzwi.

Sylvie tak zdumiało, że brunetka jest jego żoną, iż nie zauważyła spojrzenia pani Bragg utkwionego w jej palcu na którym powinna błyszczeć obrączka. Wyszarpnęła rękę zza ramienia Johna i ukryła dłoń w kieszeni.

- Lady Townsend? Jego lordowska mość podróżuje z małżonką? - zapytała w nadziei, że odwróci uwagę gospodyni

rozbrajającym uśmiechem i okazją do poplotkowania.

Pani Bragg uśmiechnęła się przebiegle.

- Nieważne, jak się przedstawia. Wątpię, czy ta własna pani jest żoną tego dżentelmena... - Odęła usta i znacząco wywróciła oczami. Dodała szeptem: — Owińcie się

pelerynami, bo tam, dokąd jedziecie, panuje chłód.

Sylvie zerknęła na Johna.

- Powinniśmy się zbierać - rzuciła i dała mu kuksańca w zębra.

Uznała, że lepiej teraz zostawić panią Bragg samą z jej podejrzeniami. John mógł w każdej chwili coś palnąć i pogorszyć sytuację.

- Poproszę, żeby już zaprzęgali - poinformował, ruszając w kierunku stajni.

Pani Bragg uśmiechnęła się i z błyskiem w oku przekrzywiła głowę.

- Ja sama jestem romantyczną duszą. Z panem Bragiem znaleźliśmy się bliżej długo przed ślubem.

Dalsze udawanie było daremne, dla Sylvie ważne jednak było, by gospodyni nie przekazała swoich spostrzeżeń nikomu innemu, a zwłaszcza szlachetnie urodzonemu gościowi.

- Odgadła pani, że podróżujemy do Gretna Green.

Gospodyni nachyliła się, poklepała Sylvie po ramieniu i ścisnęła je znacząco.

- Nie przejmuj się mną, panienko. Ja tylko prowadzę gospodę i nie wypełniam żadnej bogobojnej misji. Tutaj zatrzymują się różni ludzie. Powiem ci, że jesteś przyzwyczajoną młodą damą, nie jak ci na górze - łajdaczące się książęce moście. Mam nadzieję, że się wam uda.

Sylvie zdobyła się na uśmiech i uwolniła ramię.

- Dziękuję. Muszę jednak poprosić panią o przysługę, pani Bragg, bo ja... my... znaleźliśmy się w niezręcznej sytuacji. Błagam panią o nieujawnianie nikomu tego, czego się pani domyśliła. Ten dżentelmen zna moją rodzinę i mógłby... No cóż, gdyby wiedział, że nie jestem jeszcze panią Vance, z pewnością czułby się zobowiązany sprowadzić mnie do domu.

Pani Bragg przyłożyła pulchny palec do ust

- Będę milczała jak grób. Nie zdradzę niczego, choćby mnie zapytał. Na szczęście dla was jego lordowską mość czekają dwa zadania: odzyskanie konia i przywołanie do porządku tej bezwstydnej latawicy, jego żony. Niezłe z niej ziółko. Słyszałam, jak się piekliła! Lord nie ma prawa do dawienia kazań wam, młodym. Żona nie z nim przyje chała. Ten mężczyzna ulotnił się od razu po przybyciu mi-lorda.

Niedowierzenie Sylvie przemieniło się w odrazę. Pani Bragg znacząco kaszlnęła i dodała:

- No, dość już o nich i ich wyczynach. Mam nadzieję, że wiesz, na co sama się ważysz, panienko. Masz ładne-

go i silnego chłopaka. Przystojniak, ale nie z tych mło-

dych byczków, co się obnoszą ze swoją urodą i sądzą, że wystarczy skinąć palcem, a dziewczyna od razu przybieg-nie - Pani Bragg pokręciła głowę. - Piękna z was para. Rodzice na pewno wam wybaczą, kiedy tylko wezmą na ramiona śliczne wnuczeta. Jednak dobrze się zastanów: Jeśli rodzina się od ciebie odwróci, nie będziesz mia-ła łatwego życia. Wskazała oczami Johna, który uśmie-

chając się do nich, podprowadzał powóz. - Jedźcie już,

potem bądźcie szczęśliwi!

- O czym myślisz? - zapytał cicho John.

Jaż od wielu mil nie zamienili słowa.

Kiedy podjęli podróż na północ, rozmawiali o zamieszaniu w gospodzie, zastanawiali się, czy jego lordowska mość

zdoła odzyskać konia. Temat się jednak wyczerpał i nie mogli już dłużej unikać nawiązania do własnego kłopotliwego położenia.

Sylvie posłała Johnowi niewyraźny uśmiech. Gdy otulała się szczelniej peleryną, bezwiednie westchnęła.

-Martwisz się, że pani Bragg mimo wszystko nas zdradzi? Uważasz, że Townsend może się zorientować, iż uciekliśmy, i ruszyć w pogoń?

-Nie,, no cóż, mogła mu powiedzieć... Och, nie wiem! - krzyknęła.

Nagle przestała panować nad kłębiącymi się w głowie myślami, które szukały ujścia. Poprawiła się na siedzeniu i powtórzyła słowa, którymi gospodyni ich pożegnała:

- „Bądźcie szczęśliwi!” To nie szczęścia potrzebujemy, lecz zdrowego rozsądku - skomentowała gorzko. - Dla czego przeoczyłam coś tak oczywistego? Gdybym założyła na palec obrączkę, pani Bragg niczego by się nie domyśliła. Dlaczego je schowaliśmy?

- Przecież chcieliśmy ukryć kosztowności na wypadek, gdyby zatrzymali nas rozbójnicy - przypomniał John. - I miałaś rację - pochwalił ją. - Ci Cyganie...

Rozejrzał się nerwowo.

- Sądzisz, że mogą na nas napaść? - zapytała Sylvie.

Przypomniała sobie, jak groźnie wyglądali, kiedy pozbawiła ich części cennego łupu. Zmarszczyła brwi i wymacała ukryty pod peleryną pistolet.

Szturchnęła Johna lufą w udo, żywiąc nadzieję, że to go niepokoi.

- Mamy broń i użyjemy jej w razie potrzeby. Ci tchórze na pewno pierzechną na sam widok pistoletu.

John zmarszczył brwi i popędził stare szkapy. -Jak sądzisz, czy Adam Townsend zauważył, że nie mam obrączki?

John pokręcił głową.

- Wczoraj spotkaliśmy go po ciemku, a dziś te skradzione konie zajmowały go bardziej niż cokolwiek innego.

Sylvie ściągnęła brwi z powątpiewaniem. Uważała, że jego lordowska mość przyjął raczej niefrasobliwie wiadomość o utracie pięknego rumaka. Naprawdę wyprowadziła go z równowagi brunetka, która pojawiła się w oknie. Nagle przyjęła ze smutkiem rewelację gospodyni, że Adam okazał się na tyle zdeprawowany, iż dzielił lubą z innym mężczyzną. Przecież zanim jeszcze wszystko popsuł i poprosił ją samą o rękę, uważała go za kogoś w rodzaju bohatera. Zerknęła na Johna. Teraz miała już swojego boha-tera. Innego.

Jest bohaterem, powtarzała w duchu. Przewycięzył dla niej obawy związane z ucieczką. Jest jedynakiem i oczkiem głowie rodziców, a odważnie im skłamał, bo ona mu to nakazała. Kiedy okaże się, że jest żonaty, mogą się od niego odwrócić. A jednak zrobił to dla niej. Powinna odczuwać wdzięczność,.. Sylvie oparła się o niewygodną poduszkę. Studio-wała profil Johna. Przystojny bohater, marzenie każdej

kobiety. Zdecydowanie trzymał lejce; uznała, że ma ładne dłonie. Może nie jest wysoko urodzony i bogaty, lecz w porównaniu z Hugonem Robinsonem to prawdziwy dżentelmen.

Upewniwszy się, że wszystko jest tak, jak być powinno powiedziała nagle:

- Sądzę, że powinniśmy wrócić do domu.

Rozdział czwarty

- Na Boga, zostaw ją w spokoju!
- Zostawić w spokoju? - Pani Meredith oniemiała na myśl że można w ogóle rozważać taką ewentualność. Cofnęła się jednak od drzwi salonu, przez które zamierzała wybiec ponownie odnaleźć i zganić najmłodszą córkę.
- Za to czego się wobec nas dopuściła, ta samolubna smarkula służy na chłostę!
- Spokojnie, Glorio, sama przecież wiesz, że naprawdę tak nie myślisz. Nie krzycz, bo cię usłyszysz.
- Mam nadzieję, że słyszysz - wycedziła Gloria spoza wilgotnej chusteczki zgniecionej w kulkę i przyciśniętej do oczu - Powinna cierpieć tak samo jak ja. Już sama ucieczka by wystarczyła. A ona w dodatku wraca do domu bez ślubu, po dwóch dniach i jednej nocy w towarzystwie męż-czyzny... po skrajnie nieskromnym postępku!
- Potarła moką chusteczką zaczerwienione oczy.
- Przyznała już, że źle postąpiła, i przeprosiła nas - przypomniał łagodnie Edgar. Zbliżył się i spróbował objąć

zrozpaczoną połowicę. Powstrzymała go, więc tylko poklepała ją po ramieniu, dodając: - Wiesz, nie jest aż tak źle, sa ma się przekonasz.

- On musi się z nią ożenić, inaczej jest zgubiona - chlipnęła Gloria. - Zmusz go do tego!

- Sylvie za nikogo nie wyjdzie. - Edgar przemawiał te raz szorstko. Zmęczyło go powtarzanie w kółko tego samego i fakt, że żona nie daje się pocieszyć. - Po pierwsze sama pragnęłaś, żeby wróciła, a teraz nie chcesz jej przyjąć. Nie ma powodu do takiego zdenerwowania, Glorio. Ona nie jest zgubiona. Pewnie, że postąpiła głupio, ale któż wie o jej nieszczęsnej wyprawie? Vance'owie nic nie powiedzą. Nie zechcą narazić Johna na oskarżenie o zbałamucenie kobiety... i ja także nie zamierzam. Chłopak ma serce na właściwym miejscu. Mogłaby postąpić gorzej, niż uciec, że by go poślubić.

- No to niech poślubi! Wiesz - kontynuowała Gloria - że Susannah Robinson wczoraj nas odwiedziła. Wiesz rów nież, że musiałem skłamać, iż Sylvie jest niedysponowana i została w swoim pokoju, podczas gdy nie było jej nawet w domu.

- Doskonale ci się udało, kochanie - pochwalił ją Edgar - Twoja przyjaciółka niczego nie podejrzewała.

- Ma mnie napawać dumą fakt, że własna córka zmusiła mnie do kłamstwa?

- Przepraszam, mamó. Gdybym mogła cofnąć czas i postąpić inaczej, zrobiłabym to.

Jak na komendę pan i pani Meredith odwrócili głowy

Zanim Gloria zdążyła rozpocząć tyradę, jej mąż wyciągnął ręce.,

- Jesteś niegrzeczną dziewczynką, ale się cieszę, że wróciłaś do domu. Chodź, uściskaj starego ojca.

Sylvie dosłownie przefrunęła przez pokój i wpadła w jego ramiona, przytulając twarz do grubej szyi Edgara, który

uspokajająco pogłaskał szczupłe plecy córki i odgarnął jej

z twarzy połyskliwe pasma, żeby otrzeć łzę.

- Już dobrze, kochanie, zakręć wreszcie tę fontannę, bo przemoczyłaś mi koszulę.

Sylvie zachichotała przez łzy. Cmoknęła ojca w policzek, oderwała się od niego i ze smutnym uśmiechem zbliżyła do matki.

Dotarła do domu poprzedniego wieczoru, kiedy rodzice właśnie zamierzali położyć się spać. Zdawkowo odpowiadała na histeryczne pytania matki i zasłaniając się

ogrom-

nym zmęczeniem, zdołała odroczyć dochodzenie do następnego dnia. Teraz miała świadomość, że musi zdać relację z eskapady. Gloria odeła wargi i zerknęła na Edgara.

- Nie myśl sobie, że mnie równie łatwo ugłaskasz, panielko - obwieściła surowo, - Nie pojmujesz, że twój czyn był niesłychany?

- Do tego samolubny, idiotyczny i sprzeczny z logiką...

Wiem o tym, mam - odpowiedziała cicho Sylvie. -

Na-

prawdę żałuję. Bardziej się wstydzę, niż ci się wydaje. Zraniłam nie tylko ciebie. Również Johna i jego rodziców.

- Chcę znać całą prawdę o wszystkim, co zaszło. Wszyst-

kim, słyszysz? Jak ten John Vance mógł dać ci się namówić do takiego głupstwa? Jest od ciebie starszy. Pochodzi z dobrej rodziny i powinien stosownie do tego postępować.

- On już dostał za swoje, widziałem go dziś rano - wtrącił Edgar.

Miał przed oczami obraz Johna wysłuchującego z opuszczoną głową gniewnych uwag ojca.

Edgar wyczuł, że nie jest miłe widziany, mimo że jego wizyta stanowi wspaniałomyślny gest. Zamierzał dać Vance'om do zrozumienia, że nie oskarży Johna o uwiedzenie i porwanie ani przed nimi, ani przed władzami. Zawsze lubił chłopaka i to się nie zmieniło, choć wiedział, że ich rodziny nie mogą już utrzymywać prawidłowych relacji.

- Skłoniłam Johna do tej ucieczki wbrew jego ocenie sytuacji. To nie jego wina, że wróciliśmy bez ślubu. Nalegałam, żeby odwiózł mnie do domu. On jest niewinny.

— Ja to ocenię, nie ty - przerwała jej zwięźle Gloria - kiedy się dowiem, co między wami zaszło.

- Przenocowaliśmy w jednej izbie - przyznała Sylvie. - Tylko ta jedna była wolna w gospodzie. John ustąpił mi łóżko i spał na fotelu. Przez cały czas okazywał mi uprzejmość i szacunek jak godny dżentelmen damie.

Gloria zbladła.

- Rzeczywiście spaliście w tym samym pokoju? - szepnęła zdjęta grozą.

- Wolałabyś, żeby przestrzegali etykiety i zamazli na śmierć w powozie? - interweniował Edgar. - Ja, na przykład, uważam, że słusznie wybrali wygodę i bezpieczeń-

stwo. - Kiedy jego żona, wspomagając się solami trzeźwiącymi, odzyskiwała siły po wysłuchaniu tej uwagi, dodał z werwą: - Musimy tę sprawę odłożyć na bok. Nasze kłótnie wzbudzą tylko podejrzenia sąsiadów i dopiero to woła kłopoty.

Spojrzenie, które rzuciła jej matka, przekonało Sylvie, że ten argument do niej trafił. Opary złości przestały się rozchodzić, jakby ktoś nagle odciął im drogę pokrywką. Sylve miała ochotę uściskać ojca za jego mediację. Za tym, co uczynił, kryło się jednak nie tylko uczucie do córki, lecz także mądrość. Wyjście na jaw tego poronionego przedsięwzięcia naraziłoby na szwank jej reputację.

Myśl, że John również cierpi, napawała ją wstydem.

Przecież od początku wiedziała, że będą musieli wrócić stawić czoło gniewowi rodziców. Powoli powiedziała:

- Chyba powinnam napisać do pana i pani Vance i wyjaśnić im...

- Lepiej pozostaw zdarzenia ich własnemu biegowi, kochanie - poradził spokojnie Edgar. - Niech John załatwi sprawy z rodziną na swój sposób, inaczej możesz chłopca tylko ośmieszyć. Aha, zapomniałem, on już nie jest chłopcem. - rzekł Edgar bardziej do siebie niż do córki. - Jestem pewien, że Vance'owie zdają sobie sprawę, że możesz z nim r:obić, co zechcesz, Sylvie. I nie byłiby zachwyceni, gdybyś to dobitnie potwierdziła.

- Sądzę, że ta szokująca sprawa nie powinna nas aż tak zaskakiwać - wtrąciła Gloria, obrzucając sceptycznym spojrzeniem potulną teraz córkę. - Wszystkie twoje sio-

stry narobiły w swoim czasie sporego zamieszania. Dlaczego ty miałabyś stanowić wyjątek? Dzięki Bogu, nikt, kogo znamy, nie był świadkiem twojego, eufemistycznie mówiąc, wybryku. - Gloria zrezygnowała z pełnego pretensji tonu by posłać w kierunku córki przebiegłe spojrzenie. - Spotkałaś po drodze tylko obcych, prawda?

Sylvie od początku obawiała się tego pytania, Wystarczy kłamstw! Nie wolno jej dokładać do nich następnego! Jednak nie mogła też pozwolić sobie na absolutną uczciwość i poinformować, że przeciwnie, jej hańbę obserwowała jedna z najwybitniejszych osobistości towarzystwa. Jeśli przyzna, że nie tylko spotkała Adama Townsenda, lecz także go okłamała, matka na miejscu wyzionie ducha, a pokłady cierpliwości ojca na pewno się wyczerpią.

- Zatrzymaliśmy się tylko raz. Jestem przekonana, że nie zdradzi nas żadna z napotkanych tam osób, mam-o-odparła wymijająco. - Naturalnie rodzice Johna także do chowają sekretu.

- Kiedy w najbliższy weekend spotkamy się z panią Robinson na kolacji w Rivendale - Gloria instruowała córkę, zapobiegając jej ewentualnej niesubordynacji groźnym spojrzeniem - pamiętaj, że przenocowaliście tam tylko dla tego, żeby nie zamarznąć. W ciągu wieczoru musisz to po wtórzyć kilkakrotnie.

Na tę wieść Sylvie zmarszczyła brwi. Spotkanie z Hugonem Robinsonem wydawało się nieuniknione. Posłusznie kiwnęła głową i przyglądała elegancki strój, który włożyła żeby zadowolić matkę. Suknia na przedpołudnie z muszlinu

nowymi pączkami róż. Z rękoma złożonymi jak do modliwy i pochyloną głową Sylvie przypominała aniołka.

Gloria sceptycznie przyjęła tę demonstrację niewieście-

go powabu, jaki zafundowała jej dziś córka.

- Muszę stwierdzić, że miło cię ujrzeć ubraną w coś ładnego zamiast tych okropnych bryczesów, które nosisz na co dzień - pochwaliła.

Sylvie lekko się uśmiechnęła.

- Tata i ja nigdzie się nie wybieramy, dopiero po południu.

Edgar zza pleców żony zamachał ostrzegawczo ręką.

Odgadując jego intencje, Sylvie szybko się poprawiła:

- Zresztą chyba w ogóle nie będziemy dziś jeździć konno- zanoszą się na deszcz.

- Z pewnością nie będziecie! Koniec z takimi wyczynami. Powiedziałam już twojemu ojcu, że najwyższy czas, byś

zadała się zajęciom stosownym dla dobrze urodzonej pa-

nienki, a nie jakiegoś pędziwiatra. Dość ubierania się i zachowywania jak chłopak stajenny. Być może także June przemowi ci do rozumu, kiedy tu dotrze. W swoim czasie ona również uczestniczyła w skandalu, tyle że absolutnie nie z własnej winy.

- June przyjeżdża? I William? - ucieszyła się Sylvie.

- Otrzymaliśmy jej list tego ranka, kiedy zniknęłaś. Niezły wtedy panował rozgardiasz, zapewniam cię - powróciła do narzekań Gloria. - Ona uprzedziła, że zamierza przyjechać i zatrzymać się tu, podczas gdy ty nie raczyłaś nawet zasygnalizować, że planujesz uciec.

Sylvie uścisnęła matkę, zanim zdążyła zaprotestować. Pocałowała ją w chłodny policzek.

- Pomogę służącym przygotować pokoje gościnne. Za bierze z sobą Jacoba? - zapytała.

Kochała wszystkie swoje siostrzenice i siostrzeńców, ale mały Jacob, ze swoim rozkosznym chichotem i włosami w kolorze lnu, zajmował w jej sercu szczególne miejsce. Przepadała także za mężem June. William Pemberton był wspaniałym, powszechnie lubianym dżentelmenem. Promienny uśmiech Sylvie przygasł, kiedy uzmysłowiła sobie, kto jest przyjacielem jej szwagra. Wiedziała, że musi się wkrótce dyskretnie skontaktować z tą właśnie osobą, żeby potulnie coś wyznać...

- Jednego nie rozumiem. Skoro już znalazłaś w sobie odwagę, żeby wyruszyć, dlaczego nagle zawróciłaś?

June Pemberton rozłokowała się wygodnie w foteliku we wnęcie okiennej w sypialni Sylvie. Na kruchym ramieniu oparła różowy pyzaty policzek sennego dziecka. Wąska dłoń rysowała rytmicznie kręgi na pulchnych plecach chłopczyka. Spojrzenie bursztynowych oczu June, skierowane na twarz młodszej siostry, zdradzało żywe zainteresowanie tematem rozmowy.

Sylvie wzruszyła ramionami i małymi białymi zębami przygryzła dolną wargę.

- Musisz przecież wiedzieć, dlaczego zmieniłaś zdanie - sondowała June. - Pokłóciłaś się z Johnem?

Sylvie pokręciła głową.

- Nie jestem pewna... Może wyrzuty sumienia? Kontynuowanie podróży po prostu nie wydawało mi się... słuszne?

Taka właśnie jest prawda, uznała w duchu. Nic jej nagle nie oświeciło, nie podjęła żadnej dramatycznej decyzji. Nie mogła tylko stłumić niepokoju, który w pewnym momencie znalazł ujście w słowach, jakie się jej wymknęły. Nawet zaskoczenie i rozczarowanie malujące się na twarzy Johna nie naruszyły jej niezachwianej pewności, że po kilku miesiącach przygotowań muszą zrezygnować ze swoich planów.

Miał powód, by się gniewać o tę nagłą zmianę decyzji, ponieważ to ona go przekonała, że ucieczka się uda. Nie do końca zdając sobie z tego sprawę, miała nadzieję, że John przejmie inicjatywę. Sprawy mogłyby przybrać inny obrót, gdyby od razu dobitnie wyraził swoje zdanie i przynajmniej próbował ją przekonać. On jednak tylko czekał, pozwalając jej rozstrzygnąć o ich przyszłości.

Kłamstwo, którym uraczyła Adama Townsenda, nie przemieniło się w prawdę i teraz musiała ponieść konsekwencje wprowadzenia go w błąd. Znał jej szwagra i przecież musiał mu wspomnieć o spotkaniu z... panią Vance. Zachmurzyła się na wspomnienie kosztownego pecha, który sprawił, że się na niego natknęła. Gdyby Adam nie znalazł się w gospodzie, być może nie porzuciłaby planu zostania panią Vance, gdyż właśnie wtedy zaczęły ją nękać wątpliwości.

Sylvie wyciągnęła ręce w kierunku siostrzeńca, którego

podą jej siostra. Mała ciepła główka wtuliła się w jej policzek; Sylvie poczuła na skórze słodki oddech.

- Jaki ciężki. I jak urósł.

Ujęła w dłoń podkurczone paluszki stopki niemowlęcia.

June nie zwiódł starania siostry o odwrócenie jej uwagi.

- Coś jest nie w porządku... Och, nie mam na myśli tego, że coś z Johnem Vance'em, chociaż on również postąpił zagadkowo. Musi chodzić o coś innego. Moja rozbrykana siostra nagle znika, a potem wraca i staje się podejrzanie posłuszna.

Sylvie posłała June niepewny uśmiech.

-To tylko pokora. Głupio się czułam, wywołując te wszystkie kłopoty. Upłynie trochę czasu i znów będę nieznośna.

- Nie żartuj! Skoro nie chcesz mi zdradzić, dlaczego wróciłaś, powiedz przynajmniej, a właściwie przede wszystkim, dlaczego zamierzałaś wyjść za-Johna Vance'a. - Na widok uniesionej dumnie głowy Sylvie June pędkiem dodała: - Och, lubię go, pomimo że to taka gapa... - Urwała, konstatuując, że i ta wypowiedź nie jest taktowna. - Dodała ostrożnie: - Wiem, że zawsze bardzo się przyjaźniliście, nie mogę sobie tylko wyobrazić, iż żywisz do niego romantyczne uczucia.

- Bo tak nie jest - powiedziała natychmiast Sylvie, a June spojrzała zdziwiona. Sylvie machnęła ręką i pogłaskała dziecko, które trzymała w ramionach. - Och, mama znów wierci mi dziurę w brzuchu, żebym kogoś usidliła

i zaprowadziła do ołtarza. Skoro już mam spędzić resztę życia z mężczyzną, wolałabym, żeby to był ktoś, kogo przynajmniej lubię.

- A skąd wiesz, czy nie ma innych dżentelmenów, których także mogłabyś polubić? Gdybyś się obracała we właściwych kręgach, mogłabyś kogoś takiego poznać.

- Nie sądzisz, że wypowiadasz się teraz jak jedno z naszych rodziców? - zażartowała Sylvie. - Poza tym - dodała - poddałam się właśnie terrorowi. Dam się wyciągnąć z wami na soirée u Robinsonów.

- Niestety, państwa nie ma w domu, milordzie. - Kamerydyner z uszanowaniem pochylił głowę przed znakomitym dżentelmenem i uśmiechnął się grzecznie. - Może jednak zechce pan wejść, milordzie. Zaraz przygotuję poczęstunek.

Adam Townsend przekroczył próg Grove House przy St James Square nie po to, żeby się posilić, lecz by uzyskać informacje. Skwitował zdawkowym uśmiechem gościnność służącego i rozejrzał się po westybulu zawiedziony, że nie zastał przyjaciela.

Przybył niezapowiedziany, ryzykując, że Pembertonów nie będzie, a mimo to się rozczarował. Nie mógł bowiem na razie zaspokoić niestosownej, jak przyznał w duchu, ciekawości. Przygotowany na oczekiwanie, zapytał:

- Gzy państwo Pemberton wrócą niedługo?

- Za dwa tygodnie, proszę pana. Wyjechali wczoraj do Hertfordshire do rodziny pani Pemberton.

Kamerdyner obserwował wpatrzony w dal oczy w kolorze ziemi i zmarszczone w zamyśleniu brwi gościa. Lubił tego dżentelmena mimo jego nie najlepszej reputacji. Jego pan, William Pemberton, był dżentelmenem o nienagannyh manierach. Skoro wybrał sobie markiza Rockinghama na najlepszego przyjaciela, to wiedział, co robi. Kamerdyner był przekonany, że mimo wszelkich pogłosek ma przed sobą człowieka prawego.

- Czy zechce się pan napić herbaty? - zaproponował. - A może coś zimnego? - zmienił pospiesznie ofertę.

Jego lordowska mość mógł sobie być uczciwy, kamerdyner jednak powinien przecież racjonalnie wywnioskować, że preferuje mocniejsze napoje,

- Nie, dziękuję - odparł Adam, cofając się do drzwi. - Przypomnij mi, proszę, gdzie rodzina pani Pemberton mieszka w Hertfordshire. Wydaje mi się, że ich posiadłość leży na wschodzie hrabstwa?

- Tak jest, proszę pana. Windrush znajduje się nieopodal granicy z Essex. Pozwolę sobie dodać, że w pięknej okolicy.

Adam opuścił dom i po kamiennych stopniach zszedł do powozu. Zamyślony, zatrzymał się przy krawężniku, spoglądając wzdłuż ulicy. Pozwolił, by przypadkowe odkrycie nabrało nieproporcjonalnie wielkiego znaczenia, a jednak poskromienie ciekawości i zajęcie się swoimi sprawami wydawało się niemożliwe. Jego irytacja wzrosła, gdy sobie przypomniał, że nazywają go mistrzem nonszalancji. Mimo to tkwi tutaj, wykazując niezdrowe zainteresowanie

czym małżeństwem. Zaśmiał się gorzko, aż jakaś młoda dama, krocząca ulicą z przyjacielem obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem. Gdy żartobliwie się uklonił, wyniosłe odwróciła głowę. Rzeczywiście, w tym wszystkim nie ma nic zabawnego, uznał Adam i wskoczył do powozu. Zachowuje się wprost niedorzecznie.

Spojrzał gniewnie na lśniące boki swoich dobrze ułożonych koni. Wreszcie chwycił lejce i ruszył klusem. Męczyła go gonitwa myśli. Może po prostu zapomnieć o panu i pani Vance... albo znaleźć powód do dalszego ulegania obsesji i odwiedzić Hertfordshire. Z pewnością ma dobrą wymówkę, uzasadniającą jak najszybsze dotarcie do Williama i June Pembertonów.

Niedawno Adam otrzymał od tej pary list w sprawie chrztu ich pierworodnego syna. Gdyby Theresa znów nie namieszała w sprawach rodziny, zająłby się tą kwestią już kilka dni temu. Jego sekretarz błagał go nieustannie, by poświęcił choćby kilka minut tygodniowo na korespondencję, i w ten sposób sprawiał przynajmniej wrażenie, że panuje nad bieżącymi sprawami. Był już więc najwyższy czas, by markiz Rockingham przekazał dumnym rodzicom Jacoba Pembertona, że jest zaszczycony propozycją zostania ojcem chrzestnym chłopca.

Gdyby nawet to nie wystarczyło jako powód udania się do Hertfordshire, dysponował jeszcze innym. Sir Anthony Robinson mieszkał właśnie w tamtej okolicy. Adam już od dłuższego czasu nie znalazł okazji, by się z nim spotkać, a sir Anthony nie miał dość sił, żeby uczestniczyć w pogrze-

bie jego ojca. Istotnie, był już najwyższy czas i na to, by nowy markiz Rockingham złożył wyrazy uszanowania bliższemu przyjacielowi swojego poprzednika, a również, cóż za zbieg okoliczności, własnemu ojcu chrzestnemu. Skoro już znajdzie się w okolicy Windrush, może przy okazji ponownie podziękować pani Vance za okazaną mu pomoc. Natychmiastowe wykrycie kradzieży z pewnością ułatwiło odzyskanie wierzchowca. Popędził konie, gdy tylko otworzyła się przed nimi droga.

Adam uśmiechnął się na myśl, że udało się mu przekonać samego siebie, iż wyprawiając się na wieś, nie kieruje się kaprysem, lecz koniecznością. Czy ta decyzja okaże się mądra, tego już nie wiedział. Silver Meredith odesłała go niegdyś do diabła i przyrzekł sobie, że nie poświęci jej więcej ani jednej myśli. Wydawało się dziwne, że teraz, gdy wyszła za mąż, nie mógł odpędzić sprzed oczu jej obrazu.

Rozdział piąty

- Nie zgadniesz, kto nas odwiedzi!

Różowa suknia z tafty, którą Sylvie niechętnie oglądała, upadła na łóżko, powiększając stos innych, podobnie odrzuconych. Sylvie z radością oderwała się od uciążliwego obowiązku wybrania stroju na *soirée* u Robinsonów, by wysłuchać siostry.

- Właśnie dostarczono wiadomość dla Williama od markiza Rockinghama. - Pomachała kartką i posadziła Jacoba na środku łóżka. - Zatrzymał się w okolicy i pyta, czy może nas odwiedzić jutro po południu. Chce poznać przyszłego chrześniaka.

Sylvie zmarszczyła brwi. Nie słyszała nigdy, by jej siostra i szwagier rozmawiali o tej osobie, a przecież znała ich przyjaciół. Spojrzała na wiercącego się na łóżku chłopczyka. Wyciągnął do niej rączkę z grzechotką, a potem włożył ją na powrót w małe usta. Sylvie rozczulił jej ukochany kuzynek. Zapytała dość impertynencko:

- Mam nadzieję, że znasz dobrze tego człowieka. Czy nadaje się do takiej roli?

- Znam doskonale, a nadaje się wyjątkowo. Przecież ty także go znasz. Aha, zmylił cię tytuł, oczywiście. Jego ojciec zmarł ostatniej zimy, a on nie ma zwyczaju chępić się swoim pochodzeniem. - June chwyciła Sylvie za rękę zmuszając, by usiadły razem na łóżku. - Znasz go jako lorda Malverna albo po prostu pana Townsenda. Jest starym przyjacielem Williama. Nie wybralibyśmy go tylko dlatego, że jest bogaty i wpływowy.

June opowiadała z entuzjazmem o przyszłym ojcu chrzestnym synka, lecz Sylvie już tego nie słyszała. Pełen zdumienia uśmiech gościł przez dłuższą chwilę na jej pełnych wargach. Wreszcie, gdy wiadomość do niej dotarła, zawołała, nie panując nad sobą:

- Adam Townsend jest markizem Rockingham! I ma nas jutro odwiedzić!

Nawet gdyby pod jakimś pretekstem opuściła dom, grzecznościowa rozmowa nad filiżankami herbaty doprowadzi nieuchronnie do uwagi o spotkaniu z najmłodszą córką Meredithów... z panią Vance. Z pewnością markiz wspomni uprzejmie o jej roli w udaremnieniu kradzieży koni w gospodzie przy gościńcu Great North. Sylvie poczuła, że ogarnia ją przerażenie.

Niegrzecznie wyrwała siostrze z dłoni list i zaczęła go starannie studiować.

- Gdzie się zatrzymał? - zapytała, nie odrywając wzroku od wyraźnego czarnego pisma, jakby się spo-

dziewała, że zobaczy wśród innych słów swoje przybra-
ne nazwisko.

-W „Pod Różą i Koroną” - odpowiedziała June i uśmiechnęła się, widząc wrażenie, jakie wywarła na siostrze wiadomość o obecności markiza. - Och, rozumiem! Obawiasz się, że jego wizyta postawi cię w niezręcznej sytuacji. - June przemawiała uspokajającym tonem, sądząc, że odkryła przyczynę konsternacji siostry. - Adam jest absolutnie nienaganny i na pewno nie wspomni, że kiedyś ci się oświadczył. - Kiedy się przekonała, że jej uwaga nie uspokoiła Sylvie, dodała: - Musisz przyznać, że to ładnie z jego strony, że postanowił chronić twoją reputację. Zaloty wobec szesnastolatki mogły się wydawać nieco *de trop*, ale to dziwne zachowanie można wytłumaczyć niezwykłością sytuacji.

W głosie June zabrzmiała chropawa nuta.

Sylvie mocno objęła siostrę. Własne zmartwienie chwilowo wydało się jej błahe. „Niezwykła sytuacja” - cóż za eufemizm na opisanie istnego horroru! Zemsta szaleńca omal nie doprowadziła do śmierci June. Jej siostra zaryzykowała życie, żeby umożliwić Sylvie ucieczkę od złowieszczonego maniaka.

- Proszę, nie wracaj już do tego - poprosiła Sylvie. - Masz teraz Jacoba, a nikt nie zasługuje na szczęście bardziej niż ty. - Wzmocniła uścisk. - Tak bardzo jestem ci wdzięczna za ocalenie!

June się uśmiechnęła.

- Wiem, tyle razy to powtarzałaś... tak wiele, że nie chcę

już tego słuchać. Wybierzemy się po południu na zakupy?
- zmieniła temat. - Chciałabym kupić rękawiczki i pończochy u bławatnika.

Sylvie w milczeniu kiwnęła głową i przeniosła na powrót wzrok na list markiza. Nie była gotowa na to spotkanie. Planowała, że pierwsza nawiąże kontakt z Adamem Townsendem, a on ją zaskoczył i uprzedził, wybierając ten moment. W tej sytuacji nie miała dużego pola manewru: zanim on przybędzie jutro o trzeciej, żeby przyjąć z zadowoleniem rolę chrzestnego Jacoba, ona musi go odszukać, porozmawiać z nim na osobności i wtajemniczyć we wszystko, co się wydarzyło.

Wątpiła, by mógł umyślnie sprawić jej przykrość, nawet gdyby nadal żywił urazę za jej niegrzeczne odrzucenie propozycji małżeństwa dwa lata temu. Nie zaryzykuje przecież utraty szacunku i przyjaźni Williama z powodu czegoś, co obecnie musi uważać za nieistotny drobiazg. Natomiast jej oszustwo może wyjść na jaw, jeśli on nie będzie wiedział, że ma być dyskretny. Dlaczego markiz nie miałby wspomnieć, że wie już o małżeństwie najmłodszej córki Meredithów z Johnem Vance'em? Jest notablem. Prominentni przedstawiciele miejscowej społeczności mogą go zapytać o jego koneksje w Hertfordshire. Sylvie wyobraziła sobie ze zgrozą te rozmowy.

„Silver Meredith? Żona niejakiego Johna Vance'a?

Nie, jest pan w błędzie. Nie mam pojęcia, dlaczego tak pan sądzi”.

Pełna obaw Sylvie wpatrywała się w list. A niech go gęś

kopnie! Dlaczego nie siedzi w Londynie? Dlaczego musiał przyjechać właśnie do Windrush?

Zmusiła się, by rozważyć możliwe rozwiązania, i stwierdziła, że są bardzo nieliczne. Mogła ułożyć barwną opowieść o tym, dlaczego przedstawiła się jako żona Johna Vance a, ale na samą myśl o takim zadaniu poczuła, że nie udźwignie wynikających z tego konsekwencji. Mogła też wyznać prawdę, narażając się na potępienie Adama. W gruncie rzeczy cóż ją obchodzi opinia tego mężczyzny? Jego samego trudno uznać za wzór wszelakich cnót.

Z pojedynczych uwag, jakie w ciągu paru lat usłyszała o lordzie Malvernie czy markizie Rockinghamie, jak się teraz nazywał, ułożyła sobie obraz świadczący jednoznacznie o tym, że skandal nie jest mu obcy. Uspokoila się, przypominając sobie słowa pani Bragg: „Lord nie ma prawa do prawienia kazań wam, młodym”. Tak, uznała, on nie tylko zabawia się z kochankami w ustronnych gospodach, ale jeszcze dzieli się nimi z innymi mężczyznami. W takiej sytuacji słowa gospodyni należało uznać za rozsądny argument. Sylvie wątpiła, by markiz Rockingham pragnął nadać rozgłos przygodzie z kobietą upadłą, która udawała panią Townsend. Zastanawiała się, czy June uznałaby Townsenda za godnego bycia ojcem chrzestnym jej dziecka, gdyby wiedziała, jakie hulaszczę życie prowadzi. Na razie jednak Sylvie musiała zostawić tę wiedzę dla siebie. Oddając June list, nieznacznie się uśmiechnęła. Jeśli Adam zamierza ją zdradzić, ona odpłaci mu tym samym.

- Rockingham!

Adam skierował wzrok na jowialnego mężczyznę, który właśnie wszedł do prywatnej jadalni, z której korzystał w gospodarstwie, i niewątpliwie zmierzał w jego kierunku. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia, westchnął jednak tak, że nieproszony gość musiał usłyszeć. Po sekundzie powrócił do późnego śniadania i gazety, poświęcając temu całą uwagę.

Jednak Guya Markhama niełatwo było zniechęcić. Podszedł, odsunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

- Nie mogłem uwierzyć, że to ty - zaczął z szerokim uśmiechem. - Zobaczyłem herb na powozie, pomyślałem więc, że zapytam starego Patchetta, czy rzeczywiście tu zjechałeś. Gdy potwierdził, dosłownie zbaraniałem. Kto by pomyślał, że „Pod Różą i Koroną” jest w twoim guście.

Adam ukroił plaster pieczeni i przeniósł go na talerz.

- Jak widzisz, jest.

Guy nadał się uśmiechał.

- Co cię sprowadza w te strony? Wiejska okolica nie wydaje się atrakcyjna o tej porze roku. Sezon dopiero się zaczyna, prawda?

Uwagę Guya przykuła pieczeń i aromatyczna woń przypraw.

Adam przesunął w jego kierunku półmisek.

- Miło z twojej strony, Rockingham - zauważył Guy, niezwłocznie nakładając sobie kawał wybornej wołowiny.

- Dlaczego tu przyjechałeś? - powtórzył z nieukrywaną ciekawością.

- A ty? Bawisz w odwiedzinach u rodziców?

Adam uniknął odpowiedzi, zadając pytanie. Uniósł oprawioną w srebro karafkę, żeby dolać do szklaneczki.

– Nie przyjechałbym tu z własnej woli - wyznał Guy, sięgając po karafkę natychmiast, gdy tylko gospodarz ją odsta-
wił. - Siostra wreszcie usidliła mężczyznę, zostałem więc we-
zwany, żeby pomóc w przygotowaniach. Ten nieszczęśnik to
Pomeroy. Na nic się zda tłumaczenie mu, żeby nie brał tej ję-
dzy. Nie słucha. Ma teraz puste kieszenie, a matka go przeko-
nała, że istnieje tylko jeden sposób, by je napęłnić.

Adam uśmiechnął się krzywo do przyjaciela.

- Rozumiem, że twoja siostra zatwierdziła tę strategię?

Guy wzruszył ramionami. Zadumany, wpatrywał się
w przestrzeń.

- Trudno powiedzieć. Rano, kiedy wychodziłem, wyglą-
dała na zadowoloną, ale Janet zawsze jest szczęśliwa, kie-
dy po domu snują się wyfiokowane kobiety z francuskim
akcentem. Wyszedłem i zostawiłem ten bałagan. Wszędzie
koronki...

Wzruszył ramionami i wzmocnił się łykiem wyborne-
go trunku.

Po krótkim milczeniu spowodowanym energicznym pa-
łaszowaniem darmowego posiłku Guy zauważył ponuro:

- Niewielu nas zostało. - Z niechęcią pokręcił głową. -
Myślałem, że Pomeroy jest odporniejszy.

Adam pytająco uniósł brwi.

- Moim zdaniem, za łatwo się poddał. Wszyscy zbyt ła-
two ulegają. Na przykład taki Trelawney... aż trudno uwie-
rzyć. Przysięgał, że nigdy się nie ożeni, i co?

W oczach Adama błysnęło zrozumienie.

- Od lat nosi małżeńskie kajdany. Upierał się, że nie jest stworzony do małżeństwa. Ja też nie, odparłem, a potem Ross go usidliła. Cholernie niewygodnie. Mieszkałem wtedy z nim przy Grosvenor Square. Musiał się wyprowadzić. Dziwne zachowanie...

Pokręcił głową.

- Słyszałem, że są bezgranicznie szczęśliwi - zauważył Adam, odsuwając talerz.

Widząc, że gospodarz zakończył posiłek, Guy przysunął sobie półmiski z resztkami jedzenia i rzucił się na nie, żeby zdążyć, zanim służba uprzątnie nakrycia. Z pełnymi ustami ponownie spytał:

- Zdradź, dlaczego tu przebywasz, Rockingham? Nie dostrzegam niczego, co mogłoby cię skusić, sam przyznasz. Mnie zresztą także. Tak czy inaczej, jutro wyjeżdżam.

Markiz Rockingham zignorował pytanie. Założył ręce na kark i przeciągnął się.

- Jesteś z wizytą? - sondował niezrażony milczeniem Guy.

Adam kiwnął głową.

- Niezbyt ładnie, że nie goszczą cię w domu, co? - za uważył Guy, pochłaniając ostatnie kęsy. - Nie powinno się wymagać od markiza, by mieszkał w gospodzie.

Adam odsunął talerz Guya na środek stołu, przyciągając w ten sposób jego uwagę.

- Odwiedzam ludzi, Markham, których nie uprzedziłem o swoim przybyciu - poinformował zwięźle.

-Aha... zatem diabelnie dla nich niewygodnie - powiedział Guy, przysuwając na powrót talerz z jedzeniem.

- Kim oni są? Krewni? Muszę ich znać, skoro mieszkają w okolicy. Wiesz co? Ja też do nich wpadnę, dotrzymam ci towarzystwa.

- Bardzo miło z twojej strony, Guy, ale na ogół usiłuję sam sobie radzić.

Adam odsunął krzesło i podszedł do niewielkiego okna. Oparł dłoń na spróchniałym drewnie parapetu i wyjrzał. Zaskoczyło go to, co zobaczył.

Niezrażony zachowaniem markiza, Guy szybko umieścił ostatni płat mięsa z talerza na kawałku chleba i zbliżył się do okna ciekaw, co przykuło uwagę Rockinghama.

Kiedy podążył za jego wzrokiem, uśmiechnął się przebiegle.

- Chłopczyca, wiesz, strzela celniej niż jej ojciec. Moja siostra twierdzi, że jest dzika. Ale może to zazdrość i tyle.

- Spoglądał na kapelusz, spod którego wymykały się jasne lśniące włosy. - Nie można zaprzeczyć, słodziutka. - Odsunął od ust kanapkę i wykręcił szyję, żeby lepiej widzieć.

- A niech mnie! - wykrzyknął, kiedy Sylvie odwróciła się przodem do gospody i zobaczył, co dźwiga. - To dziecko, prawda?

Sylvie przekleła w duchu nianię Jacoba. Spacerowała, tułac siostrzeńca tak, by nie mógł chwycić runda kapelusza, na co najwyraźniej miał ochotę. Molly nie mogła zawieść w bardziej niedogodnym momencie.

Dotarli do wsi niedawno. Po drodze z Windrush Jacob marudził, bo wyrzynały mu się ząbki. Molly robiła, co mogła, żeby go uspokoić, jednak tylko Sylvie udawała się ta sztuczka. Zaoferowała więc, że zostanie z nianią przy powozie i zajmie się malcem podczas wyprawy June do sklepu. Miała nadzieję, że pod nieobecność siostry zostawi uśpionego Jacoba pod opieką Molly i wyruszy na poszukiwanie markiza. Olśniewający powóz ze złotym herbem kłut w oczy na podwórze gospody, mogła zatem przypuszczać, że zastanie jego właściciela w środku.

Molly jednak ją przechytrzyła. Gdy tylko jej pani się oddaliła, dziewczyna poskarżyła się na mdłości po jeździe wyboistą drogą. Zanim Sylvie zdołała ją zatrzymać, Molly wyskoczyła z powozu, mówiąc, że musi kupić w aptecce kordiał, bo rozchoruje się na dobre. Służąca rzeczywiście podążyła w kierunku apteki, później jednak Sylvie dostrzegła ją, przemykającą się opłotkami, z młodzieńcem przypominającym Fredericka zatrudnionego w stajniach Windrush. Sylvie kazała woźnicy zaczekać, wzięła marudzącego Jacoba na ręce i również wysiadła, po czym pospieszyła do gospody „Pod Różą i Koroną”.

Jacob dostał czkawki i Sylvie poklepała go po plecach. Rozglądała się. Był dzień targowy; na trawnikach w pobliżu Green Man porozstawiano stragany i tam panował większy ruch. Nieliczni przechodnie spieszyli w różnych kierunkach, mijając gospodę. Na szczęście nikt się nią nie interesował.

Dystyngowana młoda kobieta nie powinna w zasadzie

przekraczać progu takiego przybytku, zwłaszcza z rozmarudzonym dzieckiem na ręku. Westchnęła. Musiała przyznać, że jej niedawne zachowanie nie było wcale stosowniejsze.

- Wydaje się, że jest naszym przeznaczeniem wpadać na siebie na podwórzach gospód - usłyszała.

Obróciła się na pięcie. Szybko przytuliła Jacoba, gdyż wykrzywił buzię, jakby miał wrzasnąć.

- Wielkie nieba! Przestraszył mnie pan! Proszę, przez pana dziecko znów się rozplacze - zgañiła lorda Malverna, kołyszając Jacoba, żeby go uspokoić.

- Pani Vance, proszę przyjąć moje...

- Proszę mnie tak nie nazywać! - syknęła, zanim zdążył dokończyć przeprosiny.

Adam wbił ręce w kieszenie.

- Dlaczego?

To proste pytanie sprawiło, że Sylvie zbladła i ostrożnie się rozejrzała. Jego obawa, że dziewczyna rzuci się natychmiast do ucieczki, okazała się jednak bezpodstawna. Przeciwnie, ociągała się, mimo że widać było, iż jest jej niezręcznie. Zatrzymał spojrzenie na niemowlęciu, które usadziła na wysuniętym biodrze. Szczupła dłoń podtrzymywała wprawnie pokrytą meshkiem główkę w niebieskim czepeczku.

- Synek jest bardzo do pani podobny - zauważył.

Sylvie zerknęła na Jacoba i wyjąkała:

- Chyba... naprawdę pan chyba tak nie myśli?

Krew uderzyła jej do głowy. Adam, nie bez podstaw, są-

dzi, że jest mężatką. Dlaczego nie miałby zakładać, że niebieskookie dziecko o jasnych włosach, które trzyma na ręku, jest jej? Brakowało jednak czasu na wyjaśnienia. Szybko nabrała w płuca powietrza i powiedziała:

- Muszę z panem porozmawiać pilnie i na osobności. Proszę nie wypytywać mnie ani nie nazywać panią Vance.

Jej ton sprawił, że Adam zmarszczył brwi i pochylił głowę. Badawcze spojrzenie inteligentnych ciemnych oczu spoczęło na jej twarzy.

- Muszę panu coś wyznać, zanim odwiedzi pan jutro moją rodzinę. To delikatna kwestia. - Odczytała z jego twarzy, że mimo jej prośby zamierza zadać pytanie. Pokręciła głową. - Przykro mi. Nie mogę nic powiedzieć, zanim nie znajdziemy się sam na sam.

Wzruszył ramionami i zrezygnował z indagacji.

- Przy drodze do Windrush jest opuszczony dom. Jakies pół mili za rogatką, w oddaleniu od traktu. Musimy się tam spotkać.

- To bardzo intrygujące, pani... eee... bardzo intrygujące. - Adam również ściszył głos. - Sądzę jednak, że powinna mi pani już teraz zdradzić coś więcej.

- Proszę milczeć i słuchać! - zażądała Sylvie na widok rozbawienia widocznego w spojrzeniu markiza. - Nie mamy zbyt wiele czasu. June wkrótce zakończy zakupy i zacznie mnie szukać... Och, Boże! Guy Markham. On mnie zna.

- Mnie także. Właśnie zjedliśmy razem śniadanie.

- Nie wspomniał pan o mnie, prawda?

- Dlaczego miałbym to zrobić?
- Dobrze. - Niepokój nie pozwolił jej odpłacić należycie rozmówcy za coraz bardziej żartobliwy ton jego głosu.
- Proszę mu nic nie mówić. Spotkamy się w opuszczonym domu po południu, o czwartej. Nie... nie, za wcześnie, nie zdążę, już jest po drugiej. - Zmarszczyła brwi. - O szóstą. Wystarczająco dużo czasu, a jeszcze jest jasno. - Rozgorączkowanej Sylvie przyszło do głowy istotne pytanie. - Zna pan Bridge Cottage?
- Nie, a ponieważ bardzo chcę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, z pewnością znajdę.
- Panno Meredith - powitał ją tubalnym głosem Guy.
- Jak się pani ma? Zobaczyłem panią przez okno. Połaskotał Jacoba w żebra i spokojny dotąd chłopczyk znów otworzył usta do krzyku.
- Śliczne dziecko.
- Guy wykrzywił się na pierwszy wrzask niemowlęcia i cofnął się o krok.
- Sylvie odpowiedziała szybko na powitanie i dodała:
- Muszę już iść... on... mój siostrzeniec... ząbkuje, wie dzą panowie, jak to jest.
- Posłała Adamowi znaczące spojrzenie, odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem w kierunku powozu.
- Na pewno jedna z sióstr odwiedziła rodziców i została berbecia pod jej opieką. - Twarz Guya wyciągnęła się.
- Nie zamierzałem jej przyprawić o rumieniec. Ona chyba w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Nie mam zbyt wiele szczęścia u kobiet - dodał smętnie.

Adam zagadkowo się uśmiechnął. Wpadła mu do głowy pewna myśl, ale starał się ją odpędzić. Myśl jednak uparcie powracała, pozwolił sobie zatem na rozważenie, czy jemu samemu nie poszcześci się bardziej u tej anielicy teraz, kiedy jest mężatką.

Rozdział szósty

- Czy bardzo się spóźniłam?

Rzucone na powitanie słowa Sylvie stanowiły jednocześnie przeprosiny. Wypowiedziała je natychmiast, gdy Hazel parsknęła i zaryła kopytami przed Bridge Cottage. Sylvie z dumą poklepała klacz po szyi. Kiedy już zdołała wyrwać się z domu, pokonała odległość do miejsca spotkania w imponującym tempie.

Z wprawą i zręcznością zeskoczyła z wierzchowca i przygładziła ubranie zmięte po galopadzie na przełaj przez pola, urozmaiconej pokonywaniem ogrodzeń ryzykownymi skokami. Zdała sobie sprawę, że już sam jej widok, dosiadającej okrakiem klaczy i cwałującej w stylowej amazonce, zupełnie niestosowny, przyprawilby jej matkę o palpitację.

Gdyby pani Meredith widziała, jak jej najmłodsza córka, zsuwając się z siodła, przytrzymuje kraj sukienki, przy okazji prezentując markizowi Rockinghamowi oszłamiająco kształtne łydki i kostki, z pewnością skarciłaby ją surowo za wywołanie zgorszenia.

Natomiast Sylvie z ubraniem w nieładzie i rozwichrzonymi włosami, ze spokojem otrzepała kurz z rękawów. Zmierzyła wzrokiem eleganckiego dżentelmena opartego niedbale o nieco przybrudzone ściany Bridge Collage. Miał na sobie szary jeździecki surdut, doskonałej jakości i kroju. Rasowy wierzchowiec używany do polowań skubał nieopodal trawę. Prezentujący się niezwykle wytwornie markiz zupełnie nie pasował do podupadającego wiejskiego domku... i wiejskiej panny, uznała Sylvie. Zrezygnowała z dalszego strzepywania kurzu i poprawiania przekrzywionego kapelusza.

Niedopałek cygara upadł na ziemię i dokończył żywota pod lśniącym butem. W powietrzu snuł się zapach tytoniu. Adam taksował wzrokiem młodą piękną kobietę, która bez żadnych specjalnych zabiegów i sztuczek wzbudziła jego namiętność. Z reguły kochanki starały się go czarować powłóczyistymi spojrzeniami i zmysłowymi gestami. Natomiast ta młoda dama ukazała mu przypadkiem i zaledwie na ułamek sekundy kostkę, a mimo to rozpałała go niczym niedoświadczonego młodzieńca. W tym momencie Adam pomyślał o Johnie Vansie. Bez wątpienia wzbudzała w nim równie silne uczucia. Nie mogło być inaczej.

Świadoma uporczywego i pełnego zachwyty męskiego spojrzenia, Sylvie się zarumieniła. Markiz z pewnością uważał jej postępowanie za mocno niestosowne. Matka powtarzała jej w kółko, że powinna zachowywać się jak damie przystało: czarująco, uprzejmie i godnie. Z wysoko unie-

sioną głową i wyprostowanymi plecami przecisnęła się koło Adama, niechcący dotykając biodrem jego uda. Drgnęła na ten niechciany fizyczny kontakt i przywiązała Hazel do gałęzi drzewa. Przekonywała się w duchu że ma teraz na głowie ważniejsze sprawy niż martwienie się o to, co markiz o niej pomyśli, i zastanawianie się, dlaczego przeszedł ją dreszcz, kiedy w ten szczególny sposób się jej przyglądał.

Adam dostrzegł wyraz zakłopotania na pięknej twarzy Sylvie i pożałował, że zdradził się ze swoim podziwem. Wydobył z kieszonki zegarek i zerknął na tarczę, choć doskonale wiedział, że Sylvie spóźniła się o piętnaście minut. Błyszczący czasomierz powędrował na powrót do kieszeni.

- Muszę przyznać, że sądziłem już, iż pomyliłem domy. Albo że postanowiła pani sobie ze mnie zażartować.

- Gdybyż tak było, ale nie jest, niestety - mruknęła ze szczerością, która sprawiła, że na ustach markiza zagościł szeroki uśmiech. Prędko wyjaśniła przyczynę spóźnienia:

- Matka Guya Markhama i jego siostra Janet odwiedziły nas po południu i nie mogłam się wyrwać. Są sąsiadkami, mieszkają dalej w dolinie, w Spire Park. Och, oczywiście musi pan to wiedzieć, zna pan przecież Guya. - Uśmiechnęła się krzywo. - Janet niedawno się zaręczyła i chciała się z nami podzielić tą radosną nowiną.

- Wzięciem na swoje barki długów Pomeroya? - zapytał zgryźliwie.

- Zna pan Thomasa Pomeroya?

Adam kiwnął głową.

- Jest jednym z moich sąsiadów w Mayfair. A raczej był. Podobno wynajął komuś dom przy Upper Brook Street, żeby przynajmniej zachować koszulę na grzbiecie. Mam nadzieję, dla dobra wszystkich zainteresowanych, że te zaręczyny nie zakończą się skandalem.

- Czy to prawdopodobne?

- Nie, jeśli Pomeroy wyłudzi zaliczkę na poczet posagu i spłaci najbardziej natrętnych wierzycieli.

Sylvie zmierzyła Adama spojrzeniem. Plotka, pogłoska, skandal... Właśnie o tym zamierzała powiedzieć, po to wyznaczyła spotkanie. Uwagi o niedoli Pomeroya wydawały się dobrym wstępem do poruszenia spraw, które dotyczyły jej bezpośrednio.

- Ściągnęłam tu pana po to, aby porozmawiać o skandalu czy raczej o zapobieżeniu skandalowi.

Wyjawiając to, Sylvie pilnie obserwowała markiza i odczuła niepokój, gdy nie zareagował. Rozmyślnie powściągał ciekawość. Cisza się przedłużała, a Sylvie zapragnęła nagle, żeby markiz zaczął domagać się wyjaśnień. Niepytana, wolała powstrzymać się przed udzielaniem informacji, chociaż miała na to wielką ochotę.

Postanowiła, że będzie cierpliwa. Nie miała powodu, by obawiać się Adama. Kiedyś był wobec niej serdeczny. Zanim niegrzecznie odrzuciła jego oświadczenia, brał jej stronę wobec ojca i Williama. Pamiętała dobrze, jak kiedyś bronił jej prawa do zadawania pytań, które ojciec uznał za wysoce niestosowne. Lord Malvern delikatnie edukował ją w sprawach tego świata.

Teraz musiała się przyznać do udziału w zdarzeniu bez wątpienia bardzo niestosownym. Gdyby zdołała przywrócić, choćby na krótko, więź, która ich niegdyś łączyła...

Odwróciła wzrok i znów wpadł jej w oko wspaniały ogier.

- Zabrał pan z sobą do Hertfordshire wspaniałego wierzchowca.

Przywołała na twarz ujmujący uśmiech i pogłaskała bok konia. Zadowolone zwierzę poruszyło głową.

- Nie jest mój. Guy mi go pożyczył.

-Ach...

Głaskała konia, głowiąc się nad tym, jak pokierować rozmową. Pozostawanie przy neutralnym temacie wydawało się stosowne, gdyż przypominało, że wyświadczyła Adamowi przysługę.

- Czy odebrał pan swojego ogiera złodziejom?

Uśmiechnął się z żalem.

- Odzyskałem go, lecz muszę przyznać, że bez bohatera skiego czynu z mojej strony. Pani Bragg wysłała chłopaka stajennego po pomoc. Cyganie obozowali w pobliżu. Pakowali się, żeby odjechać, i wtedy dragoni tam dotarli. Jestem pani winien wdzięczność.

Sylvie się uśmiechnęła.

- Cieszę się, że odzyskał pan konia. Rozzłościło mnie, że go zabierają, a ja jestem bezsilna.

Słońce zawisło nisko nad horyzontem, rozpalając w jej oczach złociste ogniki. Sylvie zdała sobie sprawę, że robi się późno i powinna poruszyć drażliwą kwestię. Napięcie po-

między nimi zelżało. Adam potwierdził, że wyświadczyła mu przysługę. Może zechce się zrewanżować.

Obserwując go kątem oka, starannie dobrała słowa.

- Sądzę, że zastanawia się pan, jaka katastrofa zmusiła mnie dziś do... do tak dramatycznego działania.

- Szukała mnie pani w gospodzie „Pod Różą i Koroną”?

Sylvie straciła nadzieję, że się porozumieją, ponieważ Adam zadał pytanie aroganckim tonem. Po dłuższej chwili potwierdziła, bo nie miała innego wyjścia. -Tak

- Jestem zaszczycony.

- To żaden zaszczyt. Szukałam pana tylko po to, żeby...

- Żeby? - ponaglił.

Obserwował jej szczupłe palce przebierające wodze kasztanka. Nieskazitelnie piękna twarz Sylvie spochmurniała, jakby zastanawiała się nad bolesnym problemem. Co dziwne, to widoczne zakłopotanie wywołało w nim czułość. Szybko powiedział to, co chciała usłyszeć, choć zamaskował dobre intencje szorstkim tonem:

- Dlaczego nie chce pani, żebym zwracał się per pani Vance?

Sylvie milczała. Usłyszała, że markiz wzdycha. Zrozumiała, że się niecierpliwi. Zrozumiała również, że musi tak dobrać słowa, by osiągnąć założony cel: udobruchać markiza i zażegnać skandal.

Adam dostrzegł wahanie Sylvie. Znowu wzbudziła w nim czułość i chęć pospieszenia z pomocą. Ta potrzeba zaopiekowania się uroczą trzpiotową panną po raz

pierwszy pojawiła się wtedy, gdy poznał najmłodszą córkę Meredithów. Mimo że rozbrykana panna wyszła za mąż i jest kobietą innego mężczyzny, nadal ma nad nim, Adamem, władzę. I właśnie szuka odpowiednich słów, żeby mu opowiedzieć o ucieczce.

Przez cały dzień zastanawiał się, dlaczego Sylvie koniecznie chce mu coś wyznać, w dodatku szybko i na osobności. Znane mu fakty prowadziły do jednego, wysoce prawdopodobnego wniosku. Młodzi ludzie, którzy podróżowali wiodącym na północ gościńcem Great North i pragnęli, żeby pozostawiono ich w spokoju, na ogół udawali się do Szkocji, by tam w tajemnicy wziąć ślub.

- Pani i Vance uciekliście, prawda? Zakładam, że pa ni rodzice są nadal poruszeni, i chce pani, żebym podczas jutrzejszej wizyty postępował taktownie i dyskretnie?

Sylvie obrzuciła Adama uważnym spojrzeniem. Walczyły w niej o lepsze ulga i zaskoczenie.

- Wiedział pan od początku?

Adam oparł się o ścianę, z której odłaziła farba, i skrzyżował ręce na piersi.

- Nie, ale gdy tylko dała mi pani do zrozumienia, że coś jest nie tak, wyciągnięcie wniosków nie zabrało wiele czasu. Po dłuższej przerwie w naszej znajomości musi panią niepokoić, że aż dwukrotnie pojawiając się w niewłaściwej chwili.

- Urwał. - Dlaczego właśnie jego pani wybrała? - zapytał z lekką przyganą w głosie.

Sylvie drgnęła. Zirytował ją przytyk pod adresem Johna.

- John Vance jest moim dobrym przyjacielem.

-I to wystarczyło, żeby z nim uciec wbrew rodzicom i dobrym obyczajom?

Energicznie kiwnęła głową.

- Wolałabym żyć z nim niż z jakimś prostackim rozpustnikiem... - Dostrzegła, że Adam rzucił jej baczne spojrzenie, dodała więc szybko: - I niż z nudnym fircykiem uchodzącym za właściwego kawalera w wytwornym towarzystwie.

- Do której z tych grup mnie pani zalicza? - zapytał spokojnie Adam. - A może pasują do obu?

- Musi być pan bardzo zarozumiały, sądząc, że w ogóle pana uwzględniłam. - Sylvie ugryzła się w język. Spontaniczne wyznanie nie pomoże jej zyskać sprzymierzeńca w osobie Adama. Ponadto przecież wcale nie zamierzała go obrazić. - Nie myślałam o... nie chodziło o pana. Nie jest pan ani prostacki, ani nudny.

Dwa pominięte w tym wyliczeniu słowa wywołały cyniczny uśmiech markiza.

Rozbawienie Adama skłoniło Sylvie do uwiarygodnienia poprzedniej wypowiedzi:

- Doszły mnie różne słuchy na pański temat, ale nie osądzałabym pańskiego charakteru, zanim nie poznałabym pana lepiej.

- Powinienem zatem odjechać teraz, kiedy raczy mnie pani miłymi komplementami - skomentował.

Obdarzyła go tak wdzięcznym uśmiechem, że roześmiał się na całe gardło.

- Porozmawiajmy o Johnie Vansie - zaproponował. -
Dobrze go pani zna i lubi?

- Tak, już to mówiłam - odparła sztywno.

- Wyobrażam sobie, że pani rodzice go nie akceptują i chcą utrzymywać sprawę jak najdłużej w tajemnicy.

Do czasu, gdy zacznie przypominać godnego ich córki męża, miał ochotę dodać, lecz zatrzymał tę uwagę dla siebie.

- Moi rodzice go lubią, ale naturalnie taka eskapada stworzyła... napięcie pomiędzy naszymi rodzinami. To nie wina Johna. To ja wpadłam na taki pomysł. Jeśli się jednak wyda, że razem uciekliśmy, wybuchnie skandal.

- Małżeństwo nie do końca dopasowane, ale daleko do skandalu - zauważył Adam.

Sylvie pojęła, że brną w kolejne nieporozumienie. Ta myśl zbiegła się w czasie z nagłym przebłyskiem świadomości Adama. Ich spojrzenia się spotkały. Patrzyli na siebie, aż wreszcie Sylvie odwróciła wzrok. Już miała wyjaśnić wszystko, gdy wybuchnął:

-W jakim kierunku podróżowaliście wtedy gościńcem?!

Przemiana uprzejmego zainteresowania markiza w gniew wzbudziła w niej opór.

- W jakim kierunku? -powtórzył.

- Na północ! - wypaliła w końcu. - W kierunku Szkocji!

- Zatem nie byliście małżeństwem, kiedy zatrzymaliście się w oberży?

Sylvie obląła się rumieńcem, lecz wytrzymała spojrzenie markiza. Potwierdziła skinieniem głowy.

- Pozostał tylko jeden wolny pokój, więc wynajęliśmy go jako mąż i żona - wyjaśniła.

- Aha, tak się rzeczy mają - wycedził.

Adama uderzyła myśl, że mógł zawieźć pannę Sylvie Meredith z powrotem do domu, zanim miałyby szansę dotrzeć do Gretna Green. Gdyby nie chaos, jaki zapanował w gospodzie po kradzieży jego konia, dokładniej wypytałby młodych o kierunek i cel podróży.

Stało się teraz jasne, dlaczego rankiem wyruszyli tak pośpiesznie, kiedy jego zajmowała inna sprawa. Złożył wówczas tę niegrzeczność na karb zakłopotania, jakie w młodej parze musiało wywołać napotkanie dawnego konkurenta panny. Jednak Vance nie był wtedy mężem Sylvie, lecz tylko kochankiem. Nic dziwnego, że panna Meredith sprawiała wrażenie zmieszanej i unikała dalszych pytań. Nie ma się też czemu dziwić, że obecnie chce ukryć szczegóły tego zdarzenia przed ludzką opinią. W gruncie rzeczy, gdyby nawet zmusił ją wówczas do powrotu do domu, do rodziców, wyświadczyłyby im niedźwiedzią przysługę. Ich najmłodsza córka już straciła reputację i była skończona w towarzystwie. A jednak drażniło go, że przegapił okazję przeszkodzenia w tym ślubie.

Vance zaproponował pomoc w odzyskaniu skradzionego konia. Gdyby od razu na to przystał, pomyślał Adam, wydobyłbym z niego przy okazji informacje. Jak się szyb-

ko zorientował, Johna Vance'a mógł skłonić do szczerości znacznie łatwiej niż jego bystrą przyjaciółkę.

Teraz Sylvie Meredith jest żoną człowieka, który, choć poczciwy, nie jest dla niej wystarczająco dobry. Adam pojawiłby znaczną sumę na to, że jej rodzice doskonale to wiedzieli i rozpaczali, iż nie pilnowali staranniej swojego klejnotu.

A z tego, jak gorliwie Sylvie broni Vance'a, wynika, że ona również uważa ten związek za mezalians.

- Jeśli wstydzi się pani swojego zachowania albo męża, niech tak zostanie, pani Vance. Proszę się nie obawiać, ni-

komu nie wspomnę o tym, co wiem. Do widzenia pani - oznajmił Adam i odwiązał konia od gałęzi.

Odjeżdża! Powstrzymał się od uwag, ale w oczywisty sposób mną pogardza, uznała Sylvie. A co by było, gdyby poznał całą prawdę? Że mimo nocy spędzonej z Johnem w tym samym pokoju nadal jestem dziewicą?

Wiedziała, że powinna się wstydzić, wprost kulić pod brzemieniem wstydu, po tak karygodnym występku, ale niczego takiego nie odczuwała. Przeciwnie, była w buntowniczym nastroju. To, że uważał ją za zdolną do małostkowego pogardzania statusem Johna, wprost jej uwłaczało.

- Jak pan śmie odwracać się do mnie tyłem! - zawołała, lecz nie doczekała się reakcji. - Jak pan ośmielił się choć przez moment myśleć, że poślubiłabym męż-rzwnę, a potem nie przyznawała się do niego, uważając go za gorszego ode mnie! - Adam nadal nie reagował. Przyskoczyła i chwyciła go za rękaw. - John Vance jest

przyjacielem. Jest miły i lojalny i... i... jest wszystkim, co miłe! - Tupnęła nogą, gdy nadal nie odpowiadał, szykując się, by wskoczyć na siodło. - John nie jest może bystry i nie jest uważany za dobrą partię, ale wolałabym spędzić życie z nim niż... niż z nikczemnym kobieciarzem, udającym wytwornego dżentelmena.

- Widzę, że wyrobiła sobie pani o mnie opinię - odparł.
- Powinna pani poznać moją o pani. Nie poprawiła się pani wcale. Jest pani nadal takim samym niezdolnym bachorem jak w wieku szesnastu lat. Nie waha się też pani, co sama przyznała, zachowywać się jak bezwstydną ladacznica. Pani rodzice muszą być z pani dumni. - Ściągnął lekko wodze, by utrzymać ogiera w miejscu. - Co do pani męża, wcale nie jest od pani gorszy moja droga. Obawiam się nawet, że to Vance'owie stracili bardziej na tej transakcji. Proszę mu przekazać głębokie kondolencje od nikczemnego kobieciarza.

Sylvie patrzyła na Adama, pobladła z gniewu i poniżenia. Zaciśnęła dłonie w pięści w sposób, który wywołał cyniczny uśmiech na twarzy markiza.

- Och, nieważne, co czuję, nie zdradzę pani. Za bardzo poważam Williama Pembertona. Dałem słowo, że za trzymam swoją wiedzę dla siebie, i tego słowa dotrzymam. Niech mi pani oszczędzi hipokryzji i opowieści o motywach, które skłoniły panią do poproszenia mnie o milczenie. Wyszła pani za mąż w pośpiechu i ubolewam nad tym nie mniej niż pani rodzice. Taka jest prawda.

-Nie!

Adam zignorował jej protest. Niedbale kiwnął głową, spiął konia i ruszył galopem w kierunku drogi.

Sylvie dławiły emocje. Miała ochotę podnieść z ziemi kamień i cisnąć nim w Adama, żeby spadł z konia. Miała też chęć pobiec za nim, chwycić za nogę i zmusić, żeby się zatrzymał, żeby jej wysłuchał. Chciała zakończyć opowieść, a potem oddalić się pierwsza;- zmrozić go pogardą, właśnie tak jak on to uczynił.

Rozdział siódmy

- Miło znów pana widzieć.

Adam ujął wyciągniętą rękę i potrząsnął nią, cofnął jednak dłoń, gdy młody człowiek próbował ją mocno uściskać. Być może chciał udowodnić, że jest już mężczyzną.

- Urosłeś od naszego ostatniego spotkania - rzucił Adam pod adresem syna swojego chrzestnego ojca. - Pamiętam, że byłeś chudy jak patyk i nieduży.

Hugon Robinson poczerwieniał na tę uwagę.

- Minęło dziewięć lat, miałem wtedy trzynaście - przypomniał, chowając dłonie do kieszeni.

- To było tak dawno? No proszę, a mimo to cię poznałem.

Obrzucił wzrokiem wyniosłego młodzieńca. Rzeczywiście, poza tym, że urósł, nie zmienił się zbyt wiele. Adam czuł, że nie uda mu się polubić Hugona bardziej niż przed laty.

Jako dziecko, Hugon przejawiał nadmiar energii, która najczęściej znajdowała ujście w złości. Miał skłon-

ność do przerywania rozmów dorosłych w irytująco prze-
mądrzały sposób. Obecnie, jak skonstatował Adam, istniał
inny powód, który sprawiał, że zżymał się w obecności
Hugona. Uznał, że młodzieniec ma wyjątkowo przebiegłe
i zimne spojrzenie.

- Pamiętam, jak spędził pan z nami miesiąc w Rivendale.
- Usta młodzieńca rozciągnął uśmiech. - Dobry myśliw-
ski sezon. Upolowałem wtedy więcej ptaków, niż mogłem
zliczyć.

- Tak, dobrze się sprawiłeś - pochwalił grzecznie Adam.

Zastanawiał się, jakim zrzędzeniem losu ludzie tak mili
jak sir Anthony i lady Robinson mogli wydać na świat rów-
nie niepociągające potomstwo. Dobrze się stało, że Hugon
jest jedynakiem, choć, być może, rodzice uznawali to za
przekleństwo.

- Co cię sprowadza do gospody o tak wczesnej porze?

Adam zajął na powrót miejsce przy zastawionym do
śniadania stole i zaprosił gościa gestem, by do niego do-
łączył.

Hugon obrzucił spojrzeniem apetyczny posiłek, poświę-
cając jednak uwagę przede wszystkim butelce bordo.

- Przysłał mnie ojciec. Sam by przyjechał, ale chwilo-
wo nie za bardzo nadaje się do podróży. Noga mu spuchła
jak diabli.

Hugo wspomniał o dolegliwości ojca z widoczną satys-
fakcją. Adamowi zrobiło się przykro. Obserwował zwięzo-
nymi oczami, jak młody człowiek podchodzi do drzwi ja-
dalni i wygląda na zewnątrz.

- Gdzie jest ten Patchett, kiedy się go potrzebuje?! - zawołał. - Mam ogromną ochotę na piwo,
- Wyglądasz, jakbyś zaspokoił pragnienie już w nocy.
- Właśnie dlatego potrzebuję piwa - odparł Hugo.
- Brandy przepaliła mi język i muszę go czymś opłukać.
- Wykrzywił się, potem zerknął ponownie na butelkę. - Pozwoli pan...?

Niedbałe wzruszenie ramion gospodarza oznaczało, że może się sam obsłużyć. Niezwłocznie z tego skorzystał.

Adam zauważył już wcześniej oznaki hulanki, które przedwcześnie znaczyły twarz Hugona Robinsona. Mimo to był przystojny. Wysoki, o szerokich barach, z jasnymi włosami. Te cechy, w połączeniu z faktem, że odziedziczył kiedyś tytuł barona i piękny majątek, czyniły go prawdopodobnie atrakcyjnym dla pań z sąsiedztwa.

Hugo przeczesał włosy palcami, a potem dwoma rękami opróżnił kielich.

- Ojciec prosił, żebym sprowadził pana do Rivendale - obwieścił, odstawiając szkło. - Zdumiał się, kiedy otrzymał od pana wiadomość, że zatrzymał się pan w gospodzie. Zobowiązał mnie, żebym wymógł na panu zgodę, i nawet nie chce słyszeć o sprzeciwie. Proszę... oto pisemne zaproszenie od matki. Nalega, żeby pan przybył o porze umożliwiającej wspólne zjedzenie kolacji.

Adam wziął do ręki list i złamał pieczęć. Przeczytał zaproszenie i schował je z uśmiechem. Słodczy pani Robinson przebijała z każdego słowa.

- Podziękuj rodzicom za gościnność, ale pozostanę

w Hertfordshire tylko do jutra. Wracam do Londynu. W tej sytuacji nie narażę ich na kłopoty związane z przygotowaniem pokoju. Tutaj jest mi wystarczająco wygodnie, zważywszy na tak krótki pobyt. Oczekuję jednak z niecierpliwością spotkania z nimi i z zadowoleniem przyjmuję zaproszenie na kolację o siódmej.

Hugo ponownie nalał sobie wina właśnie w chwili, gdy służąca zapukała i weszła do pokoju. Kiedy się przekonała, że markiz ma towarzystwo, uśmiechnęła się nieśmiało i chciała się wycofać.

- Już skończyłem - poinformował ją Adam, wzywając gestem, by uprzątnęła ze stołu.

Dziewczyna zdawała się zwlekać. Wreszcie ruszyła naprzód i omijając meble, podeszła do stołu. Tylko raz odewrwała wzrok od odłogi, żeby zerknąć na Hugona, jakby się czegoś obawiała.

Adam przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami. Ładna panienska, chyba czternastoletnia, ale jak na tak młodą osobę dobrze wyposażona w kobiece wdzięki. Poprzednio nie okazywała w jego obecności skrepowania czy nerwowości.

Rzut oka na Hugona powiedział mu wszystko. Mierzył ją wzrokiem z lubieżnym zainteresowaniem. Było oczywiste, że dziewczynie nie pochlebia jego uwaga; właściwie sprawiała wrażenie przerażonej, Adam z namysłem studiował twarz Hugona. Być może, uznał na wyrost, że młodzieniec cieszy się wzięciem u miejscowych dziewcząt. Ma raczej reputację drapieżnego łowcy, uznał.

- Nie winię pana za wybranie łoża w gospodzie „Pod Różą i Koroną” - usłyszał. - To miejsce ma rozkoszne za lety. - Hugo przemówił tak, by usłyszała go służąca, wynosząca właśnie z pokoju zastawę. - Wszystkie dziewczki Patchettów są bardzo uczynne.

Patrzył przebiegle na markiza, obnażając zęby w wilyczym uśmiechu.

- Dzieci mnie nie interesują - odparł chłodno Adam.

Odsunął krzesło i wstał.

Jego niesmak nie wynikał tylko z niestosownych uwag nieproszonego gościa. Jakież miał prawo, by bawić się w moralistę? Był starszy o kilka lat od Hugona, gdy zainteresował się szesnastolatką. To prawda, że miał wobec niej uczciwe zamiary. Niemniej powinien zdawać sobie sprawę, że Silver Meredith jest o wiele za młoda - także mentalnie - by zadawać się z kimś takim jak on. Może zresztą miał tego świadomość, a pomimo to postępował samolubnie. Pragnął jej i tylko tchórzostwo i hipokryzja nie pozwoliły mu tego przyznać.

- Wybacz, Hugo, ale chciałbym dziś złożyć kilka wizyt, a wołałbym nie spóźnić się na kolację w Rivendale.

Hugo jednak nie potraktował tego jako wskazówki, że powinien opuścić jadalnię.

- Zna pan w okolicy inne rodziny?

- Tak - potwierdził Adam, spoglądając znacząco na zegarek.

Hugo zachnął się na tę niedwuznaczną odprawę. Mimo to, zdążając do drzwi, zdobył się na niefrasobliwy uśmiech.

- Sądzę, że ma pan na liście Markhamów. To najwięksi właściciele ziemscy w okolicy... po nas.

- Guy Markham jest moim znajomym - potwierdził Adam.

Hugo odwrócił się w drzwiach, jakby właśnie wpadła mu do głowy pewna myśl.

- Zna pan Meredithów?

- William Pemberton wszedł poprzez małżeństwo do tej rodziny. Jest moim przyjacielem.

- Jeśli odwiedzi pan Meredithów, może pan spotkać moją przyszlą żonę.

Ta uwaga miała na celu wzbudzenie zainteresowania markiza. Natychmiast odniosła skutek, jednak nie z tej przyczyny, o której myślał Hugo.

- Przyszlą żonę? - powtórzył cicho Adam, zbliżając się do gościa.

- Silver Meredith. Rodzina nazywa ją Sylvie. Chyba pan o niej słyszał, gdyż Pemberton jest mężem jej siostry.

- Adam nie wypowiedział żadnej uwagi, więc Hugo kontynuował: - Wszystko jest załatwione, choć jeszcze nieoficjalnie. Nasze matki przyjaźnią się od lat. Pozostaje tylko do uzgodnienia kilka szczegółów, a potem ogłosimy zaręczyny. To dla niej dobra partia. Pewnego dnia, gdy przejmę moje dziedzictwo, zostanie lady Robinson. - Ze sprośnym uśmiechem dodał: - Przyznaję, ja także mam szczęście. Nie mogę się doczekać, kiedy słodka Sylvie będzie cała moja.

Świadomy zainteresowania Adama, wesoło gwizdnął.

- Zaskoczyłem pana, widzę. Być może uważa pan, że

jestem za młody na małżeńskie kajdany, ale proszę poczekać, aż ją pan zobaczy. To rzadka piękność, choć nieco za krnąbrna jak na miłą żonę. Zapewniam, że to się zmieni, kiedy tylko weźmiemy ślub.

Skłonił się i wyszedł najwyraźniej z siebie zadowolony.

- Nie zamierzasz mnie chyba drażnić, opuszczając dom akurat teraz, kiedy spodziewamy się markiza?

- Nie. - Sylvie odpowiedziała jednym słowem na cierpkie pytanie matki.

- Och.... och, dobrze. Unikanie go byłoby niegrzeczne.

Gloria puściła klamkę i ruszyła w głąb sypialni córki.

- Nie zamierzam go unikać - zapewniła ją Sylvie i ponownie zajęła się porządkowaniem niesfomych loków. Rano, jak zwykle, odbyła przejażdżkę. Wiatr był na tyle silny, że zerwał jej z głowy kapelusz i zburzył kok, co zresztą jej nie przeszkadzało.

Gloria przystanąła koło córki, siedzącej na taborecie przy toalecie. Patrzyła, jak Sylvie rozczesuje lśniące jasne włosy. Co prawda, wszystkie cztery córki były piękne, z przyjemnością wysłuchiwała komplementów na temat ich urody, jednak idealne rysy twarzy i proporcjonalna, a zarazem smukła figura Sylvie przywodziły na myśl boginię.

- Wiesz, gdybyś przyjęła Adama Townsenda, kiedy wyświadczył ci zaszczyt, prosząc o rękę, to wszystko - ruchem ręki odmalowała zamieszanie, jakie wywołała ucieczka córki - by się nie wydarzyło. Tworzylibyście przepiękną parę. Byłabyś teraz szczęśliwą mężatką.

- Raczej tylko mężatką, bez „szczęśliwą”, mamó. Sądzę, że doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. - Sylvie jedno stajnym ruchem przeciągała szczotką po włosach. - Lord Malvern - zniecierpliwionym cmoknięciem skwitowała pomyłkę - markiz Rockingham, ma, powiedziałabym, opinię hulaki.

Gloria odchrząknęła.

- Płatki i spekulacje... Jestem tego pewna.

Sylvie uśmiechnęła się ironicznie, wyobraziwszy sobie, ak zareagowałaby matka na wiadomość, że markiz zaba-
wiał się z kokotą w przydrożnej gospodzie.

Zzymała się na myśl, że poprzedniego dnia Adam naruszył jej dumę pełną złośliwości reprimendą i uciekł, nie pozostawiając szansy na rewanż. A chętnie wypomniałaby mu obecność w gospodzie w towarzystwie damy lekkiego prowadzenia.

Ale... nic straconego. Och, nie wybierze się nigdzie teraz, kiedy dostojny gość zaszczyca ich swoją obecnością. Nie wiedziała tylko, jak znaleźć okazję do rozmowy na osobności. Tym razem postara się, by dobrze słyszał, kiedy mu wygarnie, co o nim myśli. Nazwał ją hipokrytką. Już ona mu pokaże hipokrytkę!

Gloria uważnie obserwowała wyraz twarzy córki, najwidoczniej bijącej się z myślami. Wydawało się, że wzmianka o Adamie Townsendar wyzwołała u Sylvie dość gwałtowne uczucia. Gloria poskubała nerwowo koronkową chusteczkę, widząc, że córka mówi do siebie.

- Będziesz zważać na maniery w obecności markiza,

prawda? - zapytała. Słyszając niepokój w głosie matki, Sylvie skierowała na nią niewinne spojrzenie. - Jest bardzo wpływowym dżentelmenem i oczywiście przyjacielem twojego szwagra. Markiz zostanie też ojcem chrzestnym małego Jacoba. Nie byłoby dobrze, gdybyś... go zdenerwowała.

Sylvie przechyliła głowę.

- Nie przejmuj się, mamó. Przrzekam, że potraktuję markiza z respektem nie mniejszym niż ten, jaki on mi okazuje.

Gloria nabrała otuchy. Byłaby najszczęśliwszą kobietą na świecie, gdyby markiz ponownie przejawił zainteresowanie jej najmłodszą córką. Kolejny raz ukradkiem zerknęła na tych dwoje i przeszył ją dreszcz. Miała rację. Wymieniali znaczące spojrzenia.

Jest tak przystojny, dumiała, że zakonnica porzuciłaby dla niego habit. I tak czarująco nonszalancki. Wziął Jacoba na kolana i nawet nie drgnął, kiedy malec wypluł mleko na jego surdut. Po prostu wytarł mleko chusteczką. Zauważyła, że Sylvie ten niefortunny wypadek nieco rozbawił. Jednak stanowił ważną oznakę. Drobną katastrofą nie stępiła poczucia humoru markiza. William, który nikomu nie dałby się ogłupić, darzył Adama Townsenda głębokim szacunkiem i nic dziwnego, gdyż markiz był dżentelmenem w każdym calu.

Skupiła uwagę na Sylvie. Musiała przyznać, że zachowywała się wzorowo. Niezmordowanie pomagała przy roznoszeniu herbaty i podawała małemu Jacobowi zabawki,

zapobiegając grymasom, Z pewnością się starała, a Gloria była przekonana, że jest tylko jedna osoba, na której jej córka mogła chcieć wyrzucić wrażenie.

- Zadzwoń na Molly, czas na drzemkę Jacoba - oświadczyła June, obrzucając syna czułym matczynym spojrzeniem.

Tarł oczka, gotów wybuchnąć płaczem.

- Zaniosę go na górę - zaproponowała Sylvie, biorąc malca na rękę.

Od pewnego czasu marzyła o wyrwaniu się z dusznej atmosfery niewielkiego salonu. Była pewna, że ich znakomity gość też odczuwa napięcie, które między nimi zapanowało. Nieznaczące rozbawienie wynikało prawdopodobnie z założenia, że Sylvie marzy o kontynuacji kłótni. Musiał też dostrzec mało subtelną przymilność jej matki.

Gloria przez ponad godzinę uśmiechami i gestami aprobowała grzeczne zachowanie córki w obecności markiza. Tylko on wiedział, jak bardzo Sylvie chciałaby cisnąć w niego filizanką, zamiast postawić ją delikatnie na spodeczku.

Dotrzymał jednak słowa. Nie zdradził niczym, że wie o jej niedawnej ucieczce. Wiedział, że jest panią Vance, lecz unikał zwracania się do niej w jakikolwiek określony sposób.

- Czy wolno mi zwiedzić sypialnię chrześniaka w Windrush? - zapytał nagle.

Dziwna prośba... równoznaczna nawet z zainteresowaniem dżentelmena kuchnią, uznała Sylvie. Zdawała sobie

sprawę, dlaczego Adam ją wyraził. Przystał na jej żądanie rozmowy w cztery oczy.

Edgar i William stali w pobliżu stołu z pochylonymi głowami. Teraz Edgar przerwał kontemplowanie figur z kości słoniowej, umieszczonych poprzedniego dnia na szachownicy. Partia z Williamem przeciągnęła się do późnej nocy i pozostawała nierozstrzygnięta. Zamierzali podjąć zmagania po kolacji. William rozejrzał się. Skrywane zdumienie niemal niezauważalnie zabarwiło jego głos, gdy natychmiast zaoferował udział w ekscentrycznej eskapadzie przyjaciela.

- Pokażę ci, jeśli zechcesz...

- Sylvie sobie poradzi - ucięła błyskawicznie Gloria, uśmiechając się promiennie do zięcia. - Nie przeszkadzaj sobie, William. Sylvie i tak zanoszą przecież Jacoba do łóżeczka.

Kiedy Adam przytrzymał drzwi przed dźwigającą kwilące niemowlę Sylvie, ucichły wesole uwagi Glorii o pięknej pogodzie, które dochodziły ich uszu, gdy szli przez salon.

Na podeście piętra Sylvie szepnęła:

- Proszę tu poczekać. Pokój Jacoba nie jest najlepszym miejscem na kłótnię.

- Zatem mamy się kłócić?

-Och tak.

Spojrzenie ciemnych oczu Adama napotkało buntowniczy wzrok Sylvie.

- Zamierza mnie pani ukarać za to, że nie do pani należało wczoraj ostatnie słowo, pani Vance?

Sylvie przechyliła głowę. Nie da mu satysfakcji, przyznając, że miał rację, chociaż tak rzeczywiście było. Jednak rozsadek podpowiadał, żeby pohamowała gniew. Musi wyprowadzić Adama z błędu, poinformować, że nie wyszła za mąż. W przeciwnym wypadku, jeśli wymknie się mu mimochodem w jakiejś rozmowie uwaga na temat pani Vance, Meredithowie znajdą się w trudnej sytuacji.

- Gdzie się podziewa małżonek? Wypędzony do stajni na czas przyjmowania gości? - zapytał z przekąsem Adam.

- Nie wstydzę się Johna. Chciałabym, żeby pan przestał nieustannie to insynuować - zaprotestowała cicho, żeby nie wbudzić tulonego w ramionach dziecka.

Gwałtownie uniosła głowę i wkroczyła do pokoju, zerkając przez ramię, żeby się upewnić, czy Adam usłuchał i został na zewnątrz.

- Jest pani zdyszana - rzucił lekkim tonem, gdy wyłoniła się z powrotem. - Spieszyła się pani do mnie?

- Rzeczywiście, lecz jedynie po to, żeby sprawdzić, czy się pan nie wymknął, kiedy byłam odwrócona plecami! - odparła oburzona Sylvie. - Wczoraj odjechał pan od razu po tym, jak mnie pan sterroryzował.

- Ja panią sterroryzowałem? - zdumiał się Adam. Roześmiał się. - Moja droga, cała nasza znajomość polega na tym, że to pani mnie maltretuje. Przypominam sobie, jak dwa lata temu kopnęła mnie pani w piszczel i uderzyła w twarz, gdy chciałem cię obronić. A niedawno ściągnęła mnie pani na

spotkanie do Bridge Cottage. Po prostu kazała mi pani tam na siebie czekać. Moja droga, kiedy nie prawi mi pani złośliwości i nie karci, piorunuje mnie wzrokiem. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, już dawno wyzionąłbym ducha. Czy pani mąż wie, że pojął za żonę sekretnicę?

Sylvie zaczerwieniła się z zakłopotania.

- Nie zamierzam nikogo zastraszać! - zaprotestowała gwałtownie. - Wpadłam wtedy w histerię, bo bałam się o June i... tak, kopnęłam pana. Och, mówi pan to wszystko, żeby mnie dręczyć. Zresztą jestem przekonana, że nigdy nikt się nad panem nie ośmielił znęcać ani nie zrobił niczego, czego by pan nie chciał.

Adam uśmiechnął się nieznacznie na tę płomienną przemowę,

- Moja droga, niech się pani nie przejmuje. Muszę przyznać, że myśl o tym, iż pani nade mną dominuje, zawiera w sobie pewne pożądane elementy.

Sylvie zerknęła na Adama. Spoglądał na nią ciepło, z wyraźną sympatią. Wydawał się nastawiony bardziej przyjacielsko niż poprzednio.

- Nie możemy tu spokojnie rozmawiać. - Zeskoczyła na niższy stopień, powiększając dzielący ich dystans. - Pokażę panu ogród. Papa zaprojektował nową sadzawkę w ustronnym zakątku przy murze. Właśnie ją wykopali. Wpuściliśmy piękne egzotyczne ryby.

Adam przystanął, wpatrując się w lustro wody.

- O, jest jedna... tam!

Sylvie wskazała palcem złoty błysk na powierzchni. Obserwowała z dumą ławicę połyskliwych rybek pod rozpylonymi w tęczę kroplami niewielkiej fontanny. Adam spoglądał wprawdzie w stronę, którą pokazywała, uparcie jednak nie okazywał żywszego zainteresowania. Sylvie ogarnął niepokój. Poczła się mniej pewnie niż w ścianach rodzinnego domu i powściągnęła ochotę do ciskania gromów na Adama.

Wczoraj nazwał ją nieznośnym bachorem. Dziś stwierdził, że go nęka. Mimo to Sylvie wahała się, czy odpłacić mu równie dokuczliwymi przytykami. Czowała, że Adam wie więcej o jej sprawach, niż sądziła.

Być może odgadł - albo wyciągnął tę informację od Wiliana - że nie ukończyła podróży do Szkocji. Niewykluczone, że spodziewa się wyznania, iż jej reputacja legła w gruzach. Wcześniej ponownie nazwał ją panią Vance, wspomniał o Johnie jako o jej mężu... Westchnęła. Wystarczyło zapytać wprost, żeby się dowiedzieć. Niestety, nie było to łatwe.

- Sądzę, że ma pan dalsze uwagi dotyczące mojego zachowania - zasugerowała ostrożnie.

Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy poprzez mgiełkę krystalicznych kropli wody.

- Mam, ale ich nie wyrażę, zanim pani, moja droga, się nie wypowie. Nie chcę, żeby pani mnie znów oskarżyła o to, że nią poniewieram.

- Nie zgadzam się, pan jest gościem. Goście mają pierwszeństwo - odparła Sylvie słodkim głosem z ujmującym uśmiechem.

Oczywiście Adam, który dobrze znał różne kobiece sztuczki, nie dał się zwieść tej nagłej uległości. Zbliżył się, nie odrywając od niej wzroku. Patrzył na twarz o tak idealnie harmonijnych rysach, tak doskonale piękną, że zaparło mu dech. Nagła myśl, że Sylvie zdążyła poślubić Johna Vance'a, zanim wpadła w łapy tego drania i zbereźnika, Hugona Robinsona, przyniosła mu niespodziewaną ulgę.

- Kiedy zamierza pani wyznać narzeczonemu, że uciekła z innym mężczyzną?



Rozdział ósmy

- Narzeczonemu?

Adam ujrzał na twarzy Sylvie wyraz niekłamanego zduszenia. Albo nie miała pojęcia, o czym on mówi, albo była znakomitą aktorką.

- Dziś rano Hugo Robinson przywiózł mi do gospody "Pod Różą i Koroną" zaproszenie na kolację w Rivendale. W trakcie rozmowy poinformował mnie, że od dawna jesteście nieoficjalnie zaręczeni

-Kłamstwo!

- Czyżby? Choć z pewnością takiej możliwości już nie ma, skoro wyszła pani za kogo innego.

- Chyba pan mu tego nie powiedział?! - zawołała ze zgrozą Sylvie.

Adam pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie. Jednak kiedy w końcu się dowie, a przecież to musi nastąpić, nie będzie skakał z radości. Nie może się wprost doczekać, by pojąć panią za żonę.

Krew odpłynęła z policzków Sylvie, pozbawiając je brzoskwiniowego zabarwienia. Właśnie perspektywa niechcianego małżeństwa z odpychającym dla Sylvie Hugonem Robinsonem popchnęła ją do zorganizowania ucieczki z Johnem.

- No cóż, rozczaruje się, gdyż ja nigdy za niego nie wyjdę! - zawołała zdenerwowana i spojrzała na Adama z wyrzutem, - Rozmawiał pan o mnie z tym prostakiem?

- Ani razu o pani nie wspomniałem - oświadczył chłodno. - Choćby dlatego, że nie wiedziałbym, jakim nazwiskiem się pani posługuje.

Sylvie odetchnęła z ulgą i poczuła, że jej policzki przybierają zwykłą barwę.

-Dziękuję - mruknęła, posyłając Adamowi potulne spojrzenie. - Nie lubię Hugona i on o tym wie. Nigdy nie doszło między nami i naszymi rodzinami do żadnych stosownych ustaleń.

- Stosownych - powtórzył Adam lekko kpiącym tonem, ale z wyraźnym zainteresowaniem.

Sylvie usiłowała poskromić ciekawość Adama, obrzucając go karzącym wzrokiem. Następnie wyjaśniła zwięźle:

- Nasi rodzice przyjaźnią się od lat. Mają nadzieję, że utworzymy parę, zwłaszcza moja mama... Ona nie wie, jak naprawdę jest Hugon, Sir Anthony i lady Robinson to czarujący ludzie, ale rzadko odwiedzam Rivendale, gdyż po prostu unikam ich syna.

- Powiedziała pani wczoraj, że wolałaby małżeństwo

z Vance'em niż z prostackim rozpustnikiem. Miała pani na myśli Hugona?

Sylvie w milczeniu kiwnęła głową. Natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd.

Wyjawiając, że zdecydowanie nie szanuje i nie lubi Hugona, znów niepotrzebnie podsycała ciekawość Adama. Nie zdradzi już niczego więcej. Markiz znał dobrze Robinsonów, może nawet łączyło go z nimi pokrewieństwo. Dotychczas respektował jej życzenie i nie wspominał nikomu o wyprawie do Szkocji w towarzystwie Johna Vance'a. Co jednak uczyni, jeśli będzie musiał wybrać, wobec kogo powinien zachować się lojalnie? I co sobie o niej pomyśli, jeżeli się dowie, dlaczego ona nienawidzi Hugona Robinsona? Czy zarzuci jej, podobnie jak Hugo, że jej beztrudne zachowanie wzbudza u mężczyzn pierwotne instynkty?

Hugo to prymitywny drań. Kiedy dorósł i wszedł w kręgi socjety, nauczył się panować nad swoją naturą i przywdziewać maskę godnej szacunku przyzwoitości. Sposób, w jaki podlizywał się jej matce, a także przyjaciółkom matki, przyprawiał Sylvie o mdłości.

Adam wspominał, że dziś wybiera się na kolację do Rivendale. Jej imię może paść w rozmowie. Jak długo zachowa dyskrecję? Zmęczy go w końcu ta gra w sekrety. Markiz Rockingham może sobie być libertynem, Sylvie czuła jednak, że jest także uczciwy, szczerzy i dojrzały. Różnił się od Hugona jak dzień od nocy.

- Skąd pan zna Robinsonów? - zapytała. - Lady

Robinson nie wymieniła nigdy przy mnie pańskiego nazwiska.

- Zaniedbałem obowiązek i zaszczyt utrzymywania kontaktu z państwem Robinsonami. Ostatnio odwiedziłem ojca chrzestnego niemal dziesięć lat temu, chociaż często widywałem sir Anthony'ego w mieście.

- Jest jego ojcem chrzestnym - mruknęła do siebie Sylvie.

- Co pani powiedziała?

Adam wyczuł, że nastawienie Sylvie do niego zmieniło się na korzyść. Ucieszył się. Jednocześnie gnębiło go to, co przed chwilą usłyszał: „Mają nadzieję, że utworzymy parę, zwłaszcza moja mama...”

Jeśli jej rodzice nie zachęcają do bigamii - a o tym był całkowicie przekonany - informowanie o ich zamiarach w czasie teraźniejszym nie miało sensu, chyba że... Nagle doznał olśnienia i przeklął w duchu własną głupotę. Zbyt pospiesznie wyciągnął wniosek, że kochankowie osiągnęli swój cel, przeocząc oczywistą możliwość: mogli zostać zatrzymani jeszcze przed Gretna Green.

Po przybyciu do Windrush Adama zaskoczyła pogoda ducha państwa Meredithów. Ich ukochana córka popełniła megalomanię, a oni podejmowali gościa jak gdyby nigdy nic? Gloria Meredith asystowała mu gorliwie, gdy znajdował się w pobliżu Sylvie, a jego wtedy nachodziły cyniczne myśli. Zdarzały się przypadki poszukiwania wpływowego przyjaciela dla dobrze urodzonej młodej kobiety, która obniżyła swój status, poślubiając

niestosownego kandydata. Gdyby takie przypuszczenie miało podstawy, po odczekaniu dla przyzwoitości pewnego czasu mógłby się zbliżyć do Sylvie. Zżymał się sam na siebie, a jednak snuł te kalkulacje.

Być może jednak Gloria Meredith wcale nie dążyła do takiego rozwiązania. Jeśli jego podejrzenia są uzasadnione, Meredithowie po prostu chcą jak najszybciej wydać Sylvie za mąż, zanim wieść o jej ucieczce wyjdzie na jaw.

Adam skierował wzrok na piękny profil o klasycznych proporcjach.

- Proszę powiedzieć mi prawdę. Jest pani żoną Johna Vance'a?

Sylvie zwróciła ku niemu głowę. Wyraz zawstydzienia i zarazem ulgi widoczny na jej twarzy wystarczył za odpowiedź.

- Umyślnie wprowadziła mnie pani w błąd.

- Nie! - zawołała Sylvie, ale zaraz się pohamowała i dodała: - No cóż, to znaczy na początku tak, ale nie miałam wyboru. Pojawił się pan w najbardziej niedogodnej chwili. Z uwagi na właścicielkę w gospodzie musieliśmy się przedstawić jako pan i pani Vance. Zresztą i tak bezskutecznie; pani Bragg od razu domyśliła się prawdy.

- Oczywiście, pani Bragg jest ode mnie o niebo bystrzejsza - zauważył Adam z przekąsem.

Sylvie nieznacznie się uśmiechnęła.

- Obawiam się, że jest dość wścibska, i stara się jak najwięcej dowiedzieć o swoich gościach.

-Także o mnie?

Kiedy cisza się przedłużała, stało się oczywiste, że markiz czeka na wyjaśnienia.

Sylvie milczała. Nie zamierzała go prowokować, powtarzając przypuszczenia pani Bragg o kobiecie, z której towarzystwa tamtej nocy korzystał markiz Rockingham. Nagle kucnęła nad sadzawką, rozkładając wokół siebie niebieski muślin sukni. Zanurzyła w wodzie palec i zaczęła, aż zgromadzi się wokół niego kilka rybek.

- Spodziewają się, że je nakarmię. Nie powinnam się z nimi droczyć... Ja... ja chciałam wyznać prawdę. Próbowalam podczas spotkania przy zrujnowanym domu. Jednak pan się wściekł i tym samym nie dał mi szansy. Właśnie teraz zamierzałam się przyznać, skoro jednak sam pan odgadł, nie ma już takiej potrzeby - zakończyła nieprzekonująco. - Teraz chyba rozumie pan, dlaczego musi pan przyrzec, że nie powie nikomu o naszym spotkaniu w gospodzie przy Great North?

- Istotnie, rozumiem, panno Meredith. W ogóle wiele rozumiem. Na przykład to, dlaczego pani matka tak chętnie widzi nas razem. Pani rodzina nie wie o spotkaniu w gospodzie?

- Na Boga, nie! Spaliliby się ze wstydu. Nie ma wielkiej przesady w stwierdzeniu, że mama padłaby trupem. Nie wolno im niczego zdradzić. Proszę przyrzec, że pan tego nie zrobi! - zażądała, prostując się.

- Nie jestem pewien, czy powinienem to obiecać - odparł Adam. - Pani matka mogła wbić sobie do głowy, że spróbuje mnie wmanewrować w tę sprawę. Być może ma

nadzieję, że poczuję się zobowiązany i ponowię oświadczy-
czyń - dodał, nie kryjąc ironii.

Sylvie zarumieniła się i zaprotestowała:

- Nie wierzę, że dałby się pan komukolwiek w cokol-
wiek wmanewrować.

- Pani wiara we mnie bardzo mi pochlebia, ale i zaskakuje.
Panno Meredith, czyżby zmieniła pani o mnie zdanie?

Sylvie przecząco pokręciła głową.

- Jeśli nie może pani znieść myśli o poślubieniu Hugo
na Robinsona - kontynuował - sugerowałbym, żeby pan
Meredith udał się do Vance'ow ze strzelbą i zagroził jej
użyciem. Przedwczesne noce poślubne mogą powodować
niechciane konsekwencje. Moja droga, radzę, niech pani
wyjdzie za swojego kochanka ze zrozumiałym w takich
okolicznościach pośpiechem.

Skłonił się zdawkowo i oddalił w kierunku bramy, za
którą ścieżka wśród zrujnowanych zabudowań prowadziła
do domu.

Po chwili Sylvie otrząsnęła się z szoku, przezwyciężyła
uczucie ponizenia i pobiegła za Adamem. Chwyliła go za
ramię i szarpnęła, aż się odwrócił i postąpił krok naprzód,
tak że musiała się niezgrabnie cofnąć.

- Wystawia pani na próbę moją cierpliwość, panno Me-
redith.

- A pan jak zwykle mi dokucza! - odparowała. - Nie
obchodzą mnie pańskie zniewagi. Proszę przyjąć do wia-
domości, że John z radością poślubiłby mnie choćby dziś,
i to bez żadnego argumentu w postaci strzelby!

- Co za ulga! - zadrwił Adam, obracając się na pięcie.

Sylvie ponownie go szarpnęła.

- Czego właściwie pani chce? - wysyczał.

- Na pewno nie pana! - krzyknęła. - Jest pan najbardziej... najbardziej nieznośnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam!

- Czy poza Vance'em jest jakiś, którego pani lubi? - zapytał ironicznie. - Hugo Robinson to prostak i rozpustnik, ja jestem nieznośny i do tego, o ile pamiętam, ma pani inne zarzuty pod moim adresem.

- Tak, mogłabym je wymienić. I wymienię. - Sylvie zacisnęła dłonie w pięści. - Najpierw wyjaśnijmy do końca jedną kwestię: nie oczekuję ani nie chcę, żeby pan ponowił oświadczenia. Nie wyjdę za pana, gdybyś nawet padł na oba kolana i błagał mnie o to pokornie.

- Obiecuję, że nie narażę pani na taki nedorzeczny widok - oświadczył Adam.

- Niech pan nie waży się ze mnie wyśmiewać albo odchodzić, kiedy nie skończyłam mówić - ostrzegła go, tupiąc eleganckim pantoflem w zwirową ścieżkę. - Drugi raz tego nie ścierpię. Uciekł pan wczoraj, zanim zdążyłam się wypowiedzieć.

Adam odwrócił się i oparł o żelazną kutą furtkę. Skrzyżował ręce na piersi.

- Mogła pani stracić niewinność - brązowe oczy zmierzły Sylvie od stóp do głów w taki sposób, że zrobiło się jej gorąco - ale nawet to nie pomogło. Nadal z pani nieznośny bachor. - Podszedł do niej, przechylił głowę, przyglądając

się jej wykrzywionej wściekłością twarzy. - Być może powinna pani zachęcić Hugona; wydaje się, że on umiejętniej niż Vance zmienia dziewczyny w kobiety.

Sylvie wzdrygnęła się, jakby odebrała cios.

Adam zamknął oczy. Ze wstydu i złości. Wiedział, że ponizając jej ukochanego, głęboko ją zranił. Pożałował wypowiedzianych słów. A mimo to nadal odczuwał gniew. Nie tylko dlatego, że Sylvie dopuściła się czynu, który nie uchodzi pannie z towarzystwa. Złościło go przede wszystkim to, że jeśli skandal się wyda, Silver Meredith i jej rodzina będą przez całe lata obiektem plotek i kpin.

Zapanował nad głosem i zaproponował:

- Niech pani powie, co musi, i zrobi to szybko. Muszę zdążyć na proszoną kolację.

Sylvie udawała, że nie poczuła się dotknięta. Szybkim ruchem otarła łzy.

-Nie dbam o pańskie zobowiązania. Zostanie pan tu, aż mnie wysłucha. Zacznę od tego, że od początku zamierzałam wyznać, iż skłamałam o swoim małżeństwie. Miałam nadzieję, ponieważ niegdyś się przyjaźniliśmy, że okaże pan wyrozumiałość, gdy tylko pozna okoliczności. A gdyby chciał mnie pan jeszcze oskarżać o brak uczciwości, sprostuję ten mylny pogląd. Nie zatrzymano nas na Great North. Wróciliśmy z własnej woli. - Sylvie uniosła głowę i popatrzyła Adamowi prosto w oczy. - Poza tym bezczelnie oskarżył mnie pan wczoraj o hipokryzję. Jakie ma pan prawo do takiej świętoszkowatości? Wątpię, czy chciałby pan rozgłosić przy-

czynę swojego pobytu w gospodzie przy Great North. Był pan świadkiem mojego nagannego zachowania, a ja pańskiego.

Sylvie z wściekłością chwyciła rąbek spódnicy, żeby wyminąć Adama i odmaszerować.

- Istotnie? - zapytał ze zdziwieniem, z łatwością blokując jej drogę potężnym ciałem. - To prawda, że nie chciałem bym w tej sprawie rozgłosu. Oświeć mnie jednak, moja droga, o co mnie pani podejrzewa? Jakich to zbrodni do puściłem się pod dachem pani Bragg?

Sylvie nie mogła nic wyczytać z twarzy Adama, wyczuła jednak, że go sprowokowała.

- Przestałeś się spieszyć, mój panie - zauważyła zjadliwie. - Uspokoję pana. Nie ujawnię swojej wiedzy. Jeśli jednak przez mściwość pan mnie zdradzi, zrewanżuję się tym samym.

- Uważa pani, że to zrobię? Zdradzę z zemsty? Dlaczego? Dlatego, że pozwoliłem sobie kiedyś oświadczyć się głupiotkiej dziewczynie, która odmawiając pożądanemu kandydatowi, nie popisała się znajomością dobrych manier? Myśli pani, że teraz coś to dla mnie znaczy? Nawet wtedy znaczyło niewiele. Poprosiłem o pani rękę tylko z rycerskości, nic więcej.

- Chciał pan mnie poślubić, ja to wiem - upierała się Sylvie. - Mogłam być młoda i naiwna, ale wiem, że zamierzał pan mnie pocałować.

Adam obserwował miękkie usta wygięte w buntowniczy łuk i czuł, że traci resztki panowania nad sobą.

- Naprawdę? - mruknął. - No cóż, wobec tego teraz się pani nie zdziwi.

Chwycił ją i uniósł tak gwałtownie, że jej głowa odchyliła się, odsłaniając przykuwającą wzrok smukłą szyję. Głodnymi wargami posmakował gorącej skóry, a potem ust.

- Nie! - wykrzyknęła, po czym znieruchomiała.

John raz czy dwa dotknął jej ustami i choć nie było to nieprzyjemne, doszła do wniosku, że całowanie to raczej nudne zajęcie. Wyznała mu to uczciwie, zniechęcając go tym skutecznie. Później Hugo Robinson wywabił ją podstępem z domu. Zaatakował jej wargi oślizgłym językiem i zębami, aż zebrało się jej na wymioty. Hugo spróbował jeszcze innych odrażających sztuczek i przyrzekła sobie, że już nigdy nie pozwoli na coś takiego żadnemu mężczyźnie.

Adam, całując ją, wywoływał nowe, przyjemne doznania. Przestała go odpychać, rozchyliła lekko usta. Nagle jednak poczuła czubek jego języka i wzdrygnęła się. Kiedy dłonią przyciągał bliżej jej głowę, broniła się już zażarcie.

Puścił. Odstąpiła z dłonią przyciśniętą do pulsujących ust.

- Niech pan nigdy więcej nie próbuje, bo...

- Bo? - powtórzył, bacznie ją obserwując. Ponieważ milczała, zapytał cicho: - Dlaczego nie?

- Po prostu niech pan tego nie robi - ostrzegła Sylvie, odwracając się.

Już nigdy nie ucieknie przed mężczyzną. Uciekła od Huga, ścigana grubiańskimi przekleństwami. Podarta su-

kienka furkotała na jej drżącym ciele, kiedy omijając gałęzie i ciernie, pędziła, byle dalej od niego. Drżącą dłonią uchyliła furtkę.

- Nie zapomniałaś pani o czymś?

Odwróciła się i zmierzyła Adama dumnym spojrzeniem.

- Nie opowiedziała mi pani jeszcze, czym zgrzeszyłem w gospodzie przy Great North.

- Wiem, że kobieta, która panu tam towarzyszyła, nie jest pańską żoną. Wiem też od June, że w ogóle nie jest pan żonaty. Powiedziałabym, że rzekoma pani Townsend jest wszeteczną. Pani Bragg miała o niej takie samo zdanie i zdradziła mi, że gościła w pokoju także innego dżentelmena. - Zmierzyła Adama groźnym spojrzeniem. - I co? Zaprzeczy pan?

- Nie. Ma pani rację pod każdym względem. Pani Townsend jest dziwką, jak się obawiam - odpowiedział z wystudiowaną powagą. - Niestety, jest również moją bratową, ma zatem prawo do używania naszego nazwiska. - Sylvie zamruła powiekami, gdy ta zdumiewająca informacja do niej dotarła. - Wydaje się, że pani i Theresa miałyście tamtego dnia z sobą wiele wspólnego. Również jej towarzyszył kochanek i także ona nie odniosła sukcesu, udając przed panią Bragg godną poszanowania damę.

Na tę zniewagę Sylvie oblala się rumieńcem.

- Czy chce pan mi wmówić, że wypełniał wtedy szla chetną misję? - zadrwiła. - Pański brat nie mógł osobiście sprowadzić żony do domu?

- Niestety, nie. - Adam przez moment milczał. Jego twarz niczego nie zdradzała. - Na wojnie został inwalidą i jest przykuty do fotela.

- Bardzo mi przykro - wyszeptała Sylvie.

- Tak, mnie również - odparł Adam. Minął Sylvie i ruszył w kierunku domu.

Rozdział dziewiąty

- O, wreszcie ma na palcu pierścionek.

Guy Markham najeżył się, słysząc szyderczą uwagę na temat zaręczyn siostry.

- Nie ma potrzeby ujmować tego w taki sposób. Janet jest jeszcze młoda i stanowi dobrą partię - odparł ostrym tonem, po czym rozluźnił fular na spoconej szyi i spiorunował wzrokiem Hugona Robinsona.

Co prawda, był gościem w Rivendale, a Hugon synem gospodarza, lecz nie znaczy to, że pozwoli, by ten bezczelny młodzik pozwalał sobie na przytyki wobec Janet.

Na Hugonie karcący ton nie zrobił żadnego wrażenia. Jeszcze raz otaksował kąpiącym spojrzeniem wysoką, potężnie zbudowaną młodą damę o myszowatych włosach. Badała wzrokiem zawartość bufetu, gawędząc z kobietą, której wygląd świadczył o tym, że jest jej matką.

- Jestem pewien, że pańska matka nie może doczekać się zięcia, nawet jeśli to jest Pomeroy. Kiedy wesele? - za pytał leniwie.

- W czerwcu. Doskonała pora, wiem to od pań. Kwiaty, jedzenie, stroje... wszystko jest wtedy najlepsze i tak dalej.

- Guy przekazywał swoją świeżo nabytą wiedzę. - Pod namiotem na terenie Spire Park - dodał.

- Czy to rozsądne? Na tle pańskiej siostry, ubranej w białe jedwabie, trudno będzie dostrzec ten namiot - zauważył złośliwie Hugo i roześmiał się, po czym dał Guyowi kuksańca w żebra. - Pomeroy będzie miał w nocy co chwytac...

Guy z hukiem odstawił szklankę.

- Posłuchaj, Robinson, co za dużo, to niezdrowo. Jeszcze jedna taka uwaga, a przyślę ci sekundantów - powiedział stanowczo, poczerwieniał z gniewu i zacisnął pięści.

Hugo protekcyjnie poklepał go po ramieniu.

- Spokojnie, chłopie! Nie znasz się na żartach? - odparł pojednawczym tonem, lecz czuł satysfakcję. Udało mu się rozwścieczyć Guya! - A gdzież to się podziewa znakomitość, która nawiedziła Hertfordshire? Jestem pewien, że dziś zobaczymy w Rivendale Rockinghama. Rodzice go zaprosili - wyjaśnił.

Guy milczał, obrażony.

- Nie widziałem go dzień czy dwa - odpowiedział w końcu niechętnie. - Chyba wspomniał, że nie zabawi długo w Hertfordshire. Ma jakieś sprawy rodzinne do załatwienia - dodał. Mruknął, że przeprasza, i obrócił się na pięcie.

Hugo chwycił go za ramię i wskazał głową podwójne drzwi.

- No proszę, jest wreszcie pewna młoda dama, która z pewnością przypadnie mi do gustu.

Guy powędrował wzrokiem za spojrzaniem Hugona. Gospodarze witali przybyłą właśnie rodzinę Meredithów. Ucieszył go ich widok. Gdyby nie to miłe towarzystwo, zasnułby matkę i siostrę, nie wspominając już o gospodarzach, sir Anthonym i lady Robinson, oddalając się przedwcześnie po prostu dlatego, by uwolnić się od bezczelnego młodzieńca.

Do niedawna Guy nie miał wyrobionego zdania o Hugonie Robinsonie. Był od niego o jakieś dziesięć lat starszy i choć dorastali w sąsiedztwie, rzadko obracali się w tych samych kręgach. Teraz Guy cieszył się, że wreszcie nadarzyła się okazja i pozna go bliżej. Po dwudziestu minutach spędzonych w jego towarzystwie uznał, że młody Robinson nie zasługuje na nic więcej niż pogardę.

- Są spóźnieni, niemniej bardzo miłe widziani. - Hugon wpatrywał się w zgrabną postać Sylvie spowitej w różowy jedwab. Zaczesała jasne włosy na bok; lśniące pukle opadały na delikatny obojczyk. - Hm, ale smaku wita - mruknął.

Przywołał na twarz uprzejmy uśmiech i ruszył, by serdecznie powitać Meredithów.

-Odejdź!

- Nie jesteś dla mnie zbyt miła, a oboje wiemy, że to nie rozsądne. - Zawołowana groźba padła z nadal uśmiech niętych ust. Hugo wiedział, że są obserwowani. Skierował wzrok w okolice kominka, gdzie zgromadziła się grupka dam i uklonił się dwornie pani Meredith. - Okazywałem

cierpliwość, lecz każesz mi zbyt długo czekać. Czas dokończyć to, co zaczęliśmy. Wiesz dobrze, że pragniesz tego tak samo mocno, jak ja.

- Jesteś niepoczytalny! Odsuń się - syknęła Sylvie.

Odepchnęła go ręką, wcale się z tym nie kryjąc. Chciała wyminąć natręta, lecz umiejętnie stanął tak, żeby zablokować jej drogę.

Zdołał ją oddzielić od June i Williama, kiedy przystanąli razem nieopodal nakrytego do kolacji stołu. Następnie, przy użyciu subtelnych manewrów, odizolował Sylvie w kącie salonu, przy tarasie. Wieczór był ciepły i duże drzwi Dozostawiono na wpół otwarte. Sylvie wiedziała, że Hugo zmierza do wywabienia jej na ciemny taras.

- Na pewno nie wolisz ode mnie tego głupka Vance'a - zauważył z pretensją w głosie. Sprawiał wrażenie nadąsanego dziecka, który nie dostał upragnionej zabawki.

- Jest wart tyle co tuzin takich jak ty. Jeżeli nie pozwolisz mi przejść, urządzę scenę.

- Nie sądzę. Bardzo bym się rozzłościł i poszukałbym znów twojego fagasa. Jeśli ty mi nie powiesz, być może przekonam Vancea, żeby wyjaśnił, dlaczego go tak bardzo lubisz.

Sylvie spojrzała z nieukrywaną nienawiścią na wykrzywioną twarz Hugona.

- Zostaw go w spokoju. Słyszysz! Jeśli nie, to ja...

- Ty co, moja kochana? Przyjdiesz do mnie, żeby się za nim wstawić, tak jak wtedy? Jutro go trochę poturbuję, żeby cię do tego skłonić.

- Ty draniu! Już nigdy się z tobą nie spotkam. Przysięgam, że jeśli nie zostawisz nas obojga w spokoju, powiem rodzicom, co zrobiłeś... i czym mi grozisz.

Hugo popatrzył z góry na dużo niższą od niego Sylvie. Przeczesał palcami jasne włosy i sprawiał wrażenie mniej buńczucznego. Jednak po chwili uśmiechnął się, nabierając ponownie wiary we własne siły.

- Nic nikomu nie powiesz - orzekł. Celowo odwrócił się tak, by nadal blokować Sylvie drogę odwrotu. - Nie zaryzykujesz skandalu. Twój ojciec wygląda coraz gorzej. Miał następny atak? A co do twojej drogiej mamy, to wydaje się... nadmiernie podenerwowana. - Obrzucił Sylvie bezczelnym spojrzeniem. - Nie zechcesz ich martwić, narażać ich zdrowia. Nie weźmiesz tego na swoje sumienie. - Dotknął palcem policzka Sylvie, która natychmiast ze wstrętem cofnęła głowę. - Poza tym twoja matka mnie lubi. Uczyni ją najszczęśliwszą kobietą pod słońcem i zaręcz się ze mną. Zrób to, a powściągnę niecierpliwość do nocy poślubnej.

Masywnym udem popchnął ją w kierunku tarasu. Steknął, gdy w odpowiedzi wbiła mu obcas w stopę.

- Nie możesz przez cały czas zatrzymywać młodej damy tylko dla siebie, Hugo. To nie wypada.

Guy Markham mocno klepnął Hugona w ramię, niezrażony grymasem wściekłości, który wykrzywił twarz młodego człowieka. Guy podał ramię Sylvie, która uśmiechnęła się z wdzięcznością i wyminęła swojego prześladowcę. Pozwolila odprowadzić się do bufetu.

- Czy można pani coś zaproponować? - zapytał z ga lanterią Guy.

- Nie, dziękuję. Trochę mnie mdli - odparła Sylvie ze słabym uśmiechem.

Guy zerknął na Hugona Robinsona, który wpatrywał się w nich nienawistnym spojrzeniem.

- Ten gość na mnie działa tak samo - poinformował spokojnie.

Sylvie popatrzyła na swego wybawiciela i dostrzegła na jego twarzy wyraz nieklamanej sympatii. Zareagowała impulsywnie:

- Dziękuję za ratunek. Nie znoszę go, a udało mu się przekonać moją matkę, że jest czarujący. I że stano wi dobrą partię. Niezły wyczyn jak na takiego brutala, prawda?

Guy kiwnął głową.

- Zdecydowanie nieprzyjemny. Wcześniej drwił z Janet. Dobrze wie, co o nim myślę.

-I doskonale zdaje sobie sprawę, jakie ja mam o nim zdanie. Niestety, żadna uwaga nie przebija się przez jego grubą skórę. Arogancki prostaki

Gwałtowność Sylvie zaniepokoiła Guya.

-On się w pani podkochuje. Dał mi to do zrozumienia.

Sylvie potwierdziła z przygnębieniem.

-Niestety, aie ja nigdy za niego nie wyjdę. Chociaż w końcu muszę sobie kogoś znaleźć.

Guy przechylił głowę na widok jej smętnego spojrzenia.

- Ma pani na to masę czasu. Wielkie nieba! Na dobrą

sprawę jest pani niemal dzieckiem! Założę się, że nie skończyła pani osiemnastu lat.

- Mam osiemnaście i pół, a mama chce mnie wydać za męża, zanim... - Urwała.

Zawahała się. Nie zamierzała zdradzać, dlaczego matka pragnie, by lekkomyślna i samowolna córka się ustatkowała. Guy Markham jest sympatyczny, lecz nawet on przeżyłby wstrząs, gdyby się dowiedział, że uciekła z domu i spędziła w gospodzie noc z mężczyzną.

- Chyba tego właśnie matki i ojcowie pragną dla swoich dzieci, a zwłaszcza córek. - Zaśmiała się cicho, zanim wyznała: - Nie zawsze postępowałam tak godnie, jak powinienam. Na pewno pan o tym słyszał.

Guy się uśmiechnął.

- Pamiętam, jak przyjechała pani wraz z siostrami do Spire Park, żeby bawić się z Janet. Wspinałyście się na drzewa, by zrywać jabłka albo strząsać kasztany. Zawsze uważałam panią za ładną dziewczynę, a teraz to już na pewno potrafi pani omotać każdego mężczyznę. Elegancka suknia dobrze pani w jasnych barwach.

Guy zawstydził się nagle tych komplementów i lekko poczerwieniał.

Sylvie odpowiedziała promiennym uśmiechem i wymamrotała podziękowanie. Kiedy odwiedzała Spire Park nie zwracała na niego zbyt uwagi. Teraz żałowała, że przegapiła możliwość zyskania jego przyjaźni. Jego siostra Janet nie była ciekawą towarzyszką dziecięcych zabaw. Nie lubiła przygód i wolała tkwić w domu.

Nagle Sylvie zdała sobie sprawę, że Guy musi być w wieku markiza Rockinghama, a przecież nie uważała, że jest za stary na jej przyjaciela. Obawiała się, że utraciła przyjaźń Adama, i ta świadomość sprawiła, że posmutniała,

Kiedy po złożeniu wizyty Adam poinformował, że następnego dnia planuje wrócić do Londynu, William próbował go namówić, by został nieco dłużej i przyjął zaproszenie na wieczorek u Robinsonów. Jej rodzice także go do tego zachęcali, oferując gościnę w Windrush. Adam uprzejmie, acz stanowczo odrzucił wszystkie propozycje. Sylvie wiedziała, że jego zdecydowanie wynikało, przynajmniej częściowo, z tego, że wołał się z nią nie spotykać.

Pomijając sprawę ucieczki z Johnem, zdawała sobie sprawę z tego, że obraziła go, rzucając mu w twarz nieuzasadnione oskarżenie. Teraz знаła prawdę o pani Townsend. Wiedziała, że Adam nie skłamał, gdyż zapytała Williama o brata markiza.

Jake Townsend odniósł ciężką ranę pod Waterloo. William potwierdził, że Jake ożenił się z kobietą imieniem Theresa. Sylvie zauważyła, że Williama zaniepokoiło jej nagłe zainteresowanie, nie zadawała więc dalszych pytań. Dowiedziała się zresztą dość, by odczuwać wstyd.

Guy, który od dłuższej chwili był zamyślony, nagle wypaął:

- Wiem, że jestem od pani starszy i że od dawna się nie widywaliśmy, ale jeśli poważnie myśli pani o wyjściu za mąż, ja chętnie się z panią ożenię. Byłbym zaszczycony - oznajmił, patrząc z upodobaniem na Sylvie.

Sylvie uśmiechnęła się do niego i pochyliła jasną głowę w geście wdzięczności.

- To bardzo szlachetnie z pana strony, panie Markham.
- Kiedy widoczne na jego twarzy zdziwienie zmieniło się w zachwyty, dodała szybko: - Obawiam się jednak... No cóż, chyba nie różnię się od większości młodych kobiet. Chciałabym przynajmniej spróbować spotkać kogoś i się zakochać. - Tęskne spojrzenie poprzedziło ostrożną uwagę: - Jeśli to się nie uda, będę pamiętała o pana uprzejmej ofercie - zakończyła pogodnie.

-Zatem zawarliśmy układ - podsumował Guy, który nie potrafił ukryć, że jest nieco przybity. - Nie mam zbyt-niego wzięcia u pań. Nawet powiedziałem to kiedyś Rockinghamowi.

- Zdaje się, że markiz nie może narzekać na brak powodzenia - zauważyła Sylvie.

- Och, tak, zdecydowanie. Można chyba powiedzieć, że jest jednym z najbardziej pożądanym kawalerów - odparł Guy i zaśmiał się jowialnie, lecz przypomniał sobie natychmiast, z kim rozmawia. Odwrócił zaczerwienioną ze wstydu twarz i dodał: - To znaczy, wyobrażam sobie... Janet twierdzi, że on ma pewną charyzmę. I oczywiście jest przystojny, przypuszczam.

- Przypuszczam - powtórzyła kpiąco Sylvie. - Pan także jest przystojny - dodała słodko. - Trudno uwierzyć, że nie oblegają pana młode panie, szukające miłego i porządnego człowieka.

Guy uśmiechnął się szerzej.

- Zamierzałem wrócić jutro do Londynu, ale mogę zostać kilka dni dłużej. Może wybralibyśmy się na przejażdżkę? Albo na piknik? Lubi pani łowić ryby?

- Lubię. Jednak powinien pan wrócić do Londynu. Odwiedzę tam pana. Możemy odbyć przejażdżkę po Hyde Parku i porozglądać się za stosownymi osobami... takimi, w których moglibyśmy się zakochać. - Sylvie nachyliła się konspiracyjnie do Guya. - Zdradzę panu pewien sekret. Mama od dawna wierci mi dziurę w brzuchu, żebym wybrała się do miasta. Akurat wczoraj znów odmówiłam, ale teraz... teraz sądzę, że pojadę. Tak, udam się do Londynu, bo mam już w Londynie przyjaciela. Pana. Kiedy June i William będą wracać na Mayfair, zabiorę się z nimi. A gdy June wyciągnie mnie do Almacka, żebym poszukała odpowiedniego kandydata na męża, musi pan także tam być. Proszę mi przyrzec, panie Markham, że pan ze mną zatańczy. Inaczej nie zniosę tamtejszej nudy.

-Nie traktuj mnie jak głupca! Mam chore ciało, a nie rozum!

Adam odwrócił się od okna. Wątył Jake wsparł się na hebanowej lasce i powoli, z wyraźnym trudem, zmierzał w jego kierunku. Każdy mozolny, wywołujący ból krok brata Adam odczuwał tak, jakby to on był chory, pozostał jednak na miejscu. Nawet gdy bezwładna noga zawiodła i Jake zatoczył się i zaklął, Adam powstrzymał odruch, by pospieszyć mu z pomocą. Nauczył się już, że Jake nie życzy sobie specjalnego traktowania. To go upokarzało.

Adam obserwował twarz Jake'a. Młodszy o trzy lata, sprawiał wrażenie starszego o dziesięć. Nadal był przystojny, jednak lata fizycznych i psychicznych cierpień zebrały żniwo. Niegdyś muskularny tors zapadł się, czerstwa cera zmieniła się w ziemistą, blade wargi były zaciśnięte w linię. Jedyne oczy pozostały te same.

- Gdzie ją znalazłeś tym razem? Nie kłam z litości, bo ona sama nie ma oporów, żeby mi wszystko opowiedzieć, gdybym tylko zechciał ją zapytać.

-Zapytałeś?

W śmiechu Jake'a zabrzmiała gorzkość.

- Nie zwracałem sobie tym głowy, kiedy ją sprowadziłeś. Gdy później uznałem, że warto wiedzieć, ponownie zniknęła. Przebywa w domu tylko po to, żeby się pakować. Zostawiła kartkę; napisała, że zatrzyma się na pewien czas u matki. Najwidoczniej stara wiedźma nie domaga i Theresa pojechała do Bristolu ją pielęgnować. - Jake chwycił mocniej laskę i znalazł siłę, by zachichotać, - O mnie nie zadbała ani razu od pięciu lat. Jak uważasz, naprawdę pojechała do matki?

Zapadło milczenie.

- Gdzie ją znalazłeś i z kim? - zapytał nagle Jake.

Adam przeczeszał palcami ciemne włosy.

- Co za różnica? Czy to ważne, z kim tym razem?

- Cholera, tak! Ona jest moją żoną!

Jake krzyknął tak gwałtownie, że stracił równowagę. Adam rzucił się naprzód, brat jednak pokuśtykał do fotela.

- Nie musisz tego tolerować - zauważył Adam. - Moż na załatwić rozwód.

Jake uśmiechnął się szyderczo.

- Chciałbyś, prawda? Miałbyś czyste sumienie, zaciągając ją do łóżka, kiedy nie będzie już moją żoną - powiedział.

- Nie interesuje mnie twoja żona, Jake. Ile razy mam ci powtarzać?

- Ale ty ją interesujesz jak wszyscy diabli. Nie robi z tego tajemnicy. Och, tak, chciałaby cię mieć z powrotem. Zrobi wszystko, żeby ponownie zostać twoją kochanką.

Adam zajął miejsce w fotelu naprzeciw brata i ukrył twarz w dłoniach.

- Ona nic nie... - zaczął cicho. Na dźwięk chrapliwego śmiechu wykrzyknął: - Ona jest wobec mnie bezsilna, gwarantuję! To, co między nami zaszło, dawno się skończyło. Koniec, kropka. Ogromnie żałuję, że moje oko spoczęło kiedyś na tej podłej intrygantce. - Uniósł głowę i spojrzał bratu w oczy. - Posłuchaj mnie, to zła kobieta i musisz się od niej uwolnić, zanim wystawi cię aa pośmiewisko.

- Zanim wystawi mnie na pośmiewisko? Sam się do tego przyczyniłeś, biorąc do swojego łóżka moją żonę, podczas gdy ja walczyłem za króla i ojczyznę!

- Ile razy mam ci powtarzać? Okłamała mnie, że nie żyjesz - wycedził Adam.

- Jakże niegrzecznie postąpiłem, okazując się żywy, i do tego w takim stanie. Ożeniłbyś się z nią, gdybym

wtedy zginął? — Adam energicznie pokręcił głową. - Nie, oczywiście, że nie. Gdyby ci na niej zależało, to byś mi jej nie przekazał.

- Tylko pijany głupiec mógł brać pod uwagę ślub z jedną z porzuconych przeze mnie kochanek.

Jake zapadł się głębiej w fotel.

- Rzeczywiście, byłem pijany, a ona przekonująca. W takich okolicznościach mężczyzna jest bezsilny.

- Ale teraz nie jesteś. Pozwól, że cię umówię na spotkanie z adwokatem. Nie musisz wychodzić z domu, on przyjdzie tutaj.

-Nie udawaj takiego odpornego na jej sztuczki. Usidli cię znów, kiedy tylko nie będę jej stał na drodze. Przyprawileś rogi własnemu bratu - wypomniał z goryczą Jake. - Cokolwiek powiesz, wiem, że ona nie porzuciła nadziei, że kiedy umrę...

- Niedobrze mi się robi od tego twojego ciągłego rozczulania się nad sobą! —' Adam podniósł głos. - Dlaczego pozwalasz? Żeby ta suka zadawała ci rany? Ile razy mam cię przeproszać?

Wstał i ruszył ku drzwiom.

- Wczoraj odwiedziła mnie matka. Pytała, co porabiasz. Sądzę, że chce się z tobą zobaczyć.

Jake poinformował o tym obojętnym tonem. Wydobył z kieszeni tabakierę.

Adam głęboko odetchnął.

- Odwiedzę ją od razu. Powinienem był poinformować matkę, że wyjeżdżam na kilka dni na wieś.

Adam otworzył drzwi, osadził go jednak w miejscu głos brata:

- Z kim ona była?
- Z Tobiasem Sheidonem, w podłej gospodzie przy Great North - wyrecytował.
- Sheldon? - zapytał Jake ze zdziwieniem.
- Tak, ja także myślałem, że on ma lepszy gust - skomentował Adam, zamykając drzwi.

Rozdział dziesiąty

- Jak się masz?

John bąknął coś pod nosem, tak że Sylvie nie zrozumiała słów. Silny wiatr siekł im twarze i hałaśliwie łopotał polami okryć. Sylvie prędko ześlizgnęła się z Hazel i przywiązała klacz do drzewa, szukając za nim schronienia przed gwałtownymi podmuchami. John również popędził swojego wierzchowca pod stary dąb.

Wichura miotła gałęziami nad głową Sylvie, przyprawiając ją o drżenie. Kiedy John zsiadł z konia i zwrócił się do niej, owinęła się ciasniej peleryną i przyjrzała mu się uważnie.

- Twoi rodzice nadal się gniewają?

Odgadła, że właśnie dlatego z oczu Johna wyziera smutek.

Wzruszył ramionami i zdobył się na uśmiech.

-Są źli, że do ciebie napisałam? Nie chcą, żebym zawracała ci głowę?

Pytanie nie doczekało się odpowiedzi.

Sylvie wiedziała, że od nieszczęsnego powrotu do domu bez ślubu ich ojcowie kilkakrotnie spotkali się przypadkowo w wiosce. Edgar Meredith niechętnie zdradzał treść rozmów głów obu rodzin, z tego jednak, co usłyszała przypadkiem, wynikało, że stosunki pomiędzy Vanceami a Meredithami pozostawały napięte. Lojalność wobec dzieci kazała każdej ze stron obwiniać drugą o klęskę.

Gd czasu ucieczki nie widziała się z Johnem. Wyobrażała sobie, że przyjaciel pod wpływem rodziców trzymał się z dala od niej. Ranila ją myśl o tym, że się jej wyparł. Jeszcze niedawno byli sobie przecież, na tyle bliscy, że mogli swobodnie jeść i spać w tym samym pokoju w gospodzie. Mijały dni i odczuła to tak, jakby wrogość rodziców była zaraźliwa. Zdawała się ich rozdzielać niewypowiedziana wojna i tylko czas mógł przynieść odpowiedź, które z nich pierwsze ustąpi i nawiąże kontakt.

Sylvie nie rozważała nawet możliwości kilkumiesięcznego pobytu w Londynie bez pożegnania z najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miała. Musiała zatem zacisnąć zęby i napisać do Johna, prosząc go o spotkanie. Poprzedniego dnia Frederick ze stajni Windrush zaniósł jej list na farmę Vance'ow.

-Nie wiedzą o twojej wiadomości - poinformował w końcu John. - Fred zastał mnie na podwórzu. Poza tym - dodał nieco dotknięty - to nasza prywatna sprawa i nikomu nic do tego.

- Ale nadał są źli, prawda? - zapytała cicho.

John potwierdził skinieniem głowy i wbił ręce w kieszenie.

- Przykro mi - rzuciła z żalem. - To wszystko moja wina. Nie chciałam przysporzyć ci kłopotów. Nie powinnam była namawiać cię do ucieczki. Tłumaczyłeś, że to źle się skończy, ale uparłam się i nie chciałam cię słuchać.

- Chciałem uciec tak samo jak ty - przerwał jej szorstko John. - Wołałbym, żebyśmy nigdy nie wrócili.

Głębokie spojrzenie niebieskich oczu Sylvie badało twarz, na której malowała się niespodziewana siła.

- Nie oponowałeś, kiedy zdecydowałam, że zawracamy.

John wpatrywał się w czubek swojego podniszczonego buta.

- Chciałem jechać dalej, ale ty zmieniłaś zdanie. Kiedy spotkaliśmy go w gospodzie, wiedziałem...

- Co wiedziałeś? - przerwała mu Sylvie, marszcząc brwi.

-Po prostu wiedziałem... Zniecierpliwiona, oparła ręce na biodrach.

- Mówisz o Adamie Townsendzie? Co on ma z tym wspólnego?

- Jest mężczyzną, który do ciebie pasuje. Zdawałem sobie sprawę, że zasługujesz na kogoś lepszego ode mnie, lecz mimo to chciałem kontynuować podróż. Byłabyś teraz moją żoną i mieszkała ze mną na farmie.

Sylvie westchnęła.

- Szczerze mówiąc, chyba między innymi dlatego po-

stanowiłam zawrócić. Zawsze lubiłam twoich rodziców, ale nie jestem pewna, czy jako twoja żona czułabym się dobrze pod ich dachem. - Ujęła jego dłoń. - Żałuję tej wyprawy do Szkocji, John. Gdyby nie ona, moglibyśmy pozostać przyjaciółmi.

- A nie zostaliśmy? - Powędrował spojrzeniem w dal, gdzieś nad jej głową. - Tam, przy strumieniu, pojawił się Hugo Robinson. Obserwuje nas.

Sylvie szybko się odwróciła i spojrzała w tym kierunku. Koń i jeździec zastygli w bezruchu. Hugo musiał się zorientować, że został dostrzeżony, pozostał jednak na miejscu. Sylvie uznała, że celowo się im przygląda, by ich zstraszyć.

- Sądysz, że się zbliży?

W głosie Johna zabrzmiał niepokój, który potwierdził słuszność przyjętej przez Hugona taktyki. Sylvie ścisnęła przyjaciela za ramię, żeby dodać mu otuchy.

- Nie musisz przejmować się tym łajdakiem. Nie będzie cię nękał, kiedy się dowie, że wyjechałam do Londynu.

Widząc pytające spojrzenie Johna, wyjaśniła:

- Wyjeżdżam z siostrą i jej mężem. Matka nie spocznie, póki nie znajdę sobie męża, Jestem w niezręcznym położeniu, przecież wiesz - dodała cierpko.

- Nie ma potrzeby! Nadal możemy...

Sylvie położyła mu palec na ustach.

- Nie uda się, John - powiedziała, - Kiedy wspomniłam po raz pierwszy o wspólnej ucieczce, próbowałeś mnie przekonać, że to błąd. Niestety, potrafię postępować sa-

molubnie i głupio. Tolerujesz to, ponieważ jesteś moim przyjacielem i lubisz mi sprawiać przyjemność. Muszę się zmienić, wydorosnąć, zanim ktokolwiek się ze mną ożeni.

- Spojrzała na Johna, dostrzegła malujące się na jego twarzy rozgoryczenie i szybko dodała: - A ty znajdziesz sobie żonę wartą zostania panią Vance.

- To znaczy kobietę o równym mi statusie.

- Nie! - wykrzyknęła Sylvie.

Była zażenowana jego szczerością i spostrzegawczością. Gdy natknęli się w gospodzie na Adama Townsenda, jej determinacja, by poślubić Johna, nagle się ulotniła. Zaczęła porównywać odrzuconego niegdyś konkurenta do Johna i nabrała wątpliwości. Zdała sobie sprawę, że jej uczucie do Johna przypomina miłość do brata. Przedtem samolubnie nie zastanawiała się nad potrzebami Johna. Nie pomyślała, że chciałby ją mieć za kochankę i żonę, która obdarzy go potomstwem. Jak beznadziejnie egoistyczny plan obmyśliła! Mieli wziąć ślub, a żyć razem tylko jako przyjaciele! Teraz rozumiała, dlaczego miała ochotę powiedzieć Johnowi, żeby nie był głupi i jej nie całował. Taka intymność jedynie ją krepowała.

- Odjechał.

John przerwał jej przepelnione poczuciem winy rozważania.

Sylvie zobaczyła oddalającą się sylwetkę Hugona na koniu.

- Nasza przyjaźń podsycy jego urazę. Jest tak zarozumiała, iż nie może znieść, że ciebie lubię, a jego nienawidzę.

John popatrzył na nią smutno.

- Muszę wracać. Mam jeszcze masę roboty przed ko-
lacją.

Sylvie kiwnęła głową.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego, John.

- A ja tobie - odparł z nieśmiałym uśmiechem. Sylvie
objęła go mocno.

- Będzie mi ciebie brakować!

John ostrożnie oparł podbródek na jedwabistych wło-
sach Sylvie.

W oddali jeździec zatrzymał się na wzgórzu. Sylwetka
człowieka na koniu zniknęła w dolinie.

- Adam? W Almacku? Nie sądzę!

William na samą myśl o tym uśmiechnął się rozba-
wiony.

June nieco się obruszyła.

- Kiedy odwiedził nas podczas pobytu w Windrush, on
i Sylvie wydawali się sobą zainteresowani. Jeśli ona nadal
mu się podoba, chyba mógłby zdobyć się na wysiłek i przy-
być na bal.

- Chyba nadmierny optymizm nie pozwala ci na pra-
widłowy osąd - orzekł łagodnie John. - Moim zdaniem,
Rockinghamowi odpowiada status kawalera. Jeśli jednak
Sylvie za nim tęskni, mogę się wybrać na Upper Brook
Street, żeby ustalić, jakie Adam ma plany i gdzie można
go zastać.

- Nawet się nie waż! - ostrzegła go z rozdrażnieniem

June. - To on powinien jej szukać. Moja siostra nie będzie zabiegała o uwagę żadnego mężczyzny. Pozdrowił nas w poniedziałek, gdy jego pojazd mijał nasz powóz na Pall Mail, wie więc, że Sylvie bawi w mieście. Spodziewałam się, że ujrzę jego wizytówkę, dotychczas jednak nas nie odwiedził. Wydaje mi się, że on jest jakby... zdystansowany.

William uniósł brew.

- A Sylvie? Czuje się wzgardzona? - Unika rozmów o nim. Co oczywiście dowodzi, że Adam nie jest jej obojętny.

Po tej uwadze William się zamyślił. Kilka godzin wcześniej spotkał Adama w klubie i choć nigdzie się nie spieszyli, Adam pożegnał się nagie, gdy rozmowa zeszała na rodzinę June. William uśmiechnął się kącikiem ust. Być może słodka Sylvie ponownie zwróciła na siebie uwagę Adama, co dotąd nie udało się żadnej kobiecie. Byłoby interesujące sprawdzić, czy tak jest. Ta myśl skłoniła Williama do żartobliwej wypowiedzi:

-Doskonale. Jeśli zamierzasz skierować siostrę na tę drogę, sugerowałbym następujące działanie. - William wybrał ze stosiku na kominku zaproszenie ze złoconą krawędzią i wręczył ją żonie. — Planuję udać się tam wraz z ojcem. Pani Burdett jest przyjaciółką Rockinghama. Z pewnością wybierze się do niej na karciany wieczorek, o ile nie zajmują go ważniejsze sprawy.

June posłała mężowi pytające spojrzenie. William wydał się rozbawiony myślą, że jego przyjaciel mógłby uczestniczyć w jednym ze zgromadzeń w Almacku, w których

licznie uczestniczyły polujące na męża debutantki. Rzeczywiście, uznała, oczekiwanie, że wyrafinowany dżentelmen, obiekt westchnień wielu pań, da się skusić mdłą rozrywką i zbyt ciepłą lemoniadą, mija się z celem.

- Nie jestem pewna - powiedziała - czy zabieranie Sylvie na przyjęcie do domu, którego gospodynią jest kochanka Adama, to sensowny pomysł.

William wzruszył ramionami.

- Usiłuję tylko pomóc, kochanie - odparł z czułym uśmiechem. - Poza tym Deborah Burdett nie jest już jego kochanką. Wiem jednak, że nadal się przyjaźnią.

Ewentualną dalszą dyskusję o miejscu tej damy w tłumie zdobyczy markiza Roekinghama ucięło pojawienie się Sylvie. June powitała ją promiennym uśmiechem,

- Właśnie rozmawialiśmy o tobie, siostrzyczko. Uznaliśmy, że przydałaby ci się odmiana. Nie zagrałabyś wieczorem w karty? Możemy jednak udać się do Almacku, gdybyś zechciała znów się tam pokazać.

Sylvie wzruszyła ramionami.

- Raczej niespecjalnie. - Wzięła z rąk siostry zaproszenie. Obrzuciła wzrokiem eleganckie pismo i zwróciła kartonik z ujmującym uśmiechem. - Tak, możemy pograć w karty.

- A zatem postanowione.

June z tłumionym westchnieniem odłożyła zaproszenie na kominek. Mimo że starali się zapewniać Sylvie atrakcje, siostra chyba tęskniła za domem; wir życia towarzyskiego najwidoczniej ją nudził. Stało się oczywiste, że powściąga

buntowniczą naturę jedynie w trosce o uspokojenie matki, którą przedtem poważnie wystraszyła swoim wyczynem. Udowadniała, że jej skrucha jest szczerą i że kocha rodziców, odgrywając rolę godnej młodej damy, polującej na męża, którego naprawdę nie chciała.

June martwiła się siostrą i jej przyszłością. Obserwowała, jak Sylvie siada i przewraca bezmyślnie strony żurnala. Jej oczy uciekały co chwila od kartek, to ku oknu, to ku drzwiom. June zastanawiała się, czy to wspomnienie Johna Vance'a sprawiło, że siostra popadła w zadumę.

Sylvie zamknęła żurnal i podeszła do okna, za którym królowało posępne popołudnie. Mżawka sącząca się ze spowitego chmurami nieba spowijała ulicę szarym mrokiem. Westchnęła. Już po tygodniu pobytu w Londynie tęskniła za Windrush. Nie pasuje do miejskiego życia. Trudno jej zaprzyjaźnić się z chichoczącymi dziewczętami, które, podobnie jak ją, przyzwoitki przyprowadzają na najbardziej ekskluzywne bale i przyjęcia w nadziei, że skuszą kogoś odpowiedniego do poproszenia ich o rękę.

Nie to, by nie odniosła na tym polu żadnych sukcesów. Sir Alan Montague i pan Stephen Shepherd dali wyraźnie do zrozumienia, że Sylvie bardzo im się podoba. Jednak żaden z tych dżentelmenów nie wzbudził w niej żywszego uczucia. Uznała za ledwie, że nie są niemili. Uprzejmie ostudziła ich zapęły, nie pozbawiając ich jednak nadziei. Wiedziała, że musi znaleźć męża, lecz, na razie, spośród wszystkich wchodzących w grę mężczyzn najlepszym kandydatem pozostawał Guy Markham. Tyle tylko, że ani ra-

zu go jeszcze w Londynie nie spotkała. Zdaniem Williama, którego zapytała o to dwa dni wcześniej, Guya musiało coś zatrzymać w Hertfordshire, Może obowiązki mistrza ceremonii na rychłym weselu siostry?

- Czy Guy Markham przyjechał już do miasta? - zapytała.

- Tak, spotkałem go u White'a - odrzekł William. - Pytał o ciebie, Sylvie. Powiedział, że bardzo chce cię zobaczyć. Sądzę, że spotkamy go u pani Burdett.

Sylvie rozpromieniła się.

- Och, w takim razie koniecznie musimy tam pójść!

June i William wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wieść o przyjeździe Guya najwyraźniej uradowała Sylvie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że tak ci zależy na jego obecności.

June oczekiwała odpowiedzi. Sylvie owinęła sobie wokół palca jasny pukiel.

- Guy obiecał, że zabierze mnie na przejażdżkę po Hyde Parku i że dotrzyma mi towarzystwa, kiedy znów pójdę do tego nudnego Almacka.

- Przecież nie brakuje tam partnerów - zauważyła June.

- Twój karnet zapełnił się nazwiskami w ciągu piętnasta minut od naszego przybycia.

- Wolalabym tańczyć z Guyem. Jest ciekawszy od wszystkich tych fircyków.

- Obowiązuje zasada: najwyżej dwa tańce z tym samym partnerem. Żadnego niestosownego zachowania, bądź łaśkawa. - Głos June brzmiał surowo, złagodziła to jednak

śmiechem. - Poza tym wydawało mi się, że polubiłaś pana Shepherd'a.

- Lubiałabym bardziej, gdyby nie malował sobie ust na różowo.

- A sir Alan Montague? - dopytywała się June.

- Zakreca sobie loki szczypcami.

- Skąd wiesz? - zapytała rozbawiona June.

- Jego koafiura wydała mi się miejscami przypalona i uznałam, że powinnam zwrócić mu na to uwagę. Omawialiśmy potem problem właściwego rozgrzewania szczypców.

- Przepraszam, ale muszę się zdrzemnąć, żeby nabrać sił przed wieczorem, bo inaczej stracę fortunę - przerwał im ze śmiechem William. - Wiem, że sir Alan wybiera się do pani Burdett. Świetnie gra w fardo, niezależnie od stanu swojej fryzury.

Ignoruje je, i to ostentacyjnie!

Sylvie zerknęła na June. Siostra zaczerwieniła się nieco, spoglądając przez ramię na taras, na którym stała grupka dżentelmenów. Również June odczuła brak serdeczności w zdawkowym powitaniu markiza Rockinghama.

Sylvie ledwie zapanowała nad gniewem. Może jej nie lubić, ale nie powinien pokazywać pleców jej siostrze! Czyż June nie wyświadczyła mu zaszczytu, prosząc, by został ojcem chrzestnym jej pierworodnego syna? Czy jej rodzina nie gościła go w Windrush? Jak on śmie zachowywać się tak wyniośle!

Sylvie poszukała wzrokiem Williama. Zasiadał wraz z ojcem, Alexandrem Pembertonem, przy stoliku do wiata. Wzięła June pod rękę i odciągnęła ją od podwójnych drzwi prowadzących na taras - gdzie nieokrzesany markiz prowadził rozmowę z hałaśliwymi kompanami. Zaprowadziła siostrę w pobliże pokrytego sukniem stolika, przy którym grał William.

- Dlaczego nie partnerujesz mężowi? - zapytała wesoło Sylvie. - Właśnie zauważyłam, że jedna z młodych dam, które poznałam w Almacku, jest tutaj z matką. I chyba jej *fiancé* kręci się w pobliżu. Muszę go sobie obejrzeć, bo ona jest bardzo miła.

Sylvie zatrzymała się przy Lucy Carstairs, żeby kłamstwo nie wyszło na jaw. Nawet pozachwyciła się jej wspaniałym pierścieniem z brylantem, a potem cichaczem wymknęła się na taras.

Rozdział jedenasty

- Musimy porozmawiać.

Adam odwrócił głowę, nadal roześmiany. Zobaczył wpatzone w siebie spojrzenie pięknych oczu. Stojący obok dżentelmen także zareagował na oschłe żądanie Sylvie i zmierzył pożądlwym wzrokiem blond piękność, po czym nieznacznie mrugnął do markiza.

Adam się skrzywił i nie kryjąc niezadowolenia, opuścił grupę przyjaciół. Silną ręką ujął kruche ramię Sylvie i zaprowadził ją tam, gdzie mogli porozmawiać bez świadków.

- Nigdy nie nauczy się pani dobrych manier?

Ta szorstka uwaga nie zraziła Sylvie. Oswobodziła rękę, silnie ją wykręcając, i powiedziała z ironią:

- Co za dziwny zbieg okoliczności. Właśnie zamierzałam zadać panu to samo pytanie.

Adam z wysiłkiem odwrócił wzrok od pełnych piersi widocznych pod opinającym je jedwabiem. Gwałtownie zacisnął palce na poręczy balustrady, ponieważ miał wiel-

ką ochotę zamknąć te urocze kobiece krągłości w dłoni. Drugą ręką strzepnął popiół na kamienne płyty, którymi był wyłożony taras. Zirytowany, odrzucił jarzące się cygareto w ciemność, widać było, jak zakreślił duży łuk.

- Nie interesuje mnie, dlaczego sądzi pani, że jestem niegrzeczny. Proszę wracać do środka.

- Nieważne. I tak panu nie powiem. I niech pan nie wydaje poleceń.

- Dlaczego nie? Pani ciągle mi rozkazuje. Proszę przyjść tutaj... iść tam... zostać... odejść... nie dotykać... -Adam przyglądał się wojowniczej minie Sylvie.

- Wiem, że nawzajem się nie lubimy, ale mimo to powinien pan poświęcić June parę minut swojego cennego czasu i nie traktować jej z góry. To nie jej wina, że jest moją siostrą. Gna i William powierzyli panu zaszczyt bycia ojcem chrzestnym Jacoba, choć muszę przyznać, że dziwi mnie ich wybór.

- Tak, byłbym zaskoczony, gdyby pani go pochwaliła. Wyraźnie okazała mi pani, że zbytnio mnie nie poważa.

Sylvie obrzuciła go gniewnym spojrzeniem i odgarnęła niesforne kosmyki z twarzy.

- Nasza wzajemna niechęć nie ma nic do rzeczy. Dlaczego obraża pan June? Przecież moja siostra uważa pana za przyjaciela.

- I ja nim jestem.

- Zatem dlaczego...?

Zaklął przez zęby.

- Nie rozumie pani, kim jestem? - zapytał tonem, który

kazał Sylvie mieć się na baczności. - Chyba naprawdę pani nie rozumie. Jestem markizem Rockingham. Mam trzydzieści trzy lata i ze swojego postępowania nie tłumaczę się nikomu, a już na pewno nie zuchwałemu dzieciakowi, który zamiast mnie prześladować, powinien już spać. Co pani robi tu, w Londynie?

- Ponieważ nie czuje się pan w obowiązku niczego wyjaśnić, odpłacę tym samym.

Sylvie przyglądała się bardzo długo swoim wypięłgnowanym paznokciom.

- Niech mi pani ustąpi, proszę, moja droga - zasugerował łagodnie - zanim zrobię coś, czego naprawdę nie powinienem.

Sylvie ostrożnie uniosła wzrok.

- Co takiego? - zapytała. Podejrzanie, że mógłby zdradzić jej sekret tutaj, w towarzystwie, przyprawilo ją o szybsze bicie serca. Mocno chwyciła Adama za opartą o balustradę rękę. - Nie powie pan... nie tutaj. Nawet pan nie jest takim łajdakiem!

Adam zaśmiał się i chwycił jej dłoń. Sylvie chciała ją wyrwać, ale nie zdołała.

- Nie, nawet ja nie jestem takim łajdakiem - zgodził się z ironią. - Jeśli jednak nie poinformuje mnie pani, dlaczego jest w mieście, przełożę panią przez kolano i spiorę. Przykro mi, ale tyle łajdactwa mi wystarczy.

Sylvie cofnęła się o krok i znów spróbowała wyrwać rękę. Wyglądało na to, że Adam rzeczywiście mógł zrealizować groźbę.

Szyderczo ucałował jej palce i puścił. Sylvie oparła się o balustradę. Miała ochotę tchórzliwie opuścić taras, lecz zmusiła się, by pozostać.

- Nie boję się pana - oświadczyła. - Niech pan nie próbuje mnie bić, bo oddam. Już kiedyś przyłożyłam mężczyźniemu i wcale mu się to nie spodobało.

Adam widział, że drży jej podbródek. Zaciśnięte na balustradzie palce zbieleły. Przymknął oczy, zły, że nadal nęka go pożądanie. Odwrócił wzrok i cicho odpowiedział:

- Doprowadza mnie pani do furii i dlatego wygaduję głupstwa. Oczywiście, że pani nie skrzywdzę. Kto się tego dopuścił?

Prędko odepchnęła się od balustrady, żeby go ominąć, żałując nieostrożnie wypowiedzianych słów.

- Chciałam tylko powiedzieć, że uważam, iż zachował się pan niegrzecznie w stosunku do June - mruknęła.

Szybkim ruchem zablokował jej drogę.

- Przykro mi, że uraziłem pani siostrę. Nie obraziłbym świadomie żadnego członka pani rodziny.

-Poza mną.

- Nie chcę pani obrażać. Przyznaję, tak przypadkiem wyszło, ale - uśmiechnął się nieznacznie, gdy gorliwie potwierdziła ruchem głowy - chciałbym, żebyśmy byli bardziej zgodni, Sylvie.

- Zgodni?

Zastanawiała się nad znaczeniem tego słowa.

- Tak - potwierdził.

W duchu nazwał się patetycznym głupcem. Toler-

wał zbyt wiele u tej anielskiej panny. Nikt nie ośmielał się przemawiać do niego takim tonem poza bratem. Ani przyjaciele, ani osoby równe mu stanem, ani tym bardziej kochanki. Nawet jego matka, która miałaby do tego prawo, bardzo dyplomatycznie przekazywała mu swoje uwagi. Nikt nigdy na niego nie krzyczał. Natomiast ta mała jędra mogła okładać go pięściami, a on przyjąłby to jak pieszczotę.

Wydawała się niezspsuta, mimo że miała kochankę; ta anomalia nie dawała mu spokoju. Nieustannie, nawet podczas kłótni z bratem, jego myśli zajmowała przede wszystkim Sylvie.

Miał majątek rozrzucony na kilku kontynentach, wart ponad milion funtów, i do tego taką sumę w banku, a zazdrościł szczęścia skromnemu dzierżawcy. Przyjaciele i znajomi szanowali go i podziwiali jego opanowanie, a jednak z trudem maskował zazdrość z powodu kobiety, z którą chciał niegdyś dzielić swoje życie i bogactwo, a która wolała pocałunki kogoś innego.

Teraz jego duma ucierpiała jeszcze bardziej, gdyż wiedział, że jego zły nastrój został zauważony. Okazał słabość i zachował się niegrzecznie wobec ludzi, których lubił i zaliczał do przyjaciół.

- Byłoby miło, gdybyśmy przestali się kłócić. - Miękki głos Sylvie przerwał przedłużające się milczenie. Przyjęła gałązkę oliwną i odwzajemniła ten gest. - Skoro przyznaje pan, że jest mu przykro, mnie również nie pozostaje nic innego.

Wpatrywała się w swoje zaciśnięte palce, usiłując uporządkować myśli. Powinna przeprosić za pochopne i nieuzasadnione posądzenie, że występki sprowadził Adama do gospody przy Great North.

- Gdy spotkaliśmy się w gospodzie, nie powinnam była zakładać, że pani, z którą pan był.... to znaczy nie powinnam niegrzecznie wyrazić się o pańskiej bratowej.

Mogłaby dodać, że przecież ta kobieta zachowała się niegodnie i poniżyła swojego męża, lecz nie chciała zajmować tak zdecydowanej postawy. Przecież jej własne postępowanie odbiegało od poprawności.

Sylvie spojrzała ostrożnie na Adama.

- Czy pański brat odniósł poważne obrażenia? - zapytała cicho.

- Tak - odparł, nadal zapatrzony w ciemność. - Jake z trudem chodzi, stracił czucie i mięśnie w prawej nodze. Nie może więc jej ćwiczyć i słabnie. Dostał też szrapnelem w pierś, blisko serca. Choć rana szybko się goiła, wdało się zakażenie i było prawdopodobne, że nie przeżyje drogi powrotnej z półwyspu. Usłyszałem nawet pewnego dnia, że umarł.

W wielkich oczach Sylvie odmalowało się współczucie.

- Może jest lekarz, który mimo wszystko zdołałby mu pomóc.

Wypowiedziała te słowa odruchowo i natychmiast poczuła się niezręcznie. Markiz Rockingham z pewnością nie zaniedbał niczego, by pomóc bratu, zbadał wszystkie możliwości złagodzenia jego cierpień. Odbył nawet podróż na

północ, by sprowadzić krnąbrną żonę Jakea i oszczędzić mu poniżenia.

- To znaczy chyba już pan wie, co medycyna może mu zaoferować - poprawiła się.

Adam niewyraźnie się uśmiechnął.

- Badało go kilkunastu medyków. Niektórzy obiecywali cudowne kuracje, inni, że po prostu uczynią, co zdołają. Oklepywali go i naciągali nogę, zażywał wszelkiego rodzaju pigułki i mikstury. Teraz już odmawia. Nazywa ich wszystkich konowalami i szarlatanami.

Adam odwrócił wzrok. Wiedział, że na dobrą sprawę Jake nie pragnął poprawy.

- Niekiedy skutecznie, działa coś najprostszego. Moja siostra Isabel świetnie zna się na miksturach i kuracjach. Pamiętam, że gdy mieszkała w Yorku z cocią Florence, jakiś chłopiec spadł na koło wodne młyna. Uszkodziło mu ramię. Lekarze przyznali, że są bezsilni. Tymczasem Isabel zmieszała kilka olejków do nacierania i wytrwale stosowała kurację, aż chłopiec, choć nie w pełni, wrócił do zdrowia. Zdziwił wszystkich, odzyskując władzę w ręce. - Wpatrywała się w Adama, oczekując reakcji. - Z pewnością warto czegoś takiego spróbować. Czy mogę napisać do niej z prośbą o radę? - zapytała z troską w głosie.

Adama ogarnęła czułość. Sylvie, choć nie znała Jake'a, przejęła się nim bardziej niż Theresa. Wiedział, że brat odrzuci wszystkie oferty pomocy, prawdopodobnie okraszając to przekleństwami. Nie mógł jednak rozczarować Sylvie.

-Dziękuję. Jest pani bardzo miła.

- Napiszę do niej jutro. Wiem, że Isabel przygotowuje okłady na chorą nogę sir Anthony'ego. - Świadoma spojrzenia ciemnych oczu Adama, odwróciła się w stronę ogrodu. - Jest niezwykle ciepło jak na tę porę roku - za uważyla lekko.

Adam, wpatrując się w nocne niebo, wsparł się o poręcz.

- Tak, piękna pogoda - potwierdził.

Po kilku minutach życzliwego milczenia Sylvie westchnęła z zalem.

- Muszę już wracać. June na pewno się zastanawia, gdzie się podziałam.

Adam oderwał wzrok od zawisłych nad horyzontem gwiazd. Wsunął ręce do kieszeni i zapytał:

- Umie pani grać w remika?

Sylvie pokręciła przecząco głową.

Adam podał jej ramię. Bez wahania ułożyła wąskie palce na nieskazitelnym rękawie surduta.

Powoli jego dłoń przykryła jej rękę, tak pieśczożliwie, że Sylvie uniosła pytająco wzrok.

- Czas się nauczyć - usłyszała.

- Jak wyglądam?

Sylvie wykonała przed siostrą piruet i elegancka poranna suknia okręciła się wokół kształtnych łydek i kostek. June obrzuciła ją pełnym aprobaty wzrokiem.

- Zdziwiająca, jak ci dobrze w bladożółtym przy tak jasnych włosach... Bardzo ładnie. Stylowo, a jednocześnie

skromnie - dodała z uśmiechem. - Coś podobnego! Nie sądziłam, że doczekam dnia, w którym okreśę twój wygląd jako skromny. - Spojrzała na zegar. - O której Guy cię zabiera?

- O wpół do piątej.

Rozmawiały w saloniku na piętrze Grove House, eleganckiej siedziby Pembertonów przy St James. Sylvie podbiegła do strzelistego okna i wyjrzała na ulicę.

Tego dnia było jej lekko na sercu; cieszyła się, że postanowiła przyjechać do Londynu. Zdawała sobie sprawę, że dobry humor nie wziął się znikąd. W znacznym stopniu wynikał z tego, że zawarła rozejm z Adamem.

Poprzedniego wieczoru nie towarzyszył jej długo. Dotrzymał słowa i nauczył ją gry w remika; pozwolił jej nawet wygrać pół suwerena. Potem przeprosił i opuścił zgromadzenie. Sylvie zauważyła, że ich gospodyni, pani Burdett, jest zawiedziona, iż markiz Rockingham tak wcześnie opuścił towarzystwo. Również Sylvie poczuła się osamotniona, chociaż wielbiciel - w ich liczbie Guy - na wyścigi zabiegali o jej względy i starali się, żeby się nienudziła. Spierali się, komu ma partnerować w kartach i kto dostąpi przywileju przyniesienia jej przekąski z bufetu.

Kiedy opuszczali przyjęcie, Guy zapytał, czy może następnego dnia złożyć jej wizytę i zabrać ją na przejażdżkę. Pan Shepherd, najbardziej wytrwały wielbiciel Sylvie nadal krążył w pobliżu i, niestety, usłyszał, jak przyjmuje ona propozycję Guya. Spojrzał żałośnie, gdyż nieco wcześniej odrzuciła jego prośbę, by pozwoliła się odwiedzić. Sylvie

nękało lekkie poczucie winy, gdy oddalał się najwyraźniej przybity.

Ponownie wyjrzała przez okno właśnie wtedy, gdy pędzący faeton znalazł się w polu widzenia. Uśmiechnęła się na widok popartej doskonałymi umiejętnościami brawury powożącego.

- Jest już Guy - powiedziała przez ramię do siostry.

- Herbata sprawi mi ogromną przyjemność. - Guy okrasił szerokim uśmiechem odpowiedź na pytanie gospodyni.

June poszła wydać dyspozycje służącej, a gość zwrócił się do Sylvie:

- O ile dobrze pamiętam, mamy wkrótce wyruszyć do parku na poszukiwanie stosownych osób, z którymi mogli byśmy się związać.

Sylvie odpowiedziała z figlarnym uśmiechem:

- Istotnie, ma pan doskonałą pamięć. Szkoda, że nie przyjechał pan wcześniej do miasta. W takim wypadku znalazłabym już, być może, doskonałą partię i mogła dać panu Shepherdowi do zrozumienia, że niepotrzebnie się trzusi,

- Czy on się pani naprzykrza? - zapytał Guy. Wypiął pierś i obniżył głos o oktawę, - Szepnij słówko, a udzielię mu nauczki, której nie zapomni.

- Nie, to nie tak! - Sylvie uznała, że musi stanąć w obronie wielbiciela. - On jest bardzo zabawny, choć nie mam pewności, czy świadomie. Zawsze jest grzeczny, może nieco zbyt... gorliwy w swoich komplementach. - Uśmiech-

nęła się. - Nie, pan Shepherd z pewnością nie jest nieprzyjemnym dżentelmenem.

Guy nadal spoglądał wojowniczo, lecz w końcu przyjął filiżankę i zaproszenie, by usiadł.

-Jak tam przygotowania do wesela? - zapytała June, zajmując miejsce na sofie obok siostry. - Zakładaliśmy, że z tego właśnie powodu opóźnił pan przyjazd do miasta.

Guy się zasepił. Miał właśnie udzielić odpowiedzi, kiedy w drzwiach stanął Herbert, kamerdyner Pembertonów. Z szacunkiem zaanonsował:

- Przybył markiz Rockingham, proszę pani.

June odstawiała filiżankę i zerwała się na nogi.

- Proś go, Herbert - wydała polecenie nagłym tonem.

Guy z uśmiechem wydobyl zegarek i zerknął na tarczę.

- W ostatnim momencie, jeśli nadal zamierza pojechać do Surrey. Powiedział wczoraj, że wybiera się na wyścigi.

Sylvie poczuła niepokój na wiadomość o niespodziewanym przybyciu Adama. Rozstali się w zgodzie, w każdej jednak chwili, bez powodu, mogło pomiędzy nimi dojść do spięć. Bardzo by tego nie chciała. Miała nadzieję na trwałe rozejm.

Zarówno June, jak i Guya uradowała niespodziewana wizyta Adama. Mimo krążących plotek o rozwiązłym stylu życia markiza, wszędzie był mile widziany. Sylvie przypomniała sobie, że Guy jej zdradził - a ponieważ pożałował własnej gadatliwości - że Adam ma wielkie powodzenie u kobiet. Nie wiedział, że nie musi przejmować się, iż ją tym urazi. Mając szesnaście lat, Sylvie niechętnie usłyszała rozmowę o kokotach przepadających za towarzystwem Adama. Teraz, starsza i mą-

drzejsza, uznała, że postąpiła niezwykle niegrzecznie, pytając dzentelmena, kto to są kokoty. „Panie lekkiego prowadzenia się” usłyszała odpowiedź lorda Malverna, podczas gdy jej biedny ojciec najchętniej zapadłby się pod ziemię ze wstydu. W swojej naiwności wyobraziła sobie, że sama mogłaby być taką panią. Wniosek, usprawiedliwiała się sama przed sobą, uzasadniony u szesnastolatki. Czyż matka nie ostrzegała jej nieustannie, że poniesie konsekwencje, jeśli nie będzie się lepiej zachowywać?

Nagle, gdy Adam witał się wylewnie z June, ogarnęły ją smutne myśli. Jak wspaniale mogłoby się wszystko ułożyć, gdyby spotkali się znów w okolicznościach szczęśliwszych niż te, które zgotował im los w przydrożnej gospodzie.

Adam przyjął zaproszenie June, by usiąść. Wybrał miejsce na sofie obok Sylvie.

June podała mu herbatę, a potem zagłębiła się w ożywionej rozmowie z Guyem o obowiązkach mistrza ceremonii weselnej.

Adam nachylił się i postawił filiżankę na stoliku.

- Chciałaby się pani przejechać?

Sylvie odpowiedziała uśmiechem.

- Pańskim powozem?

- Tak.

Rozczarowana, odruchowo westchnęła.

- Nie mogę. Guy Markham zaprosił mnie na przejażdżkę, to bardzo miło z jego strony. We trójkę byłoby nam za ciasno, bez względu na to, czy w bryczce, czy w faetonie.

- Nie możemy do tego dopuścić! - zaprotestował Adam,

udając przerażenie. Spojrzał ciemnymi oczami na twarz Sylvie. Po chwili z aprobatą zerknął na elegancką sukienkę. - Kiedy spotkałem panią po raz pierwszy, uznałem, że wyglądasz jak potargana bogini... zmierzwił blond loki i pobrudzone ubranie.

Sylvie wygładziła suknię i usiłowała ukryć zmieszanie. Niestety, zdradziecki rumieniec oblał jej policzki.

- To było dawno. Chyba bawiłam się wtedy w ogrodzie... lubię przebywać na świeżym powietrzu - usprawiedliwiła się.

- Nie tak znowu dawno - sprzeciwił się Adam. - Pamiętam, jak się zdziwiłem, kiedy June powiedziała mi, że niedługo skończy pani siedemnaście lat.

Sylvie zrobiła zawiedzioną minę i powiedziała: - Myślałam sobie przedtem, jak by było miło, gdyby nasz rozejm trochę potrwał.

- A teraz? - zapytał Adam ze śmiechem.

- Teraz... powinniśmy zmienić temat, inaczej nici z ugody.

Adam odchylił się na oparcie sofy. To, że mógł ją obserwować z tyłu, kępowało Sylvie. Usadowiła się tak, by go widzieć.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Ja się nie skarżyłem. Lubię potargane boginie.

- Dlaczego? - Nie oczekiwał takiego pytania. Sylvie skrzyżowała ręce na piersi. - Proszę mi zdradzić, dlaczego wielkopański Adam Townsend, tak uwielbiany przez kobiety, zwraca uwagę na szesnastoletnią dziewczynę z potarganymi włosami i w brudnej sukience.

- Kto pani powiedział, że jestem uwielbiany przez damy?
Sylvie się roześmiała.
- Nikt mi nie musiał mówić. Sama do tego doszłam.
- Istotnie? I jak ocenia pani moją atrakcyjność? Sylvie
wzruszyła ramionami, nie przyznała jednak, że to
właśnie ją intryguje.
- Siostra Guya uważa, że jest pan charyzmatyczny.
Wiem to od niego.
Adam zerknął na przyjaciela z kpiącym uśmiechem.
- Pociągająca myśl - skomentował spokojnie. - Nie
stety, sądzę, że moje saldo w banku ma więcej uroku niż
ja sam.
- Jest pan bogaty?
- Bardzo.
- Sylvie pokiwała głową.
- Powinien więc pan bez trudu znaleźć żonę. Nie
oświadczył się pan nikomu innemu?
- Po co? Nie chcę narazić się na kolejną odmowę.
Udała, że nie dostrzega ironii w głosie Adama.
- Ma pan szlachecki tytuł, a także masę pieniędzy.
- Na panią to jakoś nie podziałało.
- Tak, ale wtedy byłam młoda i głupia. Nie zdawałam
sobie w pełni sprawy... - Sylvie podała Adamowi filiżankę
z herbatą. - Wystygnie - zauważyła.
- Czy żałuje pani, że mnie odrzuciła?
- Przyjął z jej rąk filiżankę i odstawił z powrotem na stół.
- Oczywiście - rzuciła lekko. - Ma pan masę pieniędzy
i tytuł. Byłabym głupia, gdybym nie żałowała. No i jest pan

charyzmatycznym dżentelmenem, cieszącym się powodzeniem u pań.

- Odniosłem nieodparte wrażenie, że posprzeczała się pani z Johnem Vanœ'em. Czy dlatego przyjechała pani do Londynu? Żeby dać mu nauczkę?

Nie podnosił głosu, niemniej Sylvie zerknęła ostrożnie na June. Upewniła się z ulgą, że siostra jest nadal zajęta rozmową z Guyem. Pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie kłócimy się - odparła. - Nie sądzę jednak, że by jego rodzice mnie zaakceptowali. - Pociągnęła łyk herbaty. - Cieszę się, że odwiedził pan June. W ten sposób wie, że pan się na nią nie boczy.

- Poinformowała ją pani, że to pani boczyła się na mnie? Dążył do przedłużania tej rozmowy. Sylvie to nie odpowiadało. Cicho ostrzegła:

-Nikt z mojej rodziny nie wie o naszym spotkaniu w gospodzie. Gdyby June się dowiedziała... - Wykonała znaczący gest. - Naturalnie, przeraziłaby się, wiedząc, że był pan świadkiem czegoś tak... skandalicznego. Odesłałaby mnie do domu i już nigdy nie znalazłabym męża.

Zapadła cisza, która zdawała się nie mieć końca. Wreszcie przerwał ją Adam:

- Szuka pani męża?

Potwierdziła.

- Muszę, gdyż jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że uciekłam z Johnem... No cóż, to nie wymaga dalszych wyjaśnień. Doskonale pan wie, co zaszło, i jakimi konsekwencjami to grozi.

- A co z Johnem Vance'em? Taka sytuacja mu odpowiada?

Pokręciła energicznie głową, aż jasne loki omiotły ramiona.

- Nie. Nie odpowiada - szepnęła w poczuciu winy. - Ale myślę... mam nadzieję... że on zrozumie... Och, nie mówmy już o tym - zakończyła, zerkając na siostrę.

Tym razem June skierowała na nich zdziwione spojrzenie.

- A zatem kiedyś będę musiała pojechać pańską bryczką. - Sylvie zwróciła się wesołym tonem do Adama. - Musi pan wskazywać każdego odpowiedniego dżentelmena, którego będziemy mijać. Guy przyrzekł mi to i oczekuję, że pan także będzie to potrafił.

- Czy tylko to ma dla pani znaczenie? Żeby przyszły mąż był odpowiedni? Nie interesuje pani, co to za człowiek?

- Oczywiście wolałabym czegoś więcej. Pragnęłabym kogoś, kto....

Sylvie umilkła i popadła w zadumę. Jakby z oddali usłyszała, że Adam domaga się dokończenia odpowiedzi.

Powróciła do rzeczywistości.

- Och, nie wiem... chyba kogoś takiego jak pan.

Rozdział dwunasty

- Czy to propozycja małżeństwa? - zapytał od niechcienia Adam.

Sylvie zerknęła na niego i uznała, że z niej kpi. Najwyraźniej dla niego była nadal krnąbrną, samowolną dziewczynką, z której mógł się podśmiewać. Gdyby Adam wiedział, jak szczerze jest to, co się Sylvie niebacznie wymknęło, nie byłby rozbawiony. Raczej poszukałby pretekstu, by opuścić ich dom.

- Chodziło mi o to, że... - odparła Sylvie, usiłując zbagatelizować lekkomyślną wypowiedź. - Chciałabym mieć pogodną i życzliwą teściową, oczywiście. Uważam, że to ważne. June bardzo długo nie żyła w zgodzie ze swoją i bardzo nad tym bolała. Na szczęście od niedawna są przyjaciółkami. Pamiętam spotkanie z pańską matką i sądzę, że byłaby dla mnie miła.

- A ja pamiętam, że uznała panią za czarującą. Odpowiedziałem jej, że rzeczywiście i że się w pani zadurzyłem.

W taki sposób, pomyślała Sylvie, umiejętnie flirtując,

dokonuje się podbojów. Och, dobrze rozumiała, dlaczego Adam ma powodzenie u kobiet. Gdyby uznał to za wartę zachodu, mógłby zdobyć każdą.

- Być może zdecyduję się na Guya Markhama. Lubię go, a jego matka jest bardzo miła.

Głos Sylvie zdradzał wymuszoną obojętność.

- Czy on o tym wie?

- Że go lubię? Sądzę, że tak.

- Że mogłaby się pani na niego zdecydować - poprawił ją Adam.

- Och, tak. Powiedziałam mu to, kiedy poprosił mnie o rękę.

- Guy Markham poprosił panią o rękę?

Uważne spojrzenie Adama omiotło przyjaciela.

Guy dostrzegł, że stał się obiektem zainteresowania i wstał.

- Powinniśmy się pospieszyć, panno Sylvie - ostrzegł.

- Przegapimy porę spacerów i inne młode damy nas wyprzedzą. W parku zostaną już tylko ci kawalerowie, którzy nie wpadli im w oko.

- To nie moja wina - zażartowała Sylvie, podnosząc się z sofy. - Gdyby przybył pan do miasta wcześniej, tak jak się umówiliśmy, ja bym je wyprzedziła.

- Żałuję, ale nie mogłem. Nie zwlekałem w Hertfordshire! - Guy sposepniał. - To nie plany weselne Janet mnie zatrzymały. Pewnego wieczoru napadnięto na Johna Vance'a. Zaoferowałem pomoc w zatrzymaniu drania, który to zrobił. - Podkreślił wagę słów, świszcząc przez zęby.

- Zresztą mogło być więcej napastników, bo młody Vance odniósł poważne obrażenia. Podobno jakieś podejrzane in dywidua kręcą się koło drogi do Cambridge. Jednak nie słyszałem, żeby poza nim kogoś napadli.

Od chwili kiedy padło imię Johna, Sylvie uporczywie wpa trywała się w Guya, przerażona tym, czego się dowiedziała.

- Mimo swojego wieku Frank Vance i Edgar Meredith przyłączyli się do poszukiwań. Dochodzenie jest w toku, ale... szukaj wiatru w polu - zakończył Guy.

Sylvie oderwała od niego wzrok, gdy siostra otoczyła ją ramieniem, widząc, że potrzebuje wsparcia.

- Przygnębiająca opowieść. Chyba nie powinienem o tym informować - szepnął Guy do zamyślnego Adama.

- Panna Sylvie aż zbladła - dodał z troską.

Wyczuwając zmieszanie gościa, June postanowiła wytłu maczyć zachowanie siostry.

- John Vance jest przyjacielem Sylvie. Taka przerażająca wiadomość musiała nią wstrząsnąć.

- Czy... czy John powraca do zdrowia? - zapytała Syl vie, uwalniając się z uścisku June. Przyszło jej do głowy straszliwe podejrzenie. Czy tylko ona domyśla się, kto tak brutalnie potraktował Johna? Oczywiście! Poza nią jedyną osobą, która mogłaby wskazać sprawcę, był John, a on był ranny... - Czy John czuje się lepiej?

- Był nadal nieprzytomny, kiedy opuściłem Hertfordshire. Jest pod opieką lekarza - dodał szybko Guy, usiłując nadać głosowi optymistyczne brzmienie. - Jestem pewien, że dojdzie do siebie i opisz napastnika.

Och, John, wydobrzej, proszę, błagała w duchu Sylvie. Pobił cię do nieprzytomności, być może usiłował zabić, byś nie mógł dać świadectwa, że to istny diabeł.

- Na chwilę państwa opuszczę - poinformowała Sylvie, powstrzymując szloch. Wycofywała się do drzwi, nie spuszczać wzroku z poważnej twarzy Adama. Siostra wyciągnęła do niej rękę. - Proszę, June, muszę przez pewien czas być sama.

Wyminęła ją, odwróciła się i wybiegła z salonu.

Delikatne pukanie do drzwi przybrało na sile.

- Otwórz, Sylvie! - zawołała June. - Martwię się o ciebie. Tkwisz tam cały dzień. Przyniosłam ci herbatę, wpuść mnie, proszę.

Po namyśle Sylvie, zmęczona płaczem, podniosła się z łóżka. Wstała, przyglądziła sukienkę i otworzyła drzwi.

- Muszę wracać do domu, do Windrush - oświadczyła zdecydowanie, gdy tylko June weszła do zajmowanego przez nią pokoju i postawiła tacę.

- Niczego w ten sposób nie osiągniesz - mitygowała ją June. - Narazisz się tylko na dalsze zmartwienia, jeśli nie dopuszczą cię do Johna. Nie sądzę, by jego rodzice pogodzili się z myślą o waszej ucieczce... a jeszcze na dodatek to pobicie. - Westchnęła. - Poczekaj na dalsze wieści z Hertfordshire. Jestem pewna, że John wkrótce dojdzie do siebie. Być może policja coś ustali.

Gorzki śmiech przerwał tyradę June.

- Marnują tylko czas! Ten diabeł potrafi zacierać za sobą ślady.

- Nie możesz być tego pewna. - June za wszelką cenę starała się uspokoić siostrę. - Napastnika bardziej interesowała ucieczka ze skradzionymi monetami. - Widząc pytające spojrzenie Sylvie, wyjaśniła; - Wczoraj, kiedy ty i Adam zostawiliście nas samych, Guy mi powiedział, że Johna pobito dla paru koron, które miał w kieszeni. Frank Vance przypomniał sobie, że John jechał uzupełnić domowe zapasy do sklepu Bartona. Nie dotarł na miejsce, a kiedy znaleziono go przy drodze, nie miał przy sobie pieniędzy.

- Pieniądze mogły zostać zabrane, żeby upozorować rabunek - płaczliwie zauważyła Sylvie.

June się zdumiała.

- Dlaczego ktoś miałby celowo napaść akurat na Johna? Nie sprawiał na mnie nigdy wrażenia osoby, która ma wrogów. - Ponieważ siostra milczała, June zadała pytanie - A może ma wrogów?

Sylvie ukryła twarz w dłoniach. Nikt nie miał pojęcia o mściwych planach tego drania, Hugona Robinsona. Kiedy przedtem John został pobity, skłamał rodzicom, że spadł z konia. Postąpił tak, by chronić przyjaciółkę, ponieważ Hugo zagroził, że jeśli John go wyda, Sylvie tego pożałuje. Na próżno. Hugo i tak ją skrzywdził, ponieważ ona z kolei starała się ochronić przed nim Johna.

Nie opowiedziała o tym nikomu, nawet June, której zwykła powierzać wszystkie sekrety. Siostra nie mia-

ła więc pojęcia, dlaczego Sylvie nienawidzi syna sąsiadów. Nęciło ją niekiedy, żeby zrzucić z siebie ten ciężar, powstrzymywało ją jednak zaufanie i lojalność łączące June i Williama. Nie mieli przed sobą tajemnic, a gdyby William poznał prawdę, na pewno nie puściłby płazem postępkowi Hugona.

Do tego nie mogła dopuścić. Gdyby prawda wyszła na jaw, jej ojciec mógłby ponownie mieć atak, a i biedna mama nie zniosłaby wiedzy o upodleniu, jakiego doznało jej najmłodsze dziecko. Żadnego z nich nie ucieszyłyby również pytania i złośliwe plotki po ujawnieniu skandalu. Poza tym Sylvie nie chciała martwić sir Anthony'ego i lady Robinson. Lubiła ich oboje i rozumiała, że nie mogą odpowiadać za postępkę syna.

Z zadumy wyrwała ją June.

- Podejrzewasz kogoś? - zapytała cicho.

Sylvie szybko pokręciła głową.

June odetchnęła z ulgą i ruszyła, żeby napelnić filiżankę herbatą.

- Po południu powinnam odwiedzić lady Forster, która mnie zaprosiła, ale nie mam głowy do towarzyskich spotkań. Chyba wyślę list z przeprosinami. Zostanę z tobą.

-Nie, musisz iść - przerwała jej Sylvie, usiłując się uśmiechnąć. - Jakoś sobie poradzę. Może pobawię się z Jacobem, żeby odpędzić złe myśli.

June z wysiłkiem przywołała na twarz uśmiech.

- Biedak nadal się męczy się z powodu ząbków, ale może zapomni o bólu, kiedy cię zobaczy. Nie zabawię

długo u pani Forster. Nie lubię zostawiać małego, kiedy gorzej się czuje.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Sylvie delikatnie ułożyła śpiącego siostrzeńca z powrotem w łóżeczku, przy którym dyżuowała na wygodnym krześle. Wyprostowała się i zobaczyła Molly. Zerkając na pogrążone we śnie dziecko, obwieściła szeptem:

- Na dole czeka pewien dżentelmen, panienko. Błaga, żeby pani zeszła.

- Kto to jest? - zapytała, zaniepokojona, że wrócił Guy, przynosząc dalsze, niekoniecznie radosne wieści z Hertfordshire.

Służąca próbowała przypomnieć sobie nazwisko, które kamerdyner polecił jej przekazać.-

- Pan... chyba pan Hugo Robinson, tak powiedział Herbert, panienko.

Sylvie aż się wzdrygnęła.

- Wszystko w porządku, panienko? - spytała Molly.

Sylvie miała w głowie goniącą myśl. W pierwszym odruchu zamierzała intruza odprawić. Pozostawianie sam na sam z Hugonem Robinsonem napawało ją odrazą. Zdumiało ją zarówno to, że Hugo jest w mieście, jak i to, że ma czelność składać jej wizytę. A może przebywa w Londynie już od dłuższego czasu i to nie on pobił Johna? Zamyślona Sylvie przemierzała pokój. Ostatecznie uznała, że nadarza się okazja, żeby odkryć prawdę. Powinna to zrobić właśnie ze względu na Johna.

-Molly, poinformuj, proszę, Herberta, że wkrótce zejdę.

We własnym pokoju Sylvie z pochyloną głową przysiadła na łóżku. Znow nawiedziły ją obrazy pobitej twarzy Johna. Widziała go już posiniaczonego i krwawiącego; wtedy nie było wątpliwości, kto za to odpowiada. Nagle nabrała przekonania, że oczekujący na dole Hugo zjawił się, żeby ją nękać, przekonany, że zastraszona zachowa milczenie. Przypomniała sobie słowa, które Hugo wypowiedział na *soirée* u Robinsonów: trochę go poturbuję, żeby cię do tego skłonić.

Sylvie ogarnął gniew. Zerwała się na nogi i przed toaletką poprawiła włosy. W najmniejszym stopniu nie dbała o zdanie Hugona o jej fryzurze; jednak nie chciała, by napawał się jej żalonym wyglądem. Jeśli to on jest winny, spostrzegłby, jak bardzo Sylvie cierpi z powodu napaści na Johna. Poszczypała się w policzki, żeby przywrócić im kolor, i starannie otarła resztki łez. Po raz ostatni obejrzała się w lustrze i opuściła pokój.

- Sądziłem, że znajdziesz jakąś wymówkę, żeby mnie nie przyjąć - powitał ją na dole Hugo.

- Wpadła mi do głowy taka myśl - odparła lodowatym tonem. - Siostra wyszła. Musisz się jeszcze raz pofatygować, jeśli chcesz ją zobaczyć.

- Wiem o tym. Kręciłem się koło domu, mając nadzieję, że wyjdzie.

Sylvie zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Chciałem porozmawiać, ale z tobą, i to w cztery oczy.

Mamy swoje tajemnice, ty i ja. Wątpię, byś chciała, żeby June je poznała - zadrwił.

Stał w niedbałej pozie, oparty łokciem o marmurowy gzyms kominka. Miał na sobie elegancki strój, jasne włosy lśniły, a niebieskie oczy spoglądały wprost na nią. Już samym wyglądem mógł oszukać i skłonić do przypuszczenia, że jest człowiekiem honoru.

- Twoja siostra ma ładny dom. Najwyraźniej powodzi się jej w małżeństwie.

- Sądzę, że nie sprowadziło cię tu szczęście mojej siostry!

- Istotnie - wycedził. - Jestem tu, żeby przypomnieć ci o twoim.

Sylvie zmierzyła go wzrokiem.

- O moim szczęściu?

- W tym tygodniu ogłosimy zaręczyny i ustalimy nieodległą datę ślubu.

- Chyba oszalałeś, sądząc, że za ciebie wyjdę! - rzuciła z pogardą.

Hugo leniwie się uśmiechnął. Jego pewność siebie sprawiła, że Sylvie ogarnął strach.

- Oszalałem, pragnąc się z tobą ożenić. W gruncie rzeczy, jeśli nie powściągniesz języka, mogę zmienić zdanie i uczynić cię tylko kochanką.

Sylvie zdawała sobie sprawę z tego, że Hugo nie pokazał jeszcze atutowej karty.

- Ach, zastanawiasz się, skąd wiem, że nadajesz się do tej roli.

Przemawiał spokojnie, zbliżał się do niej, wpatrzony bezczelnie w jej dekolt. Dotknął palcem koronki wieńczącej stan sukni.

Sylvie odskoczyła, odpychając jego rękę. Ścisnął jej palce i mocno je wykręcił, gdy chciała je wyrwać.

- Nie zrobię tego, moja miła. Mam w ręku twoją przyszłość. Jestem dla ciebie wybawieniem, jedyną nadzieją na godne życie.

- Godne? - zakpiła. - Z tobą? Ty nie masz pojęcia, co to jest godność! Jesteś...

Zamknął jej dłonią usta, a drugą ręką przytrzymał za kark.

- Gdzie kręcą się dziwki, wiesz? Haymarket, może doki na East Endzie? Sądziłem, że znam miejsca, w których polują na klientów. Muszę przyznać, że się myliłem, gdyż do wiedziałem się niedawno od naszego wspólnego przyjaciela, że raczej przy Great North. W szczególności korzystają z pokoi w przydrożnej gospodzie.

W tym momencie Sylvie ugryzła kneblującą ją dłoń.

Wściekły Hugo zacisnął rękę w pięść i wyprowadził cios, zatrzymując się jednak o cal od policzka Sylvie. Przypomniał sobie bowiem, gdzie się znajduje. Patrzył złym wzrokiem, rozprostowując palce, a potem zlizął z nich kroplę krwi.

- Z przyjemnością sprawię, że tego pożałujesz.

- Masz poobcierane kłykcie. Wiem dlaczego. Znów poabiłeś Johna, ty nieokrzesany prostaku, mogłeś go nawet zabić. Jeśli sądzisz, że zatrzymam tę wiedzę dla siebie, to

jesteś w błędzie. Siostra i szwagier wkrótce wrócą i bezwzględnie im o tym powiem.

- Nic nie powiesz. Ani im, ani nikomu innemu. - Obejrzał pokiereszowane dłonie. - Ćwiczyłem boks z przyjacielem, bez rękawic. Chętnie to potwierdzi.

- Na pewno go przekupiłeś - rzuciła wściekle.

- Rozumiem, że Markham powiedział ci o Vansie. Miałem nadzieję, że jeszcze nie wiesz o swoim nieszczęsnym lubym. A czy Markham raczył cię poinformować, że to ja zorganizowałem pościg? Spełniłem obowiązek zatroskanego sąsiada i wyruszyłem na poszukiwanie winowajcy. Nie, nie dziękuj, moja droga. Przynajmniej tyle mogłem dla niego uczynić.

Zaśmiał się na widok łez, które spłynęły Sylvie po policzkach.

Prędko je otarła.

-I to ty rozpuściłeś plotki o pojawieniu się w okolicy bandytów, prawda? Żeby oddalić od siebie podejrzenia? Wiem, że pobiłeś Johna, żeby zdobyć informację o naszej ucieczce. To był jedyny sposób.

Hugo przechylił głowę i przez chwilę przyglądał się Sylvie.

- Jest słaby i tchórzliwy - wycedził wreszcie. - Gdyby cię kochał, zniósłby każdy ból, zginął za ciebie. A on cię zdradził. Zachodzę w głowę, co ty widzisz w tym imbecylnym.

- Jesteś podły! Przewyższa cię pod każdym względem. Jest miły, dobry i...

Hugo lekceważąco machnął ręką.

- Oszczędź mi tego wzruszającego przedstawienia. Twoje zdanie o nim mnie nie obchodzi. Mamy do omówienia coś znacznie ważniejszego: nasze plany weselne.

- A jeśli odmówię?

Głupie pytanie! Skoro o mało nie zabił Johna, z pewnością nie cofnie się przed szantażem. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli się nie zgodzi, ludzie poznają szczegóły ucieczki z Johnem. Jej reputacja legnie w gruzach, a niesława ogarnie całą rodzinę.

Widząc, że Sylvie zмага się z myślami, Hugo zachichotał.

- Rozumiem, że żywisz podejrzenia co do moich zamiarów. Jestem w mieście od niedawna, ale doszły mnie słuchy, że wywarłaś spore wrażenie na kilku kawalerach. Pan Shepherd, sir Alan Montague, nawet Guy Markham. Podobno łąszą się u twych stóp jak pokojowe pieski. Zastanawiam się, czy ci dżentelmeni nadal będą ci nadskakiwać, kiedy się dowiedzą, że zaledwie miesiąc wcześniej zabawiałaś farmera?

Hugon przerwał dla większego efektu, uśmiechnął się złośliwie, po czym kontynuował:

- Powinnaś była dotrzeć do Szkocji i za niego wyjść. Doceniam, że Vance cię nie wykorzystał. Doceniam także, że to ty postanowiłaś zawrócić. Dlaczego zmieniłaś zdanie? - Kiedy cisza się przedłużała, wzruszył ramionami. - Co za różnica? Odpowiada mi to. I oczywiście podziękowałem Vance'owi także za tę informację.

Sylvie przełknęła ślinę, żeby opanować mdłości. Zapomniała o własnej niedoli. Wyobraziła sobie, przez co przeszedł John, zanim ją wydał.

- Musisz mi okazać wdzięczność za wybawienie od losu kobiety upadłej - dodał Hugo. Sylvie uniosła głowę i spiorunowała go wzrokiem. - Nie jestem pozbawiony uczuć. - Rozbawienie w jego głosie wskazywało, że nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. - Dam ci czas, żebyś to sobie przemyślała. Do soboty, do drugiej. Wtedy wrócę, żeby z tobą porozmawiać. Mam nadzieję zastać też twoją siostrę i szwagra. Nie mogę się doczekać, aż twoi krewni razem z nami będą się cieszyć dobrą nowiną.

Rozdział trzynasty

Kiedy pojazdy się zrównały, dama wyniośle uniosła lornion. Sylvie natychmiast cofnęła się do środka dorożki. Obawiała się, że stara wiedźma odgadła, że Sylvie wybrała się w odwiedzin do niespodziewającego się jej dżentelmena, by błagać go o ochronę. Gdy luksusowe lando minęło dorożkę, uwożąc w dal ciekawską pasażerkę, Sylvie ponownie uchyliła skraj wystrzępionej zasłonki w oknie.

Poleciła dorożkarzowi zawieźć się na Upper Brook Street i opadła na wytarte siedzenie. Teraz już spokojniejsza zastanawiała się, dlaczego postanowiła udać się do markiza Rockinghama, zamiast poczekać i otworzyć serce przed siostrą. Kiedy w gorączkowym pośpiechu opuszczała dom i poszukiwała środka transportu, nie pomyślała także, że markiz może nie zechcieć brać udziału w rozwiązywaniu jej problemów.

Zawarty przez nich rozejm był kruchy i na razie krótkotrwały. Poprzedniego dnia Adam z nią flirtował i - gdy Guy przekazywał okropne wieści o obrażeniach

Johna - sprawiał wrażenie, że jej współczuje. Hugo jest jednak synem ojca chrzestnego Adama i może on uznać, że to go zobowiązuje. Nie wspominając o tym, że to jej, a nie jego rodzina powinna stawić czoło Hugonowi. Mógł wspomnieć, że Sylvie ma przecież aż trzech szwagrów, którzy powinni ją wesprzeć, gdyby chciała oszczędzić zmartwień ojcu.

Te wątpliwości były uzasadnione, Sylvie jednak powtarzała sobie, że nie wierzy, by markiz odmówił pomocy. Zyskał sobie jej zaufanie, dochowując tajemnicy. Pomimo kłótni okazał lojalność i szacunek. Kiedy się dowie, jak okropnie potraktował ją Hugo Robinson, upora się z całą sytuacją. Była o tym przekonana. Jeszcze nie tak dawno lubił ją na tyle, żeby zaproponować małżeństwo. Gdyby nie jej godna pożałowania niedojrzałość, mógłby teraz być... jej mężem.

A jeśli nie zastanie Adama w domu? Przecież to prawdopodobne. W wiosenne popołudnie, przy pięknej pogodzie, ludzie pokroju markiza Rockinghama nie przesiadują w domach.

Zerknęła na pojazdy i na spacerujących StranDEM. Spojrzeniem wędrowała tu i tam, aż odkryła powożony przez stangreta lśniący powóz zaprzężony we wspaniałe czarne konie.

Już po sekundzie Sylvie dojrzała Adama i jego elegancką towarzyszkę z twarzą ukrytą pod szerokim rondem kapelusza. Prędko wydała woźnicy nowe polecenie,

- Co?! - zdziwił się dorożkarz. Niechętny ton wyraźnie

mówił, że nie zrozumiał, czego od niego wymaga kapryśna pasażerka. - Za kim?

Ściągnął lejce i dorożkarskie szkapę zwolniły.

- Za tamtym powozem, dwa kare konie... tam! - Sylvie wskazywała niecierpliwie palcem. Wychyliła się przez okienko i znów pokazała powóz, szybko oddalający się w przeciwnym kierunku. - Nie możesz po prostu zawrócić i za nim pojechać?

- Tak... tak... jasne, przecie mogę. To nic zawrócić w tym tłoku moją wyścigówką.

- Czy dodatkowy szyling wynagrodzi ci tę fatygę?

Sylvie posłała woźnicy uśmiech.

Spojrzał na nią przez ramię.

- Ryzykować połamaniem gnatów, no i szkapami, dla li czego szylinga? Niech tam, zróbmy z tego pół korony.

Sylvie szybko porachowała w myślach zawartość torebki i kiwnęła głową.

- Dobrze, to tamten, dwa.

- Wiem, wiem dwa kare - zakończył za nią dorożkarz tonem mężczyzny.

Kiedy ponury woźnica wreszcie zawrócił, nabrał sportowego ducha i pognął Stradem za wytwornym pojazdem markiza.

Sylvie chwyciła się siedzenia, bo dorożka podskakiwała na wybojach. Starła się nie słyszeć przekleństw towarzyszących ich przejazdowi. Nie ośmieliła się wyrzeć, wiedziała jednak, że i piesi, i pojazdy pierzchają przed pędzącą dorożką. Ostro skręcili, tak że Sylvie omal nie pole-

ciała na podłogę. Gdy tylko pożałowała, że w ogóle wprawiła w ruch tego wariata woźnicę, gwałtownie zatrzymali się w miejscu,

- Pani w środku chce pana, szefie.

Znaczenie tego śmiałego stwierdzenia dotarło do Sylvie dopiero po chwili. Skuliła się ze wstydu. Ostrożnie uchyliła zasłonę. Ujrzała Adama. Bez wątpienia zżerała go ciekawość, co za kobieta odważyła się nagabywać go w jasnym świetle dnia. Sylvie szybko opuściła zasłonkę.

Wyraz twarzy Adama powiedział jej wyraźnie, że takie uganiecie się za nim wcale mu nie pochlebiło. Choć wyjrzała tylko na moment, zdążyła dostrzec imponujący dom, przed którym się zatrzymali, jak również opuszczającą właśnie powóz urodziwą kobietę. Poznała i dom, i osobę. Dom odwiedziła niedawno jako mile widziany gość. Markiz Rockingham nauczył ją tam gry w remika, Sylvie wątpiła, by lady Burdett zaprosiła ją ponownie na karciany wieczorek, jeśli odkryje, kto tkwi w dorożce. Wyglądała na mocno niezadowoloną, że inna kobieta tak niegrzecznie zaczepia jej przystojnego towarzysza.

Sylvie usłyszała trzask drzwiczek. Woźnica beztrudko pogwizdywał. W pewnym momencie drzwiczki dorożki zostały uchylone tak, by nie wystawić pasażerki na widok.

- Ja,.. chciałam się z panem pilnie spotkać.

- Tak przypuszczałem.

- Ja.... ścigaliśmy pana - wymamrotała.

Adam wsiadł do dorożki.

- Tak, zorientowałem się i postanowiłem odkryć przy czynę.

Zamknął za sobą drzwiczki.

- Eee... dokąd? - zapytał woźnica urażonym tonem. - Pół korony nie wystarczy za przesiadywanie...

- Grove House, St James - polecił Adam, nie odrywając wzroku od czerwonej jak burak twarzy Sylvie.

Kiedy dorożka ruszyła, wychylił się przez okienko i polecił stangretowi czekać przy powozie.

Nadal zakłopotana sposobem, w jaki dorożkarz zagadnął Adama, Sylvie wydukała:

- Ja... przepraszam, że przeszkodziłam w spotkaniu z lady Burdett. Ona chyba... nie jest zadowolona. Oczekiwała, że ją pan odwiedzi?

Adam wzruszył ramionami.

- Być może, ale i tak musiałbym ją rozczarować. Miałem inne plany na popołudnie i po prostu odwiozłem ją do domu, kiedy jeden z jej koni okulał na Bond Street.

To nie do końca prawdziwe wyjaśnienie sprawiło, że Adam uśmiechnął się krzywo do siebie i zadumał nad dziwnymi zbiegami okoliczności. Właśnie gdy zwolnił, żeby grzecznie pozdrowić dawną kochankę, ta poleciła swojemu woźnicy sprawdzić stan siwków. I oto okazało się, że jednemu z nich pękło kopyto.

Deborah irytowała go, ponieważ nie chciała przyjąć do wiadomości, że już nie jest jego kochanką. Denerwowała go również myśl, że przyczyną, dla której już jej nie chce, jest... Popatrzył na jasny owal twarzy przysłoniętej rondem

kapelusza przed popołudniowym słońcem. Uśmiechnął się, a Sylvie odpowiedziała uśmiechem. Pełne wargi wygięły się, odsłaniając perłowe zęby.

Natychmiast ogarnęło go pożądanie i pomyślał, jak łątwo Sylvie mogłaby zyskać nad nim władzę. Okazała troskę o Jake'a, czym go wzruszyła. Jednak miała kochanka; miała też ambicję i ta strona jej charakteru nie przypadła mu do gustu. Szukała kandydata na męża, nawet dała Adamowi do zrozumienia, że to on mógłby nim zostać, lecz przecież kochała swojego farmera. Wpadła w rozpacz na wieść o niemal śmiertelnym pobiciu Johna Vancea.

Wtedy Adam zapragnął ją pocieszyć, wyrazić współczucie. Jednak ogarnęła go również zazdrość - inny mężczyzna posiadał jej serce i duszę. Teraz, jakby chcąc zaprzeczyć własnym silnym uczuciom, powiedział spokojnie:

- Nie miałem wczoraj możliwości wyrażenia żalu z powodu Johna Vancea. Ta wiadomość z pewnością panią wstrząsnęła. - Za odpowiedź musiało mu wystarczyć skinienie głową. - Mam nadzieję, że szybko i w pełni wydobrzeje. Jestem o tym przekonany - dodał, gdyż ujrzał w oczach Sylvie łzy.

Sylvie ponownie kiwnęła głową, okazując, że docenia jego troskę. Nadarzała się okazja, by wyjawić, że wie, kto dopuścił się tej tchórzliwej napaści i dlaczego. Wzdragając się przed ujawnieniem intymnych szczegółów, musiała to jednak uczynić, skoro zamierzała oskarżyć Hugona. Wiedziała, że Hugo będzie się bronił wszelkimi sposobami. Powie, że to ona go prowokowała i zachęcała.

- Nie chciałam panu przeszkadzać. Wiem, że nie powinienam działać tak impulsywnie, obawiam się jednak, że... taka już jestem.

Ukradkowe spojrzenie upewniło ją, że te niejasne przeprosiny nie zmieniły ani na jotę nastawienia Adama.

-Taka...?

Nagle Sylvia doznała olśnienia. Gdyby udało się sprawić, że Adam wzięłby udział w realizacji jej planu, rozwiązałoby to wszystkie problemy. Hugo jest tchórzem; nie przeciwstawi się markizowi Rockinghamowi. A John Vance zostałby przyjacielem lady Rockingham i Hugo nie odważyłby się go nękać.

- Taka, że przypomnę pańskie wczorajsze słowa - szepnęła.

Adam zmarszczył brwi.

- Czy powiedziałem coś, co panią zmartwiło?

- Nie, wcale nie.-Zapytał pan, czy proponuję panu małżeństwo.

- A proponowała pani?

-Tak.

Adam odchylił się na oparcie. Starł się ukryć emocje.

- No cóż, naturalnie jestem zaszczycony i pochlebia mi to, ale...

- Niech pan się ze mnie nie śmieje! Proszę się zgodzić, proszę. Kiedyś mnie pan chciał. Od tego czasu nie zmieniłam się tak bardzo... - Urwała, zastanawiając się, czy taka uwaga jest mądra. - Właściwie bardzo się zmieniłam, ale

na dobre - podkreśliła. - Nawet moja matka to przyznaje.
Będę dobrą żoną.

- Jestem pewien, że dobrą - potwierdził Adam nachylając się i opierając łokcie na kolanach - ale nie dla mnie.

- Dlaczego nie? - zapytała obcesowo.

- Powiedziała pani, że zmieniła się na dobre. Tak bezpośrednio przemawiał właśnie ten nieznośny dzieciak dwa lata temu.

- Przecież nadal jestem sobą. - Sylvie chwyciła dłoń Adama i odruchowo ją pogłaskała. - Wiem, że wciąż lubi pan... tę niemądrą dziewczynę. I że naprawdę chciał się pan z nią ożenić.

Okrasiała te słowa kokietyjnym uśmiechem.

- Skąd może pani to wiedzieć? - Spojrzenia niebieskich i brązowych oczu spotkały się, aż wreszcie to Sylvie odwróciła głowę. - Tak, powiedziała mi już pani kiedyś, że wiedziała, iż nie oświadczyłem się z poczucia obowiązku. Miała pani rację. Jest jednak pewien warunek. Jeśli się kiedykolwiek ożenię, Sylvie, chciałbym mieć żonę, która się nie wzdraga, gdy ją całuję.

- Ja się nie wzdragam - odpaliła.

- Właśnie, że tak. -

Nie chciałam...

- Ale to pani zrobiła.

- Przepraszam, to się nie powtórzy. - Spojrzała mu w oczy. - Przyrzekam, że się nie powtórzy ~ zapewniła drżącym głosem.

- To bardzo odważne - odparł spokojnie Adam - ale niepotrzebne.

- Przecież mi pan nie odmówi z takiego powodu. Zrobię, co pan zechce... wszystko. Przysięgam, będę dobrą żoną...

Adam zaklął, odepchnął jej dłonie i zaszył się w kącie kabiny. Sylvie niezręcznie odsunęła się w przeciwną stronę.

- Mała męczennica, prawda? - zakpił. - Wyjdzie pani za mnie, będzie mnie tolerować w łóżku, a kiedy skończę, marzyć o swoim farmerze.

- Nie, to nie tak! - zaprotestowała niepewnie. - John i ja... my... Nie jest tak, jak pan myśli! - zakończyła płacziwie.

- Kocha go pani, czyż nie?

- Tak, ale...

- Dlaczego nie chce pani trochę poczekać? - przerwał jej, nie chcąc słuchać dalszych wyjaśnień. - Niech pani za niego wyjdzie, Sylvie albo, na Boga, ujawnię, że jesteś małą wyrachowaną dziwką, dla ambicji i pieniędzy porzucającą ukochanego. Niech pani to zrobi! Nie mam już cierpliwości, by chronić pani sekrety. - Szarpnął nagle zasłonkę i wewnątrz dorożki załało jasne światło. Wyrzwał. - Jest pani już prawie w domu - wycedził. - Przepraszam, ale nie od prowadzę pani do drzwi.

Krzyknął na dorożkarza, żeby stanął, i wyskoczył na chodnik. Garść monet spadła na sfatygowaną skórę siedzenia.

- Niech pan zapłaci woźnicy zwykłą stawkę - usłyszała jeszcze Sylvie.

June westchnęła, wpięła igłę w haft i odsunęła tamborek.
- Pójdę na górę. Spróbuję namówić Sylvie, żeby zeszła na kolację - poinformowała.

- Lepiej zostaw ją w spokoju - poradził jej mąż, zamykając książkę, którą właśnie czytał. Podniósł szklaneczkę z whisky i upił łyk. - jej przyjaciela spotkała straszliwa przygoda. Wiesz, jak byli sobie bliscy. Musisz jej dać trochę czasu na pogodzenie się z tym zdarzeniem.

- Ale ja... nie jestem pewna, czy chodzi tylko o Johna Vancea. Kiedy wróciłam od pani Forster, Sylvie nie było. Wiem od Molly, że przedtem miała gościa. Hugona Robinsona.

- Nie sądzę, żeby twoja siostra go lubiła. - William sprawiał wrażenie skonsternowanego. - On musi mieć zadziwiającą siłę przekonywania, skoro zgodziła się z nim wyjść, i to bez przyzwoitki. Kiedy ostatnio widziałem ich w Hertfordshire, odnosili się do siebie wręcz wrogo.

June pokręciła głową.

- Nie wyszli razem. Molly powiedziała, że dżentelmen opuścił nasz dom wcześniej niż Sylvie. I nie zabawił tu długo. Sądzę, że Sylvie nauręgała mu i go odprawiła. Kiedy wróciła, wyjaśniła, że wyszła tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale powietrze jej nie pomogło, była bardzo przybita, jakb' płakała. Od tego czasu nie wystawia nosa z pokoju.

Osoba, która budziła ich troskę, przerwała nagle małżeńską rozmowę, pojawiając się w salonie. June natychmiast ruszyła do niej, żeby ją objąć.

- Właśnie opowiadałam Williamowi, jak mizernie wyglądałaś.

- Byłam zmęczona - odparła Sylvie ze słabym uśmiechem. - Czuję się już odrobinę lepiej.

- Świetnie! Może spacer jednak pomógł. - June poklepała siostrę po dłoni. Zaprowadziła ją do fotela, informując - Otrzymałam dziś list od mamy. Ma nadzieję, że u nas wszystko w porządku. Ma także nadzieję, że pewne lokalne wiadomości nie dotarły jeszcze do Londynu. Prosi mnie, żebym uważała i chroniła cię przed nimi.

- Chodzi jej o to, co przydarzyło się Johnowi. - Sylvie zarszczyła brwi. - Zapewne mama uważa, że ta wieść przeszkodzi mi w dotrzymaniu obietnicy poszukania sobie męża.

- Chodzi jej o to, żeby oszczędzić ci bólu, Sylvie, to wszystko. Wie, jak ty i John jesteście sobie bliscy. A nie wie, że Guy Markham już nam o wszystkim opowiedział.

Sylvie potwierdziła uśmiechem, że przyjmuje taką interpretację.

- Możesz zresztą sama przeczytać list.

June zerknęła na męża. William przerzucał strony książki zachowując taktownie milczenie, podczas gdy jego żona prowadziła rodzinną politykę.

- Czy mama pisze, co z Johnem?

- Jest wciąż nieprzytomny, w każdym razie był, kiedy pisała. Sądzę, że taki głęboki sen jest niezbędny przy obrażeniach głowy. - June miała nadzieję, że jej niefachowa

opinia jest rozsądna. - Oczywiście zanim list doszedł, stan zdrowia Johna mógł się poprawić.

- Tak, módlmy się o to - potwierdziła Sylvie. Po krótkim milczeniu ciężko westchnęła i zapytała: - Czy wychodzimy gdzieś dziś wieczorem?

June utkwiała wzrok w Williamie.

- Nie, jeśli nie chcesz. Możemy zostać w domu i pograć w karty albo szachy. Lubisz przecież szachy, Sylvie.

- Miło by było wyjść - zasugerowała Sylvie, okraszając to uśmiechem.

- Dobrze, skoro chcesz, możemy się wybrać do Vauxhall z Guyem i jego przyjaciółmi. Gdybyś wolała spokojniejszą rozrywkę, jest koncert muzyki Beethovena...

- Vauxhall mi odpowiada - przerwała jej szybko Sylvie.

- Bardzo się cieszę na spotkanie z Guyem

Rozdział czternasty

- Czy otrzymał pan z domu wieści o Johnie? - zapytała Sylvie swojego towarzysza na poły z nadzieją, na poły z lękiem.

Zawadiacki nastrój Guya przygasł. Mężczyzna wbił wzrok w ziemię. Kontynuowali spacer po ogrodach, pod kulistymi lampionami tańczącymi na kołysanych wiatrem drzewach. Wreszcie Guy głęboko westchnął.

- Nie zamierzałem do tego wracać, panno Sylvie, choć mam wiadomości lepsze niż ostatnio. - Głową wskazał oddalonego od nich o kilka jardów krępego, jowialnego męż-

czynę, dyskutującego żywo z przyjaciółmi nieopodal podium dla orkiestry. - Pomeroy właśnie wrócił po wizycie u Janet. Poinformował mnie, że pani przyjaciel odzyskał przytomność. Tyle dobrego. Ani śladu po złoczyńcy. To zła wiadomość. - Guy wyraźnie się rozpogodził, gdy zorientował się, że Sylvie chłonie każde słowo. - Żałuję, że wtedy od razu wszystko zrelacjonowałem. Nie mogę znieść myśli, że to ja przywiozłem złą nowinę i tak panią zasmuciłem.

- Ale teraz również pan przekazał mi lepsze - zauwa-

żyła Sylvie. - Bardzo mnie pan uradował i za to dziękuję.
- Spojrzała uważnie na Guya. - Czy John powiedział coś o napastniku?

- Niestety, niewiele pamięta. Może sobie przypomni, to wymaga czasu.

Sylvie w zamyśleniu pochyliła głowę. Czy rzeczywiście John nie potrafi sobie niczego przypomnieć, czy też milczy z obawy przed zemstą Hugona, na którą niewątpliwie by się naraził, przedstawiając go jako zbira i kłamcę? A może chroni ją, zachowując dla siebie informację o tożsamości przestępcy? Jedynym sposobem, żeby się tego dowiedzieć, jest powrót do Hertfordshire. Powinna porozmawiać z Johnem. Westchnęła ciężko na myśl, ile trudu musiałaby włożyć w przekonanie jego rodziców.

- Znow panią zasmuciłem.

Sylvie wzięła Guya pod rękę. Zamierzała zaprotestować, lecz jej słowa utonęły we wrzasku pary hałaśliwych hulaaków, którzy niebezpiecznie chybotliwym krokiem zbliżali się do nich z przeciwka.

Ogrody Vauxhall odwiedzali przedstawiciele wszystkich klas społecznych. Bogaci arystokraci w towarzystwie eleganckich dam, a także skromni urzędnicy z korpulentnym: żonami w wyjściowych niedzielnych strojach. Szum wodospadu mieszał się z gwarem, aż pierwsze takty walca stłumiły tę kakofonię.

Guy zwolnił kroku, żeby się rozejrzeć.

- Miło, że ludzie się dobrze bawią - zauważył dobrodusznie.

Sylvie odpowiedziała uśmiechem. John odzyskał przytomność! Już samo to wystarczyło, by ogarnęła ją radość. Nie ma nic złego w uczczeniu tej poprawy, zapewniła się w duchu. Ponownie ujęła Guya pod rękę. Lubię go coraz bardziej, pomyślała. Jest miłym dżentelmenem i na pewno - oceniła - będzie niezwykle lojalnym małżonkiem. Guy jednak nie ponowił oświadczyn, a ona nie chciała wprawiać go w zakłopotanie, przypominając mu o małżeńskiej propozycji.

Poza tym Hugo Robinson groził, że wyjawia jej niechlubny uczynek każdemu konkurentowi; wzdragła się na myśl o postawieniu Guya w tak nieprzyjemnej sytuacji. Gdy spa-cerowali w przyjaznym milczeniu, Sylvie zastanawiała się, jak Guy by zareagował, gdyby się dowiedział o nieszczęsnej ucieczce. Nie odrzuciłby jej, tego była pewna. Może nawet stanąłby w jej obronie.

Miała jeszcze czas, by się zastanowić nad wyjściem z kłopotliwej sytuacji. Jeśli nie wpadnie na żaden pomysł przed terminem wyznaczonym przez Hugona, opowie June i Wil-limowi o wszystkim, czego ona i John doznali od Hugo-na. Zmusi ich, by przyrzekli, że załatwią tę sprawę tak, by

oszczędzić rodziców.

Poczuła się rażniej, jednak dobry nastrój zmąciło przypomnienie upokorzenia, jakiego doznała zaledwie kilka godzin wcześniej. Z dziecięcą wiarą pokładała nadzieję w mężczyźnie, którego pochopnie uznała za swojego boha-tera. Dla niego zapomniała o dumie, a nawet się poniżyła. Tymczasem on bez skrępowania ujawnił swój prawdziwy

charakter, wykpił ją i obraził. Ośmieszyła się. Już dokładnie wie, co markiz Rockingham o niej sądzi.

Obmierzły typ! Zżymała się w myślach, złościąc się jednak również na siebie. Wierzyła, że mimo ich kłótni pomoże jej uwolnić się od Hugona. O święta naiwności!

Pocałunek! Dobre sobie! Dla niego liczy się żądza i nie powinno jej to dziwić. Nieustannie dochodziły do niej pogłoski o sławetnych Rockinghamach. „Rozpustnicy i dranie, każdy z osobna i wszyscy razem” - tak kiedyś ciotka Phyllis Chamberlain opisała ród wywodzący się ponoć od Mohocków - piratów i członków Klubu Ognia Piekielnego. Ciotka wprawdzie lubiła przesadzać, chyba jednak nie w tej kwestii.

Sylvie chciałaby wierzyć, że pocałunek może sprawić przyjemność. Zdawała sobie sprawę, że może być wspaniałą, nie tak jak wtedy, gdy Hugo przyprawił ją o mdłości. Od dnia, w którym Adam wziął ją w ramiona i pocałował, żyła nadzieją, że uczyni to ponownie. Gdyby ich dzisiejsza rozmowa potoczyła się inaczej, miałyby, być może, okazję, żeby mu to wyznać...

Teraz, rzecz jasna, wołałaby pocałować ropuchę! Ponadto zdawała sobie sprawę, że biegłość Adama w tym względzie wynikała z obmierzłej praktyki. Uniosła głowę i zagapiła się na światła tańczące wśród liści. Co ją to obchodzi? Adam jest przebrzydły, a ona go nienawidzi.

- Podejźmy do orkiestry? - Do zamyślonej Sylvie zbliżyli się June i William. - A może wolisz przyjąć zapro-

szenie pani Forster? Zarezerwowała dla swoich gości miejsca w restauracji.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Uraczyła siostrę promiennym uśmiechem.

- O, jest tu Adam - poinformowała June, stając na palcach, by spojrzeć nad głowami tłumu. - Przywitamy się z nim?

Zakładając, że siostra odpowie twierdząco, June pospieszyła w tamtą stronę.

Guy ruszył za nią, zatrzymało go jednak delikatne pociągnięcie za rękaw.

-Nie przeszlibyśmy się trochę? - usłyszał pytanie brzmiące niemal jak rozkaz. - Już dawno nie byłam w Vauxhall. Chciałabym obejrzeć groty i pawilony.

Guy zdziwił się, że mają zignorować przybycie jednej z najznamienitszych osobistości towarzystwa. Przystał jednak na propozycję.

- Później z nim porozmawiamy, prawda? - pochylił się i dodał szeptem: - Na pewno za nami nie tęskni. Najwyraźniej dobrze mu z panią Burdett.

Sylvie spojrzała przez ramię. Istotnie, Deborah Burdett, mocno uczepiona ramienia Adama, wpatrywała mu się w oczy. Sylvie nagle oświeciło. Oczywiście także w tej kwestii okazała się naiwna. Rzecz jasna młoda wdowa jest jego kochanką.

- Jego *chère amie* - wyszeptła do siebie.

- Jedna z wielu - potwierdził odruchowo Guy, który to usłyszał. Natychmiast zakrył sobie usta dłonią.

Poczerwieniał i nerwowo skubał fular, burząc jego nieskazitelną konstrukcję. - Nie chcę być niedyskretny ani niedelikatny - rzucił pośpiesznie. - Przypadkiem proszę nie mówić ojcu, że usłyszała to pani ode mnie. Byłby zażenowany.

Sylvie obdarzyła go smętnym uśmiechem.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Guy. Przecież nie sprawię panu kłopotu z powodu tak błażej kwestii. Zresztą, nie zdradził pan żadnej tajemnicy. Wszyscy wiedzą o markizie i jego kobietach... nieprawdaż?

- Ch... chyba tak - odparł Guy, odzyskując pewność siebie.

Nagle odciągnął Sylvie na bok. Przystanął dopiero na ustronnej, nieoświetlonej ścieżce i wyjrzał za żywopłot.

- Psiakrew! Właśnie zauważyłem, że ten typ Robinson zmierza w naszym kierunku. Mam nadzieję, że nas nie dojrzał. Obejdziemy się bez jego uciążliwego towarzystwa. Choć... muszę mu też oddać sprawiedliwość. Próbował odszukać bandytów, którzy napadli na pani przyjaciela Vance'a.

Guy nadał wyciągał szyję i dyskretnie się rozglądał.

- Co ty wyrabiasz, Markham, zobaczyłeś jakiegoś wierzyciela?

Guy i Sylvie natychmiast się odwrócili. Z ciemności wyłonił się markiz Rockingham.

- Cii! - Guy przyłożył palec do ust. - Za krzakami jest ten typ Robinson - poinformował cichym głosem. - Nie znoszę go, mimo że jest synem sir Anthony'ego. - Nagle kucnął. - Cholera, chyba mnie zobaczył.

Sylvie przebiegł zimny dreszcz.

- Ja też raczej wolałabym go uniknąć - szepnęła.

Myśl, że Hugo może ją znaleźć w ciemnościach, i to z dwoma niespokrewnionymi z nią dżentelmenami, kazała jej szukać schronienia. Uważał ją za swoją przyszłą żonę

i był wystarczająco zwariowany, żeby się zemścić za każdą wyimaginowaną niesubordynację. Adam wiedział o jej katastrofalnej w skutkach ucieczce, ale nie o innych sprawach. Czuli, że tylko ona sama mogłaby o nich powiedzieć Adamowi. Co do Guya miała nadzieję, że o niczym się nie dowie.

- Proszę zostać z markizem, ja go przegonię - szepnął Guy.

Przyjął bohaterską postawę i zanurkował w żywopłot.

Pełna niepokoju Sylvie wyjrzała przez otwór pozostały po sforsowaniu ściany krzewów przez Guya.

- Złowiła go pani? A może Robinson pojawił się w nieodpowiedniej chwili i wszystko zepsuł?

- Co takiego?

Sylvie odwróciła się, aż zafurkotał jedwab spódnicy.

- Założyłbym się, że zamierzała pani zwabić Markhama w ustronne miejsce, żeby przypomnieć mu o jego propozycji. Ponieważ ja odmówiłem, zakładam, że on jest drugi na liście.

Oburzenie zabarwiło czerwienią policzki Sylvie.

- No cóż, stracił pan szansę! - wybuchła. - Na pewno prędzej zostanę jego żoną niż pańską! - Wpadła jej do głowy pewna myśl. - Śledził nas pan, żeby go przede mną

ostrzec? - Gniew niemal odebrał jej głos; nie pozwolił również usłyszeć krótkiej, przeczącej odpowiedzi Adama. - Jak pan śmiał! - zawołała, przybliżając się do niego o krok. Jej oczy miały błyskawice. Zaciśnęła dłoń w pięści. - Zapytał mnie pan kiedyś, czy rozumiem, kim jesteś. Proszę pozwolić mi teraz odpowiedzieć. Jest pan najbardziej odrażającym arogansem, jakiego miałam nieszczęście...

Urwała, gdyż została nagle przyciągnięta do smukłego, choć muskularnego ciała, a gorące usta zawładnęły jej rozchylonymi wargami.

Odruchowo się przeciwstawiła. Mała dłoń poszybowała w kierunku twarzy Adama.

Zręcznie się uchylił i zaniósł śmiechem.

- Sprawdziłem tylko, czy była pani szczerą dziś po południu. Pamiętam, że oferowała mi pani pewne względy. A właściwie wszystko, co zechciałbym wziąć.

- To było, zanim zrozumiałam w pełni, jaki pan jest - odparła Sylvie. - Dla pana schowałam dumę do kieszeni ścigałam pana dorożką, zaproponowałam małżeństwo, a co pana zainteresowało? Tylko pocałunek!

- Za pocałunkiem kryje się znacznie więcej, Sylvie, dobrze o tym pani wie - zauważył Adam. - Proszę nie udawać przy mnie niewinnej; nie zdradziłem pani tajemnic... A może wolałaby pani zapomnieć o tym, że wiem o nocy którą spędziłaś z Vance'em w przydrożnej gospodzie?

- Niczego nie wiesz! - szepnęła z mocą Sylvie, przechodząc na ty. - Mierzysz każdego swoją miarką. Dlaczego nie

poszukasz pani Burdett? Wiem, że ceni sobie twoje towarzystwo bardziej niż ja.

Szybko odwróciła głowę, żeby się upewnić, czy za żywoplotem nie czai się Hugo, a potem rzuciła się do ucieczki.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Adam znużonym głosem, po czym złapał ją i zatrzymał.

Sylvie na próżno walczyła o odzyskanie swobody ruchów.

- Zamierzam odnaleźć siostrę i szwagra - odpowiedziała zimno.

- Sama? Czy masz świadomość, że tylko kobiety pewnej kategorii krążą bez towarzystwa po Vauxhall?

- Oczywiście! - odparła cierpkim tonem. - Ale nie wiem, po co mi to mówisz, skoro nazwałeś mnie dzisiaj dziwką.

Spostrzegła, że Adam z najwyższym trudem powstrzymuje się, żeby nie wybuchnąć. Uniosła dumnie głowę i ponowiła próbę wyrwania się z uścisku.

- Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, Sylvie - poprosił łagodnie.

- Dlaczego nie? Ty nieustannie wypróbujesz moją. Jeśli nie odprowadzisz mnie natychmiast do rodziny, przynajmniej mnie puść.

- Nie mogę.

- Niby dlaczego nie?

- Bo uciekniesz, zanim zdążę ci cokolwiek powiedzieć.

- Uważam, mój panie, że dzisiaj dość już mi powiedziałeś!

- Mamy problem, ponieważ nie wiem, czy powiedziałem za dużo, czy za mało.

- Chętnie ci to wyjaśnię. Nie zamierzam więcej wysłuchiwać twoich gróźb i zniewag. Jeśli zamierzasz zawieść nadzieję, którą w tobie pokładałam... zrób to. Wcale mnie to nie zdziwi - nie jestem już głupiutką dziewczynką, która uważała Adama Townsenda za przyjaciela. Rób, co chcesz, nic mnie to nie obchodzi! - dodała gniewnie, po czym zamilkła i odwróciła głowę.

-Przepraszam.

Sylvie spojrzała na niego uważnie.

- Za co? Za nazwanie mnie dziwką? Oskarżenie o podstępne polowanie na Guya? Za całowanie mnie w złości jakby za karę?

-Nie chciałem... to tylko desperacja, nieważne - odparł, dostrzegając jej zdumienie. - Przepraszam za wszystko - zakończył cicho.

Sylvie badała wzrokiem jego twarz, żeby doszukać się kpiny, on jednak spoglądał niemal z pokorą. Zbliżyła się o krok.

- Zatem dlaczego...?

Dzielił ich tylko krok.

- Jestem zazdrosny, moja droga, to wszystko. - Uśmiechnął się kwaśno. Uniósł powoli palec, by z niewysłowioną delikatnością pogłaskać alabastrową skórę jej policzka. - Nie, wcale nie wszystko. Jestem zły, bo wiem, że kochasz

kogoś innego, a mimo to jesteś gotowa wyjść za mnie za męża. To właśnie mnie nęka. Wiem, że większość małżeństw to w istocie przedsięwzięcia handlowe, że pragnienie, byś mnie pokochała, ośmiesza mnie tylko jako sentymentalnego głupca.... a jednak błagam o to. Zachodzę w głowę, dlaczego ty i Vance uciekliście, lecz...

- Żeby on zostawił nas w spokoju - wypaliła drżącym głosem. Patrzyli sobie w oczy dłuższą chwilę, aż poczucie

ulgi po tym odważnym wyznaniu skłoniło ją do dalszych wyjaśnień. - Myśleliśmy, że jeśli zostaniemy mężem i żoną, on nie odważy się już skrzywdzić nikogo z nas, ani słowem, ani czynem. Potem jednak w gospodzie natknęliśmy się na ciebie i... uzmysłowiłam sobie... że ta podróż nie ma sensu. John chciał jechać dalej, do Gretny; być może gdybym go wtedy posłuchała, nie zostałby napadnięty. To moja wina że jest teraz w takim stanie.

Ukryła twarz w drżących dłoniach i załkała. Przez chwilę Adam wpatrywał się w osłupieniu w jej jasną głowę. Niepewnie otoczył ją ramionami. Jej niecierpliwe ręce objęły go w pasie i przyciągnęły; jego ciało przy mowało na siebie jej drżenie. Głaskał ją powoli po plecach, aż wreszcie ujął pod brodę i zmusił, by popatrzyła mu w twarz.

- Wiesz, kto pobił Johna Vance'a? - spytał.

Sylvie kiwnęła głową i otarła z oczu łzy.

- Nie pierwszy raz. Nienawidzi Johna dlatego, że ja go lubię. Mnie także nienawidzi. Chce się ze mną ożenić tylko po to, żeby zadawać mi rany.

- Hugo Robinson?

Sylvie potwierdziła.

- Dzisiaj odwiedził mnie w Grove House. Biciem wy dobył z Johna nasz sekret i teraz wie o ucieczce. Grozi, że jeśli wkrótce za niego nie wyjdę, opowie wszystkim o tym skandalu... i o innych wstydlivych sprawach - zakończyła niemal bezgłośnie.

Złożyła głowę na ramieniu Adama. Łkając, przytuliła się do niego odruchowo.

- O jakich wstydlivych sprawach mówisz, Sylvie?

Uspokajające głaskanie po twarzy, po włosach, uspiło jej czujność, kazało zapomnieć o obawach. Napływały obrazy z przeszłości.

- Powiedział kiedyś, że jeśli spotkam się z nim w lesie, nie pobije Johna, że zostawi nas w spokoju. Ale kiedy tam poszłam... wcale już o tym nie mówił. Mówił o srośnych rzeczach, o tym, co muszę uczynić, żeby mu sprawić przyjemność. Nie pozwolił mi odejść. Podarł mi sukienkę i przewrócił na ziemię... upadł na mnie, gryzł i dotykał.

Przelknęła ślinę, gdyż znów ogarnęły ją mdłości.

- Próbował mnie pojąć, ale drapałam i kopałam, i... i kiedy puścił mi ręce, żeby rozpiąć spodnie, namacałam na ziemi kamień i uderzyłam go w głowę. Spadł ze mnie, klął, nazywał mnie dziwką, która będzie go zabawiać. Wykrzykiwał straszne rzeczy o tym, co się stanie z nami obojgiem. Udało mi się uciec.

Znów wstrząsnął nią płacz. Wczepiła się w Adama, jakby chciała, żeby ich ciała zwały się w jedno.

- To moja wina, że omal nie zabił Johna.

Adam przylgnął policzkiem do jasnej głowy Sylvie. Przez ściśnięte gardło wykrztusił:

- Nie, to nie twoja wina. Uwierz mi. Zareczam, że nie twoja.

Łapczywie wciągnęła oddech, coraz bardziej świadoma ciszy. Niezręcznie się wyprostowała, tak że wsparcie Adama stało się zbyteczne.

- Poza Johnem nikomu nigdy o tym nie opowiedziałam. Gdyby mój ojciec wiedział... ale on nie może... on nie czuje się dobrze. A mama? Umarłaby na samą myśl... Najlepiej

było nic nie mówić. Teraz nie wiem, co zrobić.

Po tym nieszczęsnym wyznaniu nerwowo zachichotała. Przyłożyła dłoń do ust, a potem otarła nią łzy, które znów płynęły po policzkach. Pociągnęła nosem. Postanowiła do-prowadzić się do porządku; miała potargane włosy i po-gniecioną sukienkę.

Adam wpatrywał się w nią oczami rozjarzonymi jak gwiazdy.

- Nie wiem, co począć - powtórzyła już spokojniej.

- Nieważne, kochanie. - Adam wreszcie wydobyl z siebie przepelniony czulością głos. - Ja wiem.

Rozdział piętnasty

- Przepraszam za tę uwagę, chłopcze!

Sir Anthony Robinson wsparł się mocno na lasce i kilkoma mozolnymi krokami pokonał odległość dzielącą go od syna.

Hugo zmusił się do milczenia. Postanowił trzymać nerwy na wodzy; przebiegle kalkulował. Wrzód na nodze ojca nie goił się, przeciwnie, jeszcze się powiększył. Nieważne, trochę poczekam, pomyślał. Ojciec skończy niebawem siedemdziesiąt jeden lat, a od dawna niedomaga.

Hugo dziedziczył po ojcu tytuł barona i nie mógł się doczekać, kiedy to nastąpi. Nieważne, że oznaczało to, iż sir Anthony odejdzie z tego świata. Uzyskał przecież tytuł i rodzinny majątek po skończeniu osiemnastu lat. Hugo osiągnął ten wiek przed pięcioma laty i uważał, że już najwyższy czas, by przejąć ster.

Grymas bólu na twarzy ojca kazał mu powściągnąć niecierpliwość i czekać. Przy odrobinie szczęścia

już wkrótce stary wyzionie ducha, a on obejmie swoje dziedzictwo. Nie będzie musiał pokornie prosić o kilka dodatkowych funtów kieszonkowego. Gdy tylko zostanie właścicielem Rivendale, wprowadzę kilka zmian, obiecał sobie, obrzucając pogardliwym spojrzeniem proste meble.

Okrasił przeprosiny skruszonym wyrazem twarzy.

- Przykro mi, ojcze, nie chciałem być niewdzięczny. Wiem, że jesteś hojny, ale mieszkam teraz w mieście. Tam wszystko jest droższe niż u nas na wsi. Wynajmuję mieszkanie przy Fenner Street i mam rachunki do zapłacenia. Muszę też pokrywać pewne dodatkowe koszty.

- Rozumiem, że to koszty pijaństwa i rozpusty, bo na cóż innego byś tyle wydał?

Ponizenie sprawiło, że na twarzy Hugona wystąpiły plamy. Opanował się jednak. Sir Anthony był człowiekiem

o nienaganych manierach. Skoro pozwolił sobie na tak grubiańską uwagę, musiał być wściekły na syna. W dodatku lady Robinson pracowała nad haftem w sąsiednim pokoju. W tych okolicznościach trudno wyciągnąć od ojca jakieś pieniądze.

Hugo pochylił głowę, tak jak powinien zachować się coś, kto został skarcony.

- Przyznaję, że mam różne przywary. A który młody człowiek ich nie ma? - Odwołał się do światowości ojca. W odpowiedzi sir Anthony spojrzł z troską, a Hugo dodał z chłopięcym urokiem: - Niedawno w Newmarket wygrałem ponad pięćdziesiąt gwinei.

Sir Anthony niecierpliwie machnął ręką.

-I straciłeś dwa razy tyle przy następnym rozdaniu, jak sądzę. - Pokora syna go nie udobruchała. Sięgnął do kieszeni i wydobył banknot o niskim nominale. - To wszystko, co dostaniesz ode mnie przed terminem wypłaty. I nie wracaj za dzień lub dwa z dalszymi prośbami.

Hugo szybko wsunął pieniądze do kieszeni.

- Dziękuję, ojciec - rzucił pośpiesznie przez ramię, za mykając za sobą drzwi biblioteki.

W holu natknął się na matkę, która najwidoczniej na niego czekała. Skinął jej głową i spróbował wyminąć.

- Tak wcześnie wyjeżdżasz? - zapytała.

Hugo potwierdził, nie odwracając się. Susannah Robinson pośpieszyła za synem, a gdy się zrównali, ujęła go za ramię.

- Dlaczego nie zostaniesz na kolację i nie wyruszysz jutro rano? To długa droga...

- Muszę jechać dziś, mam - przerwał jej niecierpliwie uwalniając rękę. - Mam ważne sprawy.

Susannah obserwowała wysoką sylwetkę. Kiedy zniknął jej z oczu, odwróciła się i ruszyła na poszukiwanie męża. Gdy dotarła do biblioteki, sir Anthony umieszczał właśnie swoje okazałe ciało w fotelu. Westchnął i puścił laskę, która upadła na podłogę. Żona ją podniosła i oparła o ścianę w zasięgu jego ręki.

Przemierzała tam i z powrotem dywan, rzucając spojrzenia na zmęczonego małżonka.

- Czy Hugo przyjechał zapytać, jak sobie radzimy?

Bezlitosny uśmiech poprzedził odpowiedź sir Anthonyego.

- Nie. Po prostu wydał wszystkie pieniądze.

- Londyn jest w sezonie towarzyskim kosztownym miastem - zauważyła.

- Nie to stanowi przyczynę, Susannah. Pobiera wysokie kieszonkowe. Inny młody człowiek za to, co mu dają, żyłby jak książę. Nawet gdyby wynajmował kosztowne mieszkanie. A on gnieździ się w taniej norze. Jest hulaką i utracjuszem, przecież doskonale o tym wiesz.

Susannah zajęła fotel naprzeciwko męża. Przez chwilę z roztargnieniem skubała nitkę obicia, potem powiedziała:

- Niekiedy zastanawiam się, gdzie się podział mój mały Hugo. Jako dziecko nie okazywał przesadnej wylewności, jednak od czasu powrotu z podróży po Europie, w ogóle nie ma dla nas czasu.

- Znajduje go, gdy czegoś potrzebuje.

Gorzka uwaga sir Anthonyego wyrwała z ust Susannah westchnienie.

- Jestem pewna, że małżeństwo go usatkuje. Sądzę, że wyjechał do Londynu z powodu Silver Meredith. Być

może, wydaje tak dużo, żeby popisać się hojnością, zaim-

ponować. To niezwykle piękna dziewczyna i na pewno ma wielkie powodzenie. Gloria lubi Hugona i poprzez ich związek.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny. Silver Meredith nie

ma zbyt dobrego zdania o moim dziedzicu, - Sir Anthony powiedział to otwarcie, powstrzymał się jednak od pozbawienia żony złudzeń co do przyczyny braku gotówki u ich jedynaka, - A z tego, co ostatnio widziałem i słyszałem, wynika, że nie można jej za to winić.

Susannah zachnęła się na tę uwagę.

- Są w sąsiedztwie jeszcze inne miłe młode panny, które byłyby zaszczycone jego wizytą. Powinien wrócić do domu i...

- Nie, nie powinien wracać - sprzeciwił się łagodnie sir Anthony. - W gruncie rzeczy nie wyjechał do miasta z własnej woli. Ja mu to zasugerowałem, gdyż doszły mnie pewne słuchy na jego temat. Opowieści o nagabywaniu kobiet i pijaństwie, o wybrykach w okolicznych wioskach.

Susannah zastanowiły zarówno te niepokojące informacje, jak i powaga w głosie męża. Postanowiła bronić syna nie zdołała jednak opanować drżenia głosu.

- Jest pełnokrwistym młodym człowiekiem, Tony, Musimy pogodzić się z tym, że zachowuje się nieco... impulsywnie. Zmieni się przy żonie, przy rodzinie... Jestem tego pewna.

- Chciałbym, żebyś miała rację, moja droga, naprawdę bym chciał - odrzekł ze smutkiem sir Anthony, po czym zmęczony, odchylił głowę na oparcie fotela i zamknął oczy. Liczył na to, że drzemka pozwoli mu zapomnieć o kłopotach z synem.

Hugo wszedł do holu budynku pod numerem dwunastym na Fenner Street. Wesóło gwizdnął na widok gospo-dyńi, która stała na schodach. Kiedy próbował ją ominąć, rozłożyła tłuste ramiona i zablokowała mu drogę przysadzistym ciałem.

- Zalega pan z czynszem, a także z opłatami za inne usługi.

Hugo zmierzył rozmemlaną kobietę wzrokiem pełnym obrzydzenia. Trzeźwy, widząc wyraźnie w dziennym świetle jej zniszczoną alkoholem twarz, zżymał się na myśl o innych usługach. Skorzystał z nich, i to nie raz, kiedy brak funduszy więził go wieczorami w pokoju. Brutalnie odepchnął gospodynię i ruszył po schodach na górę.

W obskurnym pokoju przysiadł na krawędzi żelaznego stolika i otworzył gazetę, którą przed chwilą kupił. Obojętnie przerzucił kilka stron, zastanawiając się, czy odrobina pochlebstwa może zaowocować porządną darmową kolacją u tej starej wiedźmy.

Wodził wzrokiem po ogłoszeniach, nagle coś przykuło jego uwagę. Przeczytał. Przeczytał raz jeszcze, zaskoczony. Z wciekłością zmiął gazetę i cisnął nią w ścianę. Wybuchnął najgorszymi przekleństwami.

Gwałtownie przemierzał pokój w tę i z powrotem, wreszcie znieruchomiał przy oknie. Niespokojnie przeniósł wzrok z przeciwległego dachu na niebo, potem z powrotem na komin. W końcu zapanował nad gniewem. Kości zostały rzucone. Nie będzie się martwił; żaden inny mężczyzna nie może jej mieć!

W dziesięć minut przygotował się do wyjścia. Gazeta została podniesiona i starannie wygładzona, kieszeń palta obciążona bronią. Opuścił Fenner Street, nie dbając o dodatkowy wydatek, zatrzymał dorożkę i kazał się zawieźć na Upper Brook Street.

- Mam nadzieję, że moja wizyta nie wypadła w niedogodnej chwili?

- Absolutnie nie. Oczekiwałem cię.

Powściągany gniew wibrujący w głosie Hugona pozostawił Adama nieporuszonym. Przymykając powoli oko, wycelował i precyzyjnym ruchem posłał bilę prosto do celu. Wyprostował się, oparł na kij i spojrzał na stojącego w drzwiach nieproszonego gościa. Nieznacznym ruchem głowy oddalił kamerdynera.

- Proszę wejść - rzucił, obserwując, jak jasnowłosy mężczyzna energicznym krokiem pokonuje próg.

- Oczekiwał mnie pan? - W głosie Hugona zabrzmiało zdziwienie. Podeszedł do wspaniałego dębowego stołu bilardowego i rzucił na zielone sukno gazetę. Wskazał palcem fragment. - A zatem to błąd? Może dowcip?

- Ani jedno, ani drugie - padła odpowiedź.

- Ona jest moja, przecież pan to wie! - Hugo podniósł głos. - Nie może mi pan jej ukraść! Nie pozwolę! Przecież opowiedziałem panu o nas w Hertfordshire,

Ostatnie zdanie wypowiedział już mniej pewnie. Adam zaczął powoli obchodzić stół w jego kierunku.

Niebieskie oczy Hugona badały twarz gospodarza, z któ-

nie dało się nic wyczytać. W ruchu markiza było jednak szczególnie denerwującego: wydawał się lekko balansować na stopach, przemierzając wypolerowaną posadzkę. - Pamiętam, co wtedy powiedziałaś. Moja narzeczona wyjaśniła mi tę kwestię, opowiadając o tobie. Adam znieruchomiał o jard od gościa. W dorożce Hugo kipiał gniewem, który zdawał się rozrywać mu pierś. Moralne prawo było po jego stro-nie. Nawet taki autokrata jak Rockingham powinien czuć się nieswojo, postępując niczym złodziej. Tymcza-sem w jego zachowaniu nie było śladu zakłopotania czy wstydu. Hugo zdusił kielkujące mu w głowie podejrzenie: Sil-
 vie Meredith może sobie być latawicą, jest jednak nie do zniesienia, żeby wyznała takiemu konkurentowi jak Ro-ckingham, że spędziła z kochankiem noc w przydrożnej gospodzie. A markiz może sobie być rozwiązły, lecz przecież nie pojmie za żonę kobiety upadłej. Dreczył go jednak niepokój; najwidoczniej nie docenił jej. Nie wierzył, że jest na tyle sprytna, żeby porzucić swojego kochanka dla człowieka wystarczająco potężnego żeby ją ochronić. Pozostali fatyganci, którzy się wo-
 kół niej kręcili, nie stanowili w ocenie Hugona zagrożenia. Rozpierzchliby się w chwili, w której by ujawnił, że to on Sylvie darzy przychylnością. Może tylko ten głupiec Markham próbowałby postępować rycersko, ale i on pręd-ko dałby się odprawić. Czując przewiercające go niemal na wylot spojrzenie

Adama, Hugo wziął do ręki bilę. Przybierając nonszalancką pozę, potoczył ją wzdłuż stołu, aż z hukiem uderzyła o bandę.

- Nie wiem, co panu o mnie opowiedziała. Sądzę, że okazałem pewną uporczywość w zalotach. Nie bez powodu - powiedział Hugo.

Adam uniósł pytająco brwi.

- To delikatna kwestia., - kontynuował Hugo. - Dość powiedzieć, że chronię jej dobre imię, oferując swoje nazwisko, zanim zaczną krążyć plotki. Być może nie jest pan świadom, iż ona ma reputację., określmę to... osoby zbyt pochopnej i impulsywnej.

- A to oznacza?

Hugo wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce.

- Nie może pan oczekiwać od dżentelmena ujawnienia tak delikatnych informacji o damie.

- Istotnie, ale ja pytam ciebie.

Zniewaga poruszyła Hugona. Przymknął oczy i wykrzywił usta. Nadszedł czas, by dumny markiz poznał brudne sprawy swojej wybranki. Hugo zamierzał opowiedzieć o incydencie w lesie, o tym, jak czuł pod sobą jedwabiste uda Sylvie. Jeszcze chwila, a pozbawiłby ją wtedy dziewictwa. Dziwne, ale odczuwał zadowolenie, że jednak do tego nie doszło. Oczekiwanie, aż ją posiadzie, nieodmiennie przyprawiało go o zmysłowy dreszcz.

Grymas zmienił się w uśmiech. Wkrótce zadowolony z siebie, zarozumiały markiz zacznie go błagać, by zabrał od niego tę zdziwę.

- No cóż, pożałuje pan, że tak naciska. Jej rodzice i siostry znienawidzą pana za to. Ona sama rzecz jasna też, kiedy się dowie, w jaki sposób wyciągnął pan ode mnie tajemnicę.

W odpowiedzi Adam niedbale wzruszył ramionami.

- Silver Meredith uciekła w tym roku z farmerem z okolic Windrush - ożenął się Hugo. - Zamierzali wziąć ślub w Gretna Green. Po drodze spędzili razem noc w go spodzie przy Great North. Niewiarygodne, ale ona potem zmieniła zdanie i za niego nie wyszła. Wrócili do domu, ryzykując nieodwołalne zrujnowanie jej reputacji.

Hugo uśmiechnął się triumfalnie i czekał na wybuch, który musiał nastąpić. -Coś jeszcze?

- Albo jest pan głuchy, albo sądzi, że kłamię.

-Słyszałem wystarczająco dobrze, a ty przedstawiłeś istotę rzeczy, choć nie całą historię. Hugo nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Wiedział pan?

- Oczywiście, sam uczestniczyłem w tym zdarzeniu. -
Co?

- Byłem w tej gospodzie. Panna Meredith przyjechała z Johnem Vance'em, żeby się ze mną spotkać.

Adam uśmiechnął się na widok pobladłej z wrażenia twarzy Hugona.

- Uważam, że teraz pan skłamał - wycodził przez zęby Hugo. - Naprawdę sądzi pan, iż uwierzę, że markiz Ro kkingham umówiłby się na schadzki w takiej dziurze?

- Nędzna nora, rzeczywiście - zgodził się Adam z niesmakiem w głosie. - Niemniej, taka jest prawda. Zresztą mój pobyt został odnotowany przez policjantów! Wezwałem ich, gdyż ze stajni gospody skradziono mi konia.

Twarz Hugona zastygła w masce; zrozumiał, że słowa Adama można potwierdzić.

- Nie wie pan wszystkiego - nie ustępował. - Nie zastanawiał się pan, dlaczego nadał chęć ożenić się z taką ładaczną? Ja pierwszy miałem ją pod sobą. W zeszłym roku, jeszcze przed tym wszystkim. - Hugo zaniósł się śmiechem i pokiwał żartobliwie palcem. - Nie opowiedziała panu zapewne, jak mnie błagała o spotkanie w lesie? Chętnie się swoimi wdziękami, kusila. To gorąca dziwka, Townsend, i zamierzam dokończyć raz rozpoczętego dzieła. Nie rozumie pan jeszcze?

- Obawiam się, że nie - odparł Adam i dodał groźnym tonem: -I nie waż się znów zbliżyć do mojej przyszłej żony,

Hugo przeczesał palcami włosy; nie posiadał się ze zdumienia.

- Była zepsuta, jeszcze zanim pan ją wziął. Leżała przede mną na plecach, kilka miesięcy temu, powtarzam panu. Naprawdę nie rozumie pan, co panu tłumaczę?

- Przeciwnie. Nie sądzę, żebyś ty zrozumiał, co ja powiedziałem. - Adam przemówił powoli, ostrym głosem. - Zamierzam poślubić Silver Meredith, a ty pomyliłeś swoich rywali. To nie Vance'a powinieneś pobić, lecz mnie. - Adam umieścił bilę na krawędzi stołu. - Nie jest jeszcze za późno,

żeby naprawić ten błąd. Proponuję spotkanie jutro o swi-cie w Baker's End. Moim sekundantem będzie Pemberton Jeśli znajdziesz przyjaciela, który zrobi to dla ciebie, doskonale. Jeśli nie, wynajmij sekundanta za pieniądze. Biorę za siebie załatwienie chirurga. Pistolety czy szpady? Może pięści, jeśli wolisz..

Hugo spoglądał na markiza z niedowierzaniem i strachem.

- Tylko ktoś niepoczytalny wpadłby na pomysł, żeby się bić o jedną z moich dziwek - powiedział.

Błyskawiczny cios zamknął mu usta. Upadł na stół bilardowy. Chwycił się oburącz dębowych krawędzi.

- Spotkasz się ze mną. Tu czy tam, dla mnie bez różnicy. Dokonaj wyboru, póki ci go oferuję.

Hugo zwiesił głowę i nagle zaczął się histerycznie śmiać. Po chwili wyprostował się i obojętnym ruchem wsunął rękę do kieszeni. Wyrwał ją z dzikim okrzykiem, błysnęła stal.

Adam zręcznie zszedł z linii ciosu, nóż jednak rozciął mu rękaw i skórę na ramieniu. Chwycił bilardowy kij i odparował następny ruch Hugona.

Walczyli w milczeniu przy dużym stole. Robili wypady i cofali się, na przemian rzucając się na siebie i uchylając przed ciosami, z nieugiętą zaciętością. W ciszy rozbrzmiewały tylko ich zdyszane oddechy i chrobot metalu uderzającego w drewno.

W pewnym momencie Hugo się potknął i upadł. Adam odstaąpił o krok, pozwalając mu wstać. Miał nadzieję, że

przeciwnik się podniesie, gdyż kara, jaką dotychczas mu zadał, była żałośnie niewystarczająca. Musi naprawdę pomścić Sylvie. Myśl o cierpieniach, jakie musiała znosić z powodu tego drania, była nie do zniesienia.

Z uśmiechem satysfakcji obserwował, jak Hugo dźwiga się na kolana, czepiając się nogi stołu. Zwiesił bezwładnie głowę, dochodząc do siebie po porażce.

Nagle skoczył podstępnie naprzód, mierząc sztyltem w Adama, który w porę się uchylił i zdzielił napastnika kijem w plecy, pozbawiając go oddechu i posyłając na dębowy parkiet.

Hugo, jęcząc, szukał noża, który upadł nieco poza jego zasięgiem. Podczołgał się, by chwycić rękojeść z kości słoniowej. Nagle zaskomlał z bólu i wykrztusił:

- Mój Boże! Chyba złamałeś mi rękę, Rockingham!
- Gdyby nie szacunek, jakim darzę twoich rodziców, byłby to kark.

Adam ledwie zerknął na bezwładną kończynę. Odłożył bilardowy kij na sukno i chwycił Hugona za kołnierz. Silnym szarpnięciem postawił go na nogi, brutalnie zaprowadził do drzwi i wyrznął w niego jego twarzą. Następnie, trzymając go za kark, powiedział:

- Jesteś draniem, ale tylko amatorem. Ja przeciwnie. Mam przewagę diabelskiej pirackiej krwi, która od setek lat płynęła w żyłach moich przodków. Żeby wszystko naprawić.- nie dbam o ciebie, mam na względzie jedy nie Silver Meredith i twoich rodziców - zrobisz dokład-

nie to, co ci powiem, i udasz się tam, dokąd ci każe. Rozumiesz?

Głowa Hugona poruszyła się w górę i w dół, szorując o drewno.

- Dobrze. Taka współpraca mi odpowiada. Być może ci się poszczęści i nie dowiesz się, jak bardzo niegodziwi potrafią być Rockinghamowie. Odwiozę cię teraz do domu, i po drodze omówimy szczegółowo nasze sprawy.

Rozdział szesnasty

- Masz mniej opuchniętą nogę.

Sir Anthony nie dał po sobie poznać, że w głosie syna usłyszał nutę rozczarowania. Siedząc w fotelu, wyciągnął chorą kończynę.

- Córka Meredithów, Isabel, przygotowała dla mnie ziołowe okłady. Przedwczoraj przyniósł mi je Edgar. Już w tak krótkim czasie istotnie złagodziły ból i zapalenie. Muszę napisać do tej dobrej duszyczki i jej podziękować.

Hugo zacisnął usta. Znow kobieta o nazwisku Meredith pozbawia go czegoś, co mu się należy. Perspektywa rychłego odziedziczenia tytułu zmalala po medycznej interwencji siostry Silver. U ojca, choć nie tryskał zdrowiem, nastąpiła wyraźna poprawa.

Zastraszony tym, co go niedawno spotkało, Hugo pozwolił sobie jedynie na przytyk pod adresem swojego prześladowcy, który odstawił go do Rivendale.

- Najpierw gość nie pokazuje się latami, a potem trudno go uniknąć.

Niegrzeczności tej uwagi nie złagodziła nawet udawali jowialność.

Sir Anthony zmierzył syna karcącym spojrzeniem. Powoli założył okulary i uniósł siwą głowę, by przyjrzeć się uważnie jego posiniaczonej twarzy i zabandażowanej dłoni.

- Widzę tylko, że tobie nie udało się kogoś uniknąć.
- Ostentacyjnie zwrócił się do chrześniaka: - Uradowała mnie twoja wizyta, Adamie. Jak zawsze jesteś najmilszym gościem.

Adam z szacunkiem pochylił głowę w uznaniu łaskawości sir Anthony'ego.

Hugo wcisnął dłonie w kieszenie. Spoglądał to na czarnowłosego dżentelmena opartego niedbale o kominek, to na rozpartą w fotelu krągłą postać rodzica.

Uraza Hugona wzrosła - ojciec skończył z okazywaniem mu niezłomnej lojalności. Pogodził się z myślą, że jego syn i dziedzic dopuścił się ciężkiej zbrodni i nie zamierzał chronić go przed sprawiedliwością i karą. Dawniej Hugo mógł przynajmniej usiłować manipulować ojcem, apelując do matki, teraz jednak chłodne spojrzenie seniora rodu informowało, że taki wysiłek jest próżny. Nagle Hugo obrócił się na pięcie. Opuszczając pokój, mruknął:

- Spakuję się przed podróżą.

Na krótko zapadła cisza, którą przerwał sir Anthony.

- Wiesz, kto go tak pobił?

- Wiem. Ja.. - padła odpowiedź, po której nie nastąpiły ani przeprosiny, ani wyrażenie żalu.

Sir Anthony w zadumie pokiwał głową.

- Rozumiem, że ta sprawa powinna pozostać tajemnicą dla jego matki?

- Tak - potwierdził stanowczo Adam.

- Zatem muszę ci podziękować za zdyscyplinowanie syna i, jak sądzę, za zabranie go z miasta, zanim zdążył bardziej nabroić. Przepraszam, że musiałeś wykonać za mnie to niewdzięczne zadanie. Gdybym miał dość charakteru, żeby wcześniej udzielić mu kilku niezbędnych lekcji, być może by do tego nie doszło. - Wyciągnięciem ręki uciszył Adama, który zamierzał zaprotestować. - Wiem, że zmusił cię do tego czymś szczególnie wstrętnym, ale jeśli nie muszę, nie chcę znać pożałowania godnych szczegółów. Zdradź mi tylko, czy zostaniemy wplątani w skandal. Powiedz prawdę, żebym mógł podjąć kroki niezbędne z uwagi na Susannah.

- Hugo obiecał, że na pewien czas wyjedzie za granicę. Jeśli zapewnisz, by dotrzymał słowa, sprawa jest zamknięta. Ja zadbam o naprawienie wyrządzonej krzywdy.

Sir Anthony dźwignął się na lasce. Dokuśtykał do okna i spojrzął na ogród.

-Byliśmy tak zauroczeni naszym małym chłopczykiem... moim ukochanym następcą... że nie przejęliśmy się zbyt, kiedy lekarz powiedział, że Susannah nie będzie już miała dzieci. - Odwrócił się, żeby spojrzeć na Adama. - Pamiętam, jak dziesięć lat temu twój ojciec ubolewał nad tobą. Nazwał cię rozwiązłym draniem.

- Nie mogę zaprzeczyć temu oskarżeniu, ale mam coś na swoje usprawiedliwienie: jak na Rockinghama, ojciec był dość pruderyjny.

- Jak na Rockinghama! - Sir Anthony zaniósł się śmiechem. - Jakże żałuję, że to nie ty jesteś moim synem - szepnął z uczuciem.

- Jak na młodą kobietę zaręczoną z najprzystojniejszym kawalerem w mieście, nie wspominając już, że z najstosowniejszym, nie wyglądasz na wystarczająco uszczęśliwioną.

- June wyjęła z dłoni Sylvie filiżankę z kawą, która zdążyła wystygnąć. Postawiła naczynie na stole śniadaniowym, i potem nachyliła się nad mahoniowym blatem, by poklepać dłoń siostry. - Trudno uwierzyć, żeby jakkolwiek młoda dama nie chciała Adama Townsenda za męża. Powiedz mi jednak, czy nie wychodzisz za niego z poczucia obowiązku, żeby zadowolić rodziców?

- Nie, przysięgam - odparła Sylvie z nieznacznym uśmiechem.

- Kochasz go? - zapytała otwarcie June.

-Tak, kocham.

June rozpromieniła się, lecz zląła siostrę.

- Sylvie, zachowujesz się tak, jakby miłość była udręką. - Przechyliła głowę i dodała: - Oczywiście małżeństwo przeżywa wzloty i upadki, ale z pewnością ma także cu downe momenty. - Zerknęła czule na synka pogrążonego we śnie na sofie. - Sądzę, że dostaniesz piękny pierścionek. Adam ma nienaganny smak, jeśli chodzi o biżuterię. Sylvie uśmiechnęła się ironicznie.

- Jestem pewna, że pani Burdett by to potwierdziła. Adam nie skąpi ani swojego smaku, ani hojności.

June skwitowała to zniecierpliwionym cmoknięciem.

- A już myślałam, że trapi cię coś poważnego. Posłuchaj, moja droga, przecież ty będziesz jego żoną. Poza tym ja nie myślałam o biżuterii tej pani. W zeszłym roku Adam kupił swojej matce rubiny. Miała je na sobie w pięćdziesiąte urodziny, były wspaniałe. - Widząc, że perspektywa otrzymania drogich kamieni pozostawia Sylvie obojętną, wes tchnęła. - Cóż, doskonale, skoro interesują cię takie bła hostki, wiem od Williama, że Deborah Burdett nie jest już kochanką Adama.

Sylvie niespodziewanie wstała.

- Zachowuje się, jakby nią była.

- Bo jest głupia. Zauważyłam, jak Adama drażni jej nachalność.

Sylvie krążyła po pokoju. Tu wzięła do ręki i odstawiła jakąś figurkę, tam oderwała płatek tulipana; jej ruchy odzwierciedlały gonitwę myśli. W gruncie rzeczy nie dbała zbyt o kochankę narzeczonego. Inne, ważniejsze troski zaprzętały jej umysł.

Od czasu gdy w Vauxhall opowiedziała Adamowi całą historię, nie szczędząc mu szczegółów, a on ponowił oświadczenia, nie spotkali się ani razu. Odprowadził ją do siostry i szwagra, po drodze zaś grzecznie powtórzył, że już dłużej nie powinna się martwić.

Wcześniej powiedział, że zapyta listownie jej ojca, czy zgadza się na ogłoszenie zaręczyn w gazecie. Zajmie się też Hugonem, zapewnił, głaszcząc jej kark i wywołując słodkie dreszcze.

Kiedy jednak, chwilę przed opuszczeniem zielonego schronienia, objęła go z wdzięcznością i uniosła głowę, oczekując na pocałunek, przyłożył tylko chłodne wargi do jej czoła. Uwolnił się z jej czulego uścisku i odprowadził ją do siostry.

Nadszedł i minął dzień, w którym Hugo miał ją odwiedzić i zmusić do małżeństwa. Oczywiście musiał przeczytać, jak wszyscy z towarzystwa, ogłoszenie o zaręczynach Sylvie z markizem Rockinghamem. Mimo że uważała Hugona za tchórza, wątpiła, by tak po prostu usunął się w cień, nie próbując zniweczyć jej przyszłego szczęścia.

Najwidoczniej ojciec odpowiedział szybko na pilny list, gdyż ogłoszenie o zaręczynach ukazało się już po kilku dniach. Gdyby nawet Sylvie nie była pewna reakcji rodziców na wieść o planowanym małżeństwie, wszelkie wątpliwości musiał rozwiązać list od matki, w którym napisała, że nie są nawet w stanie wyrazić radości, jaką wzbudziła w nich ta cudowna wiadomość. Kiedy tylko ojciec poczuje się lepiej, przyjedzie do miasta, by odpowiednio uczcić to wydarzenie. Trzeba poczynić przygotowania - te słowa matka wyraźnie podkreśliła - wyprawa, lista gości, dobór potraw i win... Och, przy okazji, dodała w postscriptum, John Vance szybko dochodzi do zdrowia.

- Przejedziemy się i sprawdzimy, ile dziś ściągniesz zdrosnych spojrzeń? - zaproponowała jej siostra.

Żartobliwy ton June wyrwał Sylvie z zamyślenia. Wspomnienie zakupów, jakie zrobiły poprzedniego dnia, raczej nie-
chęcało do wyjścia.

W magazynie z tkaninami spotkały inne młode damy polujące w tym sezonie na męża. Mimo uśmiechów i poprawnych słów było oczywiste, że są wściekle, iż panna Silver Meredith sprzątnęła im sprzed nosa najlepszą partię.

Ale jej towarzystwa pożądamy teraz z pewnością wszystkie londyńskie *grandes dames*. Pembertonowie znali najlepsze rodziny, a jednak June z satysfakcją poinformowała, że nawet notable spoza zwykłego kręgu ich przyjaciół bombardują Grove House zaproszeniami na wszelkie możliwe spotkania i przyjęcia. Na gzymsie kominka piętrzyły się wytworne karty

Podczas spaceru na Pall Mall spotkały Guya Markhama. Z charakterystyczną dla siebie smutną miną oświadczył, że cieszy go zwycięstwo najlepszego. Przerywając niechętnie pocałunek składany na dłoni Sylvie, wspomniał, że funkcja mistrza ceremonii weselnej byłaby dla niego zaszczytem. Po tych słowach oddalił się, żeby odciągnąć posepnego pana Shepherd, który najwidoczniej zamierzał ich zagadnąć.

- Zastanawiam się, czy William spotkał Adama w klubie - zauważyła wyraźnie rozdrażniona Sylvie; koniecznie chciała porozmawiać poważnie z narzeczonym.

- Jesteś zakochana! - filuternie skomentowała June. - Adam wkrótce wróci. Wyobrażam sobie, że ma teraz wiele spraw do załatwienia. Na pewno musi odbyć rozmowę z matką. Założę się, że ona również wcześniej o niczym nie wiedziała. Nie sądzę także, by poinformował już Jake'a; William wyjawiał, że ich stosunki ostatnio są dość napięte.

Sylvie zmarszczyła brwi.

- Odniosłam wrażenie, że Adam bardzo troszczy się o brata.

- Tak, na pewno. Problemy w ich relacjach powoduje ta kokietka, z którą Jake się ożenił.

June zdradziła sekret, zanim zdała sobie sprawę, że powinna go zatrzymać dla siebie.

Sylvie podeszła do okna. Zastanawiała się, czy uwaga siostry oznacza, że pani Townsend notorycznie zdradza kalekiego męża.

- Ach, oto dżentelmen, za którym tęskni moja siostra.

Sylvie obróciła się na pięcie, aż zafurkotała muślinowa suknia.

Na widok rumieńca na twarzy siostry June spróbowała się poprawić.

- To znaczy,.. ostatnio Sylvie bardzo cię brakowało.

Powóz Williama zatrzymał się przy Grove House minucie przed faetonem Adama i obaj dżentelmeni weszli razem do domu.

- Herbert powiedział mi przy śniadaniu, że drzewko pomarańczowe wydało pierwsze owoce - zwrócił się William do June. - Chodźmy do oranżerii i obejrzymy je, bo po kolacji mogą spaść.

Zmieszana żona z ulgą ujęła go pod rękę i wyszli.

Adam sprawiał wrażenie lekko rozbawionego. Sylvie rzeczywiście za nim tęskniła. Codziennie ubierała się elegancko i starannie układała platynowe włosy na wypadek, gdyby się pojawił. Teraz jednak była zawstydzona i niespokojna. Tak bardzo chciała, żeby pomiędzy nimi wszystko

dobrze się ułożyło! Pozostawały jednak do wyjaśnienia pewne kłopotliwe kwestie.

- Rzeczywiście za mną tęskniłaś, kochanie?

- Tak, bo są ważne sprawy, które muszę z tobą omówić

- wyjaśniła, panując nad głosem.

Adam się przybliżył; uważnie obserwował jej twarz.

- Jakie sprawy? - zapytał lekko.

Po krótkiej pauzie Sylvie spytała:

- Czy Hugo Robinson w dalszym ciągu sprawia kłopoty?

- Już nie musisz się nim przejmować, Sylvie. Oczywiście rozzłościły go nasze zaręczyny, ale ustąpił, kiedy napotkał na opór. Przekonałem go, że będzie dla niego lepiej, jeśli uda się w długą podróż po Europie, bez narażania się w Anglii na konsekwencje swoich czynów. Przypomniałem mu, że jego matka wspomniała kiedyś o radości, jaką sprawiła mu podróż na kontynent po ukończeniu uniwersytetu. Sądzę, że podejmie rozsądną decyzję i osiedli się gdzieś do czasu, aż odziedziczy Rivendale.

- Chyba musiałeś użyć mocniejszych argumentów.

- Tak, zwłaszcza że odwiedził mnie z nożem. Kiedy go wydobyl, nie było wyjścia, musieliśmy stoczyć walkę.

Twarz Sylvie wykrzywiło przerażenie; potem powiodła spojrzeniem po atletycznej sylwetce Adama. Ostry ton zdradził jej niepokój.

- Zranił cię? - zapytała.

- To nic, zadrapanie wymagające tylko kilku szwów - wyjaśnił z uspokajającym uśmiechem.

- Chcę to zobaczyć. Pokaż.

Adam zdjął surdut i podwinął rękaw batystowej koszuli

Sylvie delikatnie dotknęła rany.

- Tchórzliwy łobuz, zasługuje na karę, ale nie chciałam bym martwić jego rodziców.

- Ja również - zgodził się Adam, doprowadzając do porządku garderobę. - To wspaniali ludzie. Właśnie wczoraj wróciłem z Rivendale. Pogodzili się z myślą o wyjeździe syna.

- Adam ujął dłonie Sylvie i pogładził je czule. - Sir Anthony nie jest głupcem; już od dawna podejrzewał Hugona o różne występki. Wyjazd syna zapewni im trochę spokoju.

- Masz jakieś wieści o Johnie?

Adam potwierdził.

- Złożyłem też krótką wizytę twoim rodzicom. John szybko dochodzi do zdrowia, ale wygląda na to, że rzeczywiście nie pamięta tego zdarzenia i nie wie, kto go napadł. Zrobię co w mojej mocy, żeby mu zapewnić właściwą opiekę. Powinni go: zbadać lekarze wyspecjalizowani w urazach głowy.

- Jesteś dobrym człowiekiem - szepnęła Sylvie - a ja jestem ci wdzięczna za twoją pomoc, lecz...

-Lecz...?

Adam ponaglił ją cicho, uwalniając palce, które próbowała oswobodzić z jego uścisku. Sylvie przyjrzała się przystojnej męskiej twarzy.

- Nie mogę za ciebie wyjść.

- Czy zamierzasz mi wyjaśnić dlaczego?

- Tak, oczywiście - potwierdziła ulegle. - Poza tym, że jestem zbyt dziecinna, mam też swoją dumę. Nie wyjdę za

człowieka, który oświadcza się ze współczucia lub z grzeczności, a nawet z godnej szacunku rycerskości. Oczywiście bardzo ci dziękuję.

- Czy takie jest twoje zdanie o moich uczuciach? Współczucie, uprzejmość i rycerskość?

Na nowy ton w jego głosie Sylvie poczuła, że oblewa się rumieńcem. Dała mu szansę. Mógł się teraz wycofać albo powiedzieć, że nie dba o to, co się jej przydarzyło, bo... ja kocha.

Milczał jednak i czuła, jak pod jego spojrzeniem rumieniec rozlewa się na jej policzkach. Wydęła usta.

- Wiem, że tak naprawdę nie chcesz się ze mną ożenić.

-A niby skąd?

-Wiem tak samo, jak dwa lata temu wiedziałam, że chcesz - odparła szybko. - Nie zamierzasz mnie już pocałować, w każdym razie nie tak jak trzeba.

- Pamiętam, że ostatnio oskarżyłaś mnie o to, że nie przywiązuję zbyt dużej wagi do pocałunków.

Na to niezbyt szarmanckie przypomnienie rumieniec na twarzy Sylvie pociemniał.

- Jeśli tylko to cię martwi, Sylvie, łatwo mi będzie wyprorowadzić cię z błędu.

Przybliżył się do niej ze zmysłowym błyskiem w oku.

Sylvie cofnęła się za sofę. W Vauxhall tak bardzo pragnęła, żeby ją przytulił. Chciała czuć na skórze jego palce, jego gorące usta na swoich. Chciała również, by pocałował ją żarliwie, mocno, tak jak wtedy, gdy zmusił ją do okropnego wyznania

o tym, w jaki sposób obszedł się z nią Hugo. Nade wszystko jednak pragnęła usłyszeć dwa magiczne słowa.

- Wiem, że masz wprawę w całowaniu, ale mnie nie zwiedzisz. Nie chcę, żebyś wyświadczał mi grzeczność czy tylko zaspokajał moją próżność. - Przerwała i obdarzyła go uśmiechem. - Rozumiem. Gdybym była bogatym markizem otoczonym debiutantkami, nie chciałabym żony wykorzystanej przez innego mężczyznę. Myśl o całowaniu mnie na pewno cię mierzi.

Adam wsunął ręce w kieszenie i spojrzał na Sylvie, nie kryjąc złości. Po chwili odwrócił się i ruszył do drzwi.

Sylvie zacisnęła usta, żeby powstrzymać słowa, które nie tylko by ją poniżyły, lecz także nie pozwoliły Adamowi się wycofać.

- Być może masz rację - powiedział chłodno, przystając przy drzwiach. - Jeśli posądzasz mnie o taką hipokryzję i nieszczerłość, równie dobrze możemy nie przeżyć razem reszty życia. W zeszłym miesiącu, kiedy przybyłaś do Londynu, wydawałaś się bardziej dorosła. Okazało się, że to pozory. Nadal jesteś dzieckiem, skoro chcesz mnie porzucić tylko dlatego, że...

- Nie tylko! - krzyknęła. Jak on śmie okazywać jej lekceważącą wyższość? - Nie możesz udawać, że jesteś chodzącym ideałem - stwierdziła. - Kiedyś twoja zła reputacja i miłosne podboje nawet mi imponowały, przyznaję. Ale teraz już nie. Żartowałam sobie, mówiąc, że chciałabym męża cieszącego się względami pań. Naprawdę wolałabym takiego, który jest lojalny i wierny.

Adam postąpił o kilka kroków w głąb pokoju.

- Doszliśmy do sedna - stwierdził spokojnie. - Rozmawiałaś o mojej rodzinie z June? Może tematem tych rozmów była w szczególności moja bratowa?

Zdziwiona Sylvie uniosła brwi, przyznała jednak uczciwie:

- Tak, wspomniała, że twoje stosunki z bratem utrudniała kokietka, jego żona.

Adam smutno się uśmiechnął.

- Twoja siostra potrafi wynajdywać łagodne określenia. Rzeczywiście z jej powodu brat mnie nienawidzi. Oskarżasz mnie zatem, że mierzi mnie myśl o pocałowaniu ciebie, podczas gdy jest akurat odwrotnie. Twierdzisz, że nie chcę cię poślubić, a to ty chcesz zachować wolność. Czy posłużyłaś się mną do usunięcia z drogi Hugona Robinsona po to, by móc się połączyć ze swoim farmerem?

-Nie!.

- Ja cię nie zwodzę, za to ty z łatwością robisz ze mnie osła.

-To nie tak!

Sylvie załkała. Rozległ się huk drzwi zatrzasnkujących się za Adamem. Dalsze wyjaśnienia były niemożliwe.

Rozdział siedemnasty

Przez szparę w aksamitnej zasłonie Sylvie obserwowała matkę, której służący pomagał pokonać stopień powozu. June była następna; skorzystała z ramienia męża. Dołączyli do nich ojciec i William. Pojazd ruszył, by zawieźć rodzinę na wieczorek muzyczny u Deborah Burdett.

Zanim jeszcze woźnica zmusił konie do kłusa, w okienku powozu pojawiło się zasmucone oblicze Glorii Meredith. Spoglądała na oświetlone okno pokoju córki. Na widok łez błyszczących na policzkach matki Sylvie ogarnęło poczucie winy.

Zaciągając na powrót ciężką zasłonę, przymknęła oczy, gdyż gniewne słowa, których musiała wysłuchać po południu, zaatakowały ponownie jej znękaną głowę.

„Musisz z nami pojechać! Markiz Rockingham z pewnością przybędzie na koncert u pani Burdett. Znajdź okazję, by porozmawiać z nim sam na sam, i przeproś go. Nie zwrócił się na razie do twojego ojca o oficjalne zerwanie zaręczyn. Jeszcze nie wszystko stracone. Och, nie mogę uwie-

rzyć w twój postępek! Co z tobą, dziewczyno? Zamierzasz okryć nas wszystkich hańbą z powodu tej samolubnej błazenady?"

Sylvie zniosła cierpliwie połajankę. Musiała znaleźć sposób, by wytłumaczyć matce, że nie wszystko dzieje się z jej winy. Wyjaśnienie przyczyny rozdźwięku pomiędzy nią a Adamem wymagałoby jednak ujawnienia całej gorzkiej prawdy o próbie zgwałcenia przez Hugona, jak również faktu, że Adam tę prawdę zna. Wymamrotała więc tylko coś o nieporozumieniach, jakie między nimi powstały, i wymówiła się od koncertu migreną.

Sylvie nie obawiała się wizyty u kochanki Adama. Instynktownie czuła, że Deborah Burdett już jej nie zagraża. Gdyby Adam ją kochał, z pewnością zdążyłby uczynić ją swoją żoną.

Chęć pozostania w domu wynikała z zupełnie innego powodu. Żalosna nadzieja matki, że jeszcze nie wszystko stracone, znajdowała odzwierciedlenie w jej własnych tęsknych myślach.

Choć znów się pokłócili, Sylvie czuła, że Adam jest bardziej zraniony niż zły. Podobnie jak ona. Kobieca intuicja podpowiadała, że pragnął zapewnień o miłości tak samo jak ona.

Miał irytujący zwyczaj wychodzenia w gniewie, zanim zdołała mu cokolwiek wytłumaczyć albo zażądać wyjaśnień od niego. Nieznaczny uśmiech rozciągnął jej miękkie usta, kiedy zdała sobie sprawę, że markiz Rockingham nie jest już kimś obcym. Zaczynała go dość dobrze rozumieć.

Być może, gdyby Adam odkrył, że tkwi samotna w Grove House, opuściłby chyłkiem koncert i odwiedził ją. Tak, to do niego należy pierwszy pojednawczy ruch. Wielkoduszne zwróciła mu wolność. W zamian oskarżył ją o wyratowanie i próbę ośmieszenia. A przecież nie postąpiłaby tak podle. Kochała go szczerze. Nie będzie się jednak przed nim płaszczyć tak jak wtedy, gdy goniła go dorożką, a następnie się oświadczyła.

Sylvie zerknęła na zegar i, zirytowana, owinęła lok wokół palca. Szeroka mosiężna wskazówka przesunęła się na cyfrę i rozległo się dziewięć uderzeń. Zaciśnięła usta. Dziecinna nadzieja, że jej narzeczony opuści towarzystwo, że-by spróbować się z nią pogodzić, rozwiąła się jak popiół na wietrze.

Przez ostatnie dwie godziny Sylvie wertowała żurnale, wyplakując się w chusteczkę, która zmięta i wilgotna leżała teraz na podłodze. Usiłowała nawet czytać nową powieść wypożyczoną z objazdowej biblioteki.

Jej uwagę przykuła karafka z maderą. Matka korzystała z niej, by ukoić nerwy po sprzeczkach z ojcem. Cóż, skoro jestem na tyle dorosła, żeby mieć narzeczonego, uznała, i cierpieć przez tego cholernika... Śmiało napełniła kieliszek i pociągnęła łyk. Zakrztusiła się, gdy trunek zapiekł ją w gardle, z determinacją jednak zmusiła się do wypicia następnego.

Po kilku minutach miłego odprężenia uznała, że wielkoduszność nie boli. Zapomni o dumie i skreśli kilka słów. Wyjaśni, że John był jedynie jej przyjacielem. Zręczne sfor-

mułowania rozdziły się płynnie w jej głowie. Dołała sobie jeszcze nieco madery i zabrała kieliszek do biblioteki.

Tak wielkie poświęcenie nie pozostawi go obojętnym, uznała, gdy chwiejnym krokiem dotarła do dorożki i zajęła w niej miejsce. Podczas gdy on się zabawia - rozchwytywany przez panie, bez wątpliwości - ona znów ryzykuje swoją reputację, wymykając się z domu, żeby dostarczyć ukochanemu *billet doux*.

Z westchnieniem opadła na poduszki, dumając nad swoją cudownie nieustraszoną naturą, podczas gdy dłonie usiłowały chłodzić rozgrzane napojem policzki.

Przed opuszczeniem domu, natchniona duchem przygody, włożyła najnędniesze ubranie, rozumując, że skromnie przyodziana kobieta, być może załatwiająca jakąś sprawę, samotna na wieczornej ulicy, wzbudzi mniejsze zainteresowanie niż modnie wystrojona młoda dama. Mocniej naciągnęła na twarz kaptur brązowej peleryny i ostrożnie wyjrzała na spowitą zapadającym zmrokiem ulicę.

Na Upper Brook Street zamglone wieczorne powietrze i widok nieprzystępnej fasady wspaniałej miejskiej siedziby markiza Rockinghama osłabiły jej wyostrzoną winem odwagę. Szum w głowie ustał i Sylvie wróciła trzeźwość umysłu. Nie była już heroiczna, lecz zmartwiona. Wyglądała się. Jej samotna wyprawa do Mayfair była przejawem lekkomyślności, której nigdy by się nie dopuściła, gdyby nie chęć utopienia smutków w maderze.

Przybliżała się jakaś krocząca ramię przy ramieniu para. Sylvie skuliła się przy ogrodzeniu. Udała zajęta odczytywaniem kartki, którą sama napisała, jakby sprawdzała adres. Rzut oka spod kaptura upewnił ją, że jej bezbarwna postać nie zwróciła uwagi przechodniów.

Rozważyła sytuację. Dotarła już tak daleko... Jeśli zleknie, nie dostarczając swojego listu, cały wysiłek pojdzie na marne. Głęboko odetchnęła, porzuciła obawy i wspięła się po kamiennych stopniach, by zastukać w ogromne drzwi.

Niemal natychmiast otworzył je odzwierny we wspaniałym szamerowanym złotem uniformie. Zanim Sylvie zdążyła wykrztusić słowo, mrugnął do niej i szepnął:

- Powinnaś była skorzystać z innych drzwi! Szybko, uchodź, zanim pan Bartholomew zorientuje się, jak jest późno. Masz szczęście, że kiepsko się czuje. Ma na dzisiaj ropień wielkości jajka.

Gadatliwy młodzieniec wydał policzek, żeby zademonstrować schorzenie kamerdynera.

Sylvie wyciągnęła tylko do niego rękę z przesyłką, zbyt zdenerwowana, by się zastanowić nad tym dziwnym powitaniem.

- Mógłbyś to doręczyć?
- Musisz przedstawić swoje rekomendacje panu Bartholomew - przerwał jej służący, nie przyjmując cennego listu.
- Zazwyczaj zajmuje się tym pani Hooper, ochmistrzyni, ale jej nie ma, bo wzięła wolne z powodu pogrzebu.
- Nie... posłuchaj, proszę, nie rozumiesz...

Nagle lokaj chwycił ją za ramię i wciągnął przez próg,
 - Właż, na Boga - wychrypiał ze złością, poprawiając perukę, która przekrzywiła się mu na głowie od gwałtownego ruchu. - Nic nie poradzę, lepiej się pośpiesz. Bartholomew ma fisia, jeśli chodzi o punktualność.

Sylvie szarpnięciem oswobodziła ramię. Trzęsła się. Przebranie się za prostą kobietę to jedno, ale wzięcie jej za służącą: coś zupełnie innego.

-Nazywam się Hobson - oświadczył lokaj, nachylając się, żeby zajrzeć pod jej kaptur. - Nie wstydź się, niech ci się przyjrzę.

Wyciągnął rękę, żeby zsunąć kaptur z jasnych włosów.

Sylvie gwałtownie plasnęła w impertynencką dłoń.

- Czy ktoś mi wyjaśni, co tu się dzieje?

Nabrzmiała zdumieniem ciszę przerwały powodujące niesamowite echo kroki na kamiennych płytach.

Sylvie zamarła, poznając głos osoby, która nadeszła z głębi domu. Spiorunowała wzrokiem odźwiernego, którego ręka znieruchomiła w powietrzu dokładnie tam, gdzie została odepchnięta przez Sylvie.

Okazały żyrandol rzucał łagodną poświatę na alabastrowe powierzchnie ścian. Sylvie widziała wyraźnie twarz Hobsona. Był mniej więcej w jej wieku i sprawiał wrażenie przerażonego. Sylvie zgadła, że po raz pierwszy w życiu pan domu zwrócił się do niego bezpośrednio.

- Pan Bartholomew ma ropień, proszę pana - wychrypiał. - Tindalla boli brzuch, inaczej byłby na służbie... a co do pani Hooper...

- Oszczędź mi wyliczania .nieszczęść, jakie dotknęły resztę personelu. - Markiz Rockingham wsparł się dłonią o piękny marmur. - Rozumiem, dlaczego otworzyłeś drzwi. Chcę się natomiast dowiedzieć, co takiego zrobiłeś, że ta kobieta cię uderzyła? Kim ona jest?

- Nic nie zrobiłem, słowo daję, proszę pana. Tylko wciągnąłem ją do środka, żeby móc zamknąć drzwi. To Sandra Riley, nowa dziewczyna do pomocy. Kobietami zajmuje się pani Hooper, ale zwolniła się na pogrzeb.

Sylvie głęboko odetchnęła. Mogła albo tchórzliwie uciec, albo ujawnić swoją tożsamość i oszczędzić Hobsonowi kłopotów za to tylko, że chciał uchronić Sandrę Riley przed utratą pracy. Gdzież ona się zresztą podziewa? Sylvie pod-jęła decyzję. Odwróciła się i ściągnęła kaptur. Natychmiast uniosła dumnie podbródek i spojrzała na mężczyznę, który był nadal - albo nie był - jej narzeczonym.

Jeśli jej widok go zaskoczył, co byłoby, przyznała w duchu, w pełni uzasadnione, nie dał tego po sobie poznać. Być może alkohol spowolnił jego reakcje, podobnie było

w jej przypadku. Z pewnością pił; świadczył o tym jednoznacznie kieliszek, który trzymał w dłoni. Nie był elegancko ubrany: zawinięte rękawy białej koszuli odsłaniały muskularne opalone przedramiona. Z pewnością nie oczekiwał gości.

- Sandra Riley... zadziwiająco ryzykujesz swoją reputację, moja droga.

- Wiem. Powiedziałam ci już, że mam zwyczaj działać śmiało - odparła nieco niepewnie.

Miała świadomość, że Hobson wybałusza na nią oczy i z otwartymi ustami usiłuje zrozumieć dziwny dialog po między swoim znamienitym panem a nową służącą.

W przyływie odwagi Sylvie wkroczyła do chłodnego białego holu.

- Byłam pewna, że jesteś na wieczorku muzycznym u pani Burdett. Zamierzałam pod twoją nieobecność zostawić list.

Adam ospale wyciągnął rękę, drugą zaś uniósł kieliszek z brandy do ust.

Sylvie zacisnęła palce na kopercie.

- Nie, teraz to bez znaczenia - orzekła. - To tylko mój kolejny błąd, nic więcej. - Wsunęła list na powrót do obszernej kieszeni peleryny. - Przepraszam, że cię niepokoiłam. - Wdzięcznie ruszyła z powrotem do drzwi. - Pozwól mi wyjść.

Obrzuciła wzrokiem masywną klamkę. Jeśli Hobson będzie się ociągał, wykona za niego jego obowiązek.

Hobson wpatrywał się w swojego pana, oczekując na wyraźne polecenie. Z ulgą dostrzegł, że Adam odsyła go ruchem głowy do pomieszczeń dla służby. Stwierdziwszy, że nie odzyska wolności, Sylvie odprowadziła wzrokiem Hobsona. Adam, zmierzając do niej, odstawił kieliszek na ozdobny stolik. Prędko dopadła klamki. Ciężki dąb ustąpił na kilka cali po to tylko, żeby zatrzaskać się z powrotem pod naciskiem ręki przyłożonej do wierzeł nad jej głową.

-Wypuść mnie!

- Nie.
- Wypuść natychmiast.- zażądała.
- Dlaczego płaczesz? - zapytał cicho Adam.
- Sylvie otarła łzy.
- Nie płaczę! Dobrze, płaczę, ale tylko ze złości. -
Na mnie?
- Trochę - przyznała uczciwie, pociągając nosem. - Ale przede wszystkim na siebie.
- Dlaczego?
- Dlatego, że znów zachowałam się głupio! Już drugi raz próbowałam naprawić wszystko między nami. Teraz twoja kolej.
- Tak, wiem, że moja. Nie mogę nawet powołać się na godną pożałowania niewiedzę - odparł z łagodną ironią.
- Możesz się za to powołać na godną pożałowania arogancję - odpowiedziała mu gniewnie.
- Fakt - pobłażliwie zgodził się markiz - ale ta choroba nie jest poważna, kochanie. Ufam, że masz na nią lekarstwo.
- Błądził wzrokiem po twarzy Sylvie, napawając się jej pięknem.
- Postąpiłaś bardzo odważnie, przychodząc tutaj, żeby wyciągnąć rękę na zgodę, a zarazem niemądrze, lecz przecież esencją każdego odważnego czynu jest ryzyko. - Naturalnym ruchem starł z jej policzka łzę spływającą do ust.
- Zawstydziałaś mnie. Po południu już się do ciebie wybie rałem, lecz powstrzymała mnie ta przekłeta duma. Skoro ty tu jesteś, chcę z tobą porozmawiać i... przekonać cię.

Sylvie zwróciła na Adama błyszczące od łez oczy; przez zapierający dech w piersi moment sądziła, że ją pocałuje.

Był tak blisko! Odpowiedziała na jego magnetyzm, jej ciało skłoniło się ku jego ciału. Nagle się wyprostował, jakby przypominając sobie, że może ich dojrzeć każdy służący któremu się zachce podglądać.

- Zostaniesz ze mną? - zapytał chrapliwie.

Sylvie nieznacznie kiwnęła głową. Odchrząknęła i powiedziała:

- Nie mogę oczywiście zabawić długo, bo moja nieobecność się wyda i znów wywołam zamieszanie.

- Chodź, za holem jest mała biblioteka. - Adam ujął ją pod rękę i delikatnie odciągnął od drzwi, - Kiedy przybyłaś, siedziałem tam przy kominku.

W pokoju wyłożonym dębową boazerią Adam zaprowadził ją do fotela przy ogniu. Sam stanął blisko, ze stopą na osłonie paleniska.

- Dlaczego byłaś taka pewna, że odwiedzę panią Burdett?

Sylvie uznała, że to pytanie ma na celu ustalenie jej własnej roli w jego życiu. Nie zaprotestowała jednak; w tym momencie mogła się zdobyć już tylko na szczerość.

- Wiadomo, że jest twoją kochanką. Dlaczego nie miałbyś wysłuchać u niej koncertu?

- Deborah jest moją przyjaciółką, nikim więcej. Tak samo jak, mam nadzieję, John Vance jest twoim przyjacielem, i nikim więcej.

- Tak zawsze tak było - potwierdziła z mocą. -

Kocham

go, ale nie... To znaczy bez romantycznej pasji. Kiedy zatrzymaliśmy się na noc w gospodzie przy Great North, traktował mnie z szacunkiem. Pocałowaliśmy się, lecz nie próbował mnie uwieść. Zawsze mu ufałam. No i oczywiście wolałabym wyjść za niego niż za Hugona Robinsona.

- Jestem mu bardzo wdzięczny za to, że tak o ciebie dbał i że cię uszanował — odparł Adam. - Wiele mu zawdzięczam.

- I nie jesteś o niego zazdrosny? - zapytała Sylvie, zerkając z ukosa.

- Chyba jednak tak, ponieważ go kochasz.

Sylvie powoli uniosła się z fotela i zbliżyła do kominika. Stała przed Adamem, platynowe włosy połyskiwały w poświacie bijącej od ognia. Wyszeptała:

- Jesteś znacznie starszy ode mnie, doświadczony, powinienś zatem powiedzieć to pierwszy.

Adam uniósł dłoń, która lekko drżała. Z nieskończoną czułością dotknął jej policzka.

- Kocham cię, Silver Meredith. Koisz mi duszę i leczysz podły charakter. Mam nadzieję, że moje ciało także w końcu skorzysta. Mówiąc o doświadczeniu, jesteś w błędzie. Nigdy czegoś takiego nikomu nie powiedziałem ani nawet mnie nie kusiło.

Sylvie objęła go nagle i uściśnęła.

- A ja cię kocham romantycznie i namiętnie, całym moim sercem.

Adam uśmiechnął się pobłaźliwie. Przeczesał palcami jasne włosy Sylvie, przycisnął jej głowę do piersi.

- Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Już przed wieloma tygodniami wyznałbym ci miłość, ale... obawiałem się że kiedy dowiesz się o mnie więcej, zaczniesz mną gardzić. Nie wiesz, dlaczego brat mnie nienawidzi, prawda?

Sylvie pokręciła głową.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - szepnęła.

- Tak, ma - przyznał ochryple Adam, pieszcząc palcami jedwabistą skórę na jej karku. Nagle odsunął Sylvie nieco od siebie, potem, jakby musiał zwalczyć chęć przygarnięcia jej z powrotem, cofnął ręce.

- Wczoraj określiłaś mnie jako dobrego człowieka. To nieprawda, Sylvie. Jestem Rockinghamem z pełnym asortymentem naszych rodzinnych wad. Dużo w życiu piłem uprawiałem hazard i oddawałem się rozpuście, gdyż nie widziałem powodu, żeby odmówić sobie czegokolwiek - Przerwał i zamknął oczy, żeby się odciąć od jej czystego ufnego spojrzenia. - Theresa była moją kochanką, zanim wyszła za Jake'a. Brat nienawidzi mnie za to, że została nią ponownie jako jego żona.

Sylvie wpatrywała się w Adama w milczeniu; zdumienie odebrało jej głos. W końcu zdobyła się na zadanie pytania:

- Uczyniłeś rogaczem własnego brata?

Adam wyprostował ramiona i wbił ręce w kieszenie. Po dłuższej chwili odparł:

- Byli małżeństwem od roku, kiedy Theresa odwiedziła mnie wieczorem, przynosząc wiadomość, że Jake odniósł śmiertelną ranę podczas walk na półwyspie. Uwierzyłem w

jego śmierć, lecz to marna wymówka. Z wzięciem do
 lozka wdowy powinienem poczekać przynajmniej do
 po-
 gr zebru.- Nie będę udawał, że kierowały mną uczucia w
 ro-
 dzaju szukania ukojenia po stracie brata, nic w tym rodza-
 ju... tylko pożądanie.

Sylvie widziała, jak siła tego samooskarżenia zniekształ-
 cila mu rysy. Powinna odczuwać podobną odrazę, logika
 jednak ustępowała przed przemożną potrzebą przyjsia
 Adamowi z pomocą.

- To nie czyni cię niegodziwym, naprawdę - dowodziła
 łagodnie. - Nie, skoro uwierzyłeś, że twój brat jest
 martwy.

Nikt nie jest doskonały; każdy niekiedy zawodzi. Ja tak-
 ze czułam się winna... tak wiele razy samolubnie
 zraniłam tych, których kocham. - Spojrzała na niego
 poważnie. - Co

się stało, kiedy się dowiedziałeś, że Jake żyje? Czy

Theresa

nadal była twoją kochanką?

- Nie! Zerwałem z nią i żywiłem tchórzliwą nadzieję, że
 Jake się nie dowie - przyznał.

- Ale usłyszał plotkę?

- Theresa mu powiedziała. Kalectwo Jake'a wzbudziło
 w niej odrazę. Chciała, żebym jej zapewnił własne
 miesz-

karie i opiekę. Nadal zresztą tego chce. Jutro się od
 niego wyprowadza.

-Dlatego pojechałeś za nią do gospody i sprowadzi-
 les do domu? Nadal naprawiasz krzywdę wyrządzoną
 Jake'owi?

Adam kiwnął głową.

- Zrobiłem to nie pierwszy raz, ale za to ostatni.

- A te wady Rockinghamów... nie pozbyłeś się ich?

- Sądzę, że to zależy od tego, czy zgodzisz się za mnie wyjść, Sylvie. Jeśli nie weźmiesz mnie w karby, obawiam się, że popadnę w recydywę.

Oczy Sylvie rozjaśnił uśmiech, szybko jednak go opnowała.

- Nie żartuj sobie - zażądała. - Mówiąc, że chcę męża lojalnego i wiernego, nie skłamałam. W innym wypadku, nasza miłość wydawałaby się tak... tak bezsensowna.

- Od czasu gdy zobaczyłem cię w gospodzie przy Great North, nieustannie zaprzętałaś moje myśli. Zmieniłem sposób życia, żeby się do ciebie zbliżyć. Chciałem oczywiście zobaczyć przyszłego chrześniaka, ale do Hertfordshire przyjechałem do ciebie, nie do Jacoba. - Adam urwał, jakby niepewny siebie. - Kiedy sądziłem, że wyszłaś za Johna Vance'a, przemyślałem nad sposobami przekonania cie żebyś została moją kochanką. Kochałem cię i pragnąłem gdy miałaś szesnaście lat, ale nie chciałem tego przyznać nawet przed sobą. Jak tak niewinne, anielskie dziecko mogło mieć nade mną taką władzę? Ale ją miałaś. Jesteś wszystkim, czego pragnę, musisz to przecież wiedzieć.

Pożądanie dominujące w jego głosie sprawiło, że ciało Sylvie osłabło, zmiękło.

- Nie przeszkadza ci to, co mi zrobił Hugo?

- Oczywiście, że przeszkadza. Najchętniej zabiłbym go za to, zamiast wysłać w zagraniczne podróże. Twoje pierwsze doświadczenie tego, co dzieje się między mężczyzną a kobietą, powinno być przyjemne. Powinno być czymś.

o czym się pamięta. On zmienił to w obmierzłe przeżycie. Nigdy mu tego nie przebaczę - zakończył Adam, Kiedy Sylvie wyciągnęła do niego ręce, chwycił jej dłoń Uniósł do ust. Z uszanowaniem pocałował wszystkie pal-ce po kolei.

- Posłuchaj mnie i uwierz w moje słowa. Hugo Robinson jest zakałą ludzkości. To brutal i tchórz niewart na ziemię, po której stąpałaś. I gdybym wtedy, w ogrodach, wiedział, że naprawdę chcesz mnie pocałować - nie z wdzięczności za wybawienie cię od tego drania, lecz z miłości - nie wyszlibyśmy z za tego żywopłotu do rana.

W przyływie miłości Sylvie wyciągnęła ramiona. Adam chwycił ją jednak czule za nadgarstki, pociągnął na swoje masywne ciało, pokierował szczupłymi rękoma, by objęły go za szyję.

- Połub to, Sylvie - szepnął. - Ja lubię w ten sposób. Nauczył ją, jeszcze zanim jego usta stopiły się z jej wargami, wymuszając zmysłową odpowiedź.

Rozdział osiemnasty

- Muszę iść - powiedziała z żalem Sylvie.
- Jeszcze nie! - sprzeciwił się stanowczo Adam, ponownie biorąc ukochaną w ramiona.

Westchnęła, z chęcią poddając się jego pieszczotom.

Kolejny pocałunek był równie czuły, a zarazem namiętny jak poprzednie, I tak samo cudowny. Sylvie odkryła w sobie upodobanie do pocałunków, zwłaszcza że obdarowywał ją nimi wprawny w sztuce miłości mężczyzna. W dodatku jej mężczyzna, przyszły mąż, który wyznał jej miłość.

Adam uwolnił nabrzmiałe wargi Sylvi i pocałunkami znaczył drogę od jej ust do piersi, wyzierających spod koronki okalającej dekolt. Nie ustawał w pieszczotach, które coraz bardziej rozpały Sylvie. Wygięła się w łuk i przeciągle westchnęła z rozkoszy.

W pewnym momencie Adam powiedział:

- Bałem się, że po okropnym doświadczeniu z tym bratalem Hugonem na dobre zrazisz się do wszystkich męż-

czyżn. Zastanawiałem się, czy w ogóle pozwolisz mi się kiedyś pocałować, dotykać, nie mówiąc już...

- Nie wyobrażałam sobie, że może być tak cudownie - szepnęła.

- Zanim posuniemy się dalej, zostaniesz moją żoną, przysięgam.

-Ufam ci.

Adam obwiodł palcem opuchnięte od pocałunków, wilgotne usta Sylvie.

- Wiem, najmilsza. Nasz pierwszy raz musi być szczególny. Zaslugujesz na noc poślubną na wspaniałym łożu, w jedwabnej pościeli i z szampanem.

Sylvie się uśmiechnęła.

- Skórzana sofa mi nie przeszkadza, jest wygodna. Przed wyjściem z domu wypłam trochę madery. Gdyby nie to, nie zdobyłabym się na odwagę i w ogóle by mnie tu nie było - Kiedy Adam nachylił się, żeby znowu pocałować Sylvie, powiedziała zawstydzona: - Chyba jestem rozpustna.

- Mam nadzieję - odparł z błyskiem w oku, a ona mocno się zarumieniła. - Nie bądź taka nieśmiała, Sylvie - dodał czule. - Kobieta nie może złożyć kochającemu mężczyźnie większego daru, niż namiętnie mu się oddać.

Sylvie uśmiechnęła się. Wyciągnęła do góry lewą rękę, na której pysznił się dar od niego. Wspaniały pierścionek, który Adam wsunął jej na palec. Obracała dłoń, a ogromny owalny brylant lśnił i rzucał błyski.

- Nie chcę wracać. Chcę zostać z tobą - oznajmiła.

- Jesteś pewna? - zapytał po dłuższym milczeniu.

- Tak, - A ty chcesz, żebym wróciła do domu?
- Nie.
- To jest teraz mój dom?
- Tak.

Sylvie mocniej wtuliła się w ramiona Adama. -

Wiesz, co to oznacza, prawda?

- Skandal, jak sądzę.

Adam parsknął śmiechem i zachłannie pocałował przy-
szłą żonę.

-Rzeczywiście wybuchnie skandal, chyba że razem
uciekniemy.

Epilog

Gloria Meredith uniosła wzrok znad robótki, by podziwiać słoneczne promienie, sączące się przez ścianę pnących róż na kratownicy w ogrodzie. Powiew poruszył firankę i przyniósł do saloniku zapachy pełni lata. Kiedy

kos uczcił serenadą zachód słońca, przepelnił ją spokój i opadła wobodnie na poduszki. Wkrótce żywe barwy na horyzoncie spłowieją, a zapadający zmrok ogarnie ziemię i skryje piękno kwiatów.

Chrapnięcie oderwało jej uwagę od piękna przyrody. Skierowała czule spojrzenie na drzemiącego w fotelu przy kominku męża. Kolejne chrapnięcie wstrząsnęło piersią Edgara i przywróciło mu świadomość. Ścisnął dłońmi obite aksamitem poręcze, gwałtownie zamrugał i zerknął na żonę. Widząc, że go obserwuje, kaszlnął i chwycił pogrzebacz. Chociaż w pokoju było ciepło, dorzucił do ognia.

Gloria uśmiechnęła się do siebie i podniosła robótkę. Wykonała ścieg, dumając nad dziwactwami mężczyzny - nie miała nic przeciwko drzemce męża. Przypomniała so-

bie jednak, że jej ojciec zachowywał się tak samo. Potrafił zapaść w sen z otwartą książką na kolanach, ale nigdy by się do tego nie przyznał.

- Tak tu teraz cicho bez Sylvie - nawiązała pogawędkę, poruszając igłą.

- Istotnie - padła sucha odpowiedź.

- Niedobrze, że tak uciekła - zauważyła z uśmiechem zaciągając ścieg. - Planowałam huczne wesele, prawdziwe wydarzenie towarzyskie.

Edgar posłał żonie ironiczne spojrzenie.

- Sądzę, że właśnie dlatego wyjechała. - Zachichotał i pomachał ręką. - Naprawdę myślałaś, że Sylvie marzy o takiej celebrze?

- Oczywiście! Każda dziewczyna w dniu swojego ślubu chce być księżniczką. Gdybyś zapytał mnie o zdanie, to uważam, że winę ponosi tu Adam Townsend, - Na myśl o nowym zięciu Gloria uśmiechnęła się dumnie. - Nie mógł zaczekać, aż wszystko zostanie należycie przygotowane. Już wtedy, kiedy odwiedził Windrush, żeby zobaczyć Jacoba, nie odrywał od niej oczu. Wątpię, czy teraz nad sobą zapanuje. Sprawia na mnie wrażenie człowieka, który sobie niczego nie odmawia.

Edgar się zaśmiał.

- Co do tego masz chyba rację, kochanie. Nasza Sylvie jest wyjątkową piękną, a Adam rasowym Rockinghamem. W końcu jednak spotkał swoją wybrankę.

- Och, tak - potwierdziła Gloria z satysfakcją. Przechyliła głowę i zapatrzyła się w przestrzeń. - Mamy wiel-

kie szczęście, wiesz? Markiza, hrabina... i jedna w kolejce, gdyż Etienne wkrótce obejmie dziedzictwo... do tego lady. Któż nie byłby dumny z takich córek i ze wspaniałych dżentelmenów, jakich wprowadziły do naszej rodziny? Jakby tego było mało, mamy stadko najpiękniejszych wnuków. Jak się pan czuje w tej sytuacji, panie Meredith?

- Jestem radosny i... wyczerpany - odparł żartobliwie Edgar, kładąc złączone dłonie na udach. - A pani, pani Meredith?

- Tak samo. Nie raz i nie dwa umierałam z niepokoju, ale chętnie przesłabym przez wszystko powtórnie. Przez całe nasz wspólne życie.

- Naprawdę? Przez wszystko? - Edgar powoli uniósł się z fotela i z błyskiem w oku zbliżył do żony. Ujął jej małe, usiane piegami dłonie i zmusił, by wstała. Następnie czule pocałował ją w czoło i przytulił. - Ja także, moja droga. Już dawno nie kładliśmy się wcześniej spać. Chodźmy.

*Drogie Czytelniczki! Tym tomem
zakończyliśmy cykl **Dumne i piękne**,
poświęcony Rachel, Isabel, June i Sylvie - siostrze Meredith.*